



**POWSTANIE
WARSZAWSKIE
- PAMIĘTAMY!
SPECJALNY DODATEK**

**BUDZISZ: ABRAMSY, CZOLEGI,
KTÓRE OBRONIA
WARSZAWĘ**

**WILDSTEIN:
PIŚ KONTRA PO, CZYLI
STARCIE CYWILIZACJI**

**KIM DZIAŁA JAKI:
KTO I DLACZEGO
NIE CHCE SIĘ SZCZEPIC?**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 30 (452) 2021

26 lipca – 1 sierpnia 2021

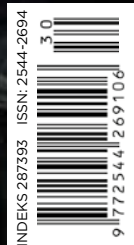
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

DONALD TUSK

TO BYŁ PRAWDZIWY

CZŁOWIEK MOSKWY W WARSZAWIE

**GDY RZĄDZIŁ, BYŁ WASALEM KREMLA.
TERAZ UDAJE ANTYROSYJSKIEGO JASTRZĘBIA.
I NIE JEST TO JEDYNE KŁAMSTWO, Z KTÓRYM WRÓCIŁ**



#SZCZEPIMYSIĘ I WYGRYWAMY

W LOTERII NARODOWEGO
PROGRAMU SZCZEPIEŃ

Zarejestruj się na
www.pacjent.gov.pl
na swoim IKP lub zadzwoń pod 989



2 x 1 000 000 zł

2 x TOYOTA C-HR

6 x TOYOTA COROLLA



6 x 100 000 zł

60 x 50 000 zł

**720 x HULAJNOGA ELEKTRYCZNA
SEGWAY**



NAGRODY NATYCHMIASTOWE

500 zł
DLA CO 2000. OSOBY

200 zł
DLA CO 500. OSOBY

Deal Niemcy–USA, czyli cała prawda o naszych sojusznikach

Po niedawnym spotkaniu z Angelą Merkel prezydent Joe Biden, wypowiadając się na temat Nord Stream 2, powiedział, że „przyjaciele mogą się różnić”. Victoria Nuland, odpowiadająca w Departamencie Stanu za politykę wobec Europy Środkowo-Wschodniej, gdy spotkała się z krytyką kongresmenów rozszoszczonych kształtem amerykańskiego-niemieckiego porozumienia, powiedziała, że gdyby porozumienia nie było, „Ukraina podlegałaby znacznie większemu ryzyku”. Jednocześnie portal Politico, powołując się na kilka niezależnych źródeł w amerykańskiej administracji, napisał, że Waszyngton wywiera na Kijów presję, aby ten nie krytykował amerykańsko-niemieckiego dealu w sprawie Nord Stream 2. Tak też interpretowana była nagle wizyta Dereka Cholleta, doradcy amerykańskiego sekretarza stanu, w Warszawie i Kijowie.

Niemiecko-amerykańskie porozumienie w sprawie rosyjskiego gazociągu wiele nam mówi zarówno o polityce Niemiec, jak i realnych możliwościach i priorytetach Stanów Zjednoczonych. To Berlin dyktuje dziś warunki, a Waszyngton nie ma ani woli, ani narzędzi, aby konfrontować się z Niemcami. Jedno jest też pewne, Moskwa nie zmieni swej polityki, a zgodę Waszyngtonu na dokonanie Nord Stream 2 odbierze w kategoriach słabości, co przyczyni się jeszcze do wzmocnienia presji wywieranej na Ukrainę.

Już dzień po telefonicznej rozmowie z Angelą Merkel, podczas której Władimir Putin nie tylko „wyraził zadowolenie” z faktu, że Niemcy dążyły do dokończenia budowy Nord Stream 2, lecz również skrytykował w ostrych słowach Kijów, Rosja złożyła przeciw Ukrainie oficjalną skargę w międzynarodowym Trybunale Praw Człowieka. Zawiera ona cały katalog pretensji Moskwy wobec Ukrainy, w tym tak beczelnych, jak oskarżenie Kijowa o spowodowanie zestrzelenia malezyjskiego samolotu MH-17, do którego doszło dlatego, że – jak dowodzą rosyjscy prokuratorzy – „Ukraina nie zamknęła przestrzeni powietrznej” nad Donbasem. W tej groteskowej skardze nie chodzi wszakże o nic innego, jak tylko o pokazanie, że Rosja nie zamierza rezygnować z polityki presji na Kijów, a postawa kolektywnego Zachodu, w tym przede wszystkim Niemiec, umożliwia jej prowadzenie takiej polityki.

Jeśli chodzi o kształt niemiecko-amerykańskiego porozumienia, to w oczu rzuca się jego ogólnikowy charakter.

Niemcy mają dolożyć starań, aby umowa tranzytowa między Rosją a Ukrainą została przedłużona na kolejne 10 lat, bo obowiązujące porozumienie wygasa z końcem 2024 r., a także uniemożliwić Moskwie traktowanie dostaw surowców energetycznych w kategoriach broni ekonomicznej czy narzędzia presji. Jednak brak konkretów, o jakiego rodzaju działania może chodzić, skłonił niektórych komentatorów do ironicznych uwag, że będziemy mieć do czynienia z kolejnym oświadczeniem wyrażającym „poważne zaniepokojenie”. Dodatkowo ma zostać stworzony fundusz, wart 1 mld dol., na inwestycje w ukraińskim sektorze zielonej energii, a także Berlin wyasygnuje 70 mln dol. na wspieranie dwustronnych, ukraińsko-niemieckich, projektów energetycznych.

Mychajło Honczar, ukraiński ekspert w zakresie bezpieczeństwa energetycznego, stwierdził, że gwarancje te nie są więcej warte niżli papier, na którym zostały spisane, a komentarka ukraińskiego portalu TSN, zbliżonego do obozu władzy, napisała, że amerykańsko-niemieckie porozumienie jest „zdradą interesów narodowych” i Kijów w obecnej sytuacji winien szukać zbliżenia z państwami regionu, w tym z Polską.

Niewątpliwie można mówić o rozczarowaniu ukraińskich elit zarówno wobec Waszyngtonu, jak i przede wszystkim Berlina. Być może spowoduje to zmianę bardzo proniemieckiego do tej pory wektora w polityce zagranicznej Kijowa. Ukraińskie media informują, że w trakcie niedawnej wizyty Zelenkiego w Berlinie Niemcy kategorycznie odrzuciły wszystkie propozycje mające na celu lepsze zabezpieczenie interesów Ukrainy. W połączeniu z ugodową postawą Berlina wobec Moskwy i odmową dostaw broni, nawet służącej defensywie, daje to obraz polityki w najlepszym wypadku lekceważącej interesy Kijowa. Wspólne oświadczenie ministrów Raua i Kułebę wydane po amerykańsko-niemieckim porozumieniu w sprawie Nord Stream 2 – w którym znalazł się apel do Berlina i Waszyngtonu o rozwiązanie „kryzysu bezpieczeństwa”, jaki powoduje w regionie uruchomienie rosyjskiego gazociągu – oznacza, że Polska i Ukraina „nie zamierzają siedzieć cicho” ani też beczynnie kibicować polityce ustępstw wobec Rosji. Gdyby udało się zacieśnić współpracę w zakresie bezpieczeństwa między naszymi państwami, to można byłoby powiedzieć o pożytkach wpływających z obecnego kryzysu. 

Marek Budzisz


38
Skalp Lewicy
Stanisław Janicki

**51-
-68**
**Dodatek z okazji
77. rocznicy wybuchu
Powstania
Warszawskiego**

78
**Rzeczpospolita
prostacka**
*Aleksander
Nalaskowski*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 POLACY W CHORWACJI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 CENZURA DLA TOLERANCJI**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA WERONIKI JASKÓŁKI**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 CZAS NA ZIELONE PRZYSTANKI**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 AKTOR DONALD**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski
- 24 KŁAMCA**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 30 METAFIZYCZNA WOJNA, CZYLI
O CO CHODZI W POLITYCE DZIŚ**
Bronisław Wildstein

KRAJ

- 34 ABRAMSZY, CZYLI O REALIZMIE
W POLITYCE**
Marek Budzisz
- 38 SKALP LEWICY**
Stanisław Janicki
- 40 CZARNEK OCALONY I CO DALEJ?**
Jan Rokita
- 44 KTO NIE CHCE SIĘ SZCZEPIĆ?**
Konrad Kołodziejcki
- 47 Z MAGDALENĄ SZEFERNAKER**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

ŚWIAT

- 70 WPADKI KANDYDATKI**
Aleksandra Rybińska
- 72 BIAŁA WINA**
Goran Andrijanić

OPINIE

- 74 OBRAZKI Z NIEMIECKIEJ WYSTAWY**
Wojciech Polak
- 78 RZECZPOSPOLITA PROSTACKA**
Aleksander Nalaskowski
- 81 WSZYSCY WSZYSTKIM
PROPONOWALI SOJUSZ**
Marek Kornat, Mariusz Wołos

SIECI KULTURY

- 85 Z SIŁĄ ŻYWIŁOŁU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 88 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 90 WOLNOŚĆ I RADOŚĆ W PAKIECIE**
Robert Tekieli
- 91 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 92 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 94 PRZECIWKO DŁUGIEMU
CIENIOWI FOLWARKU**
Piotr Patkowski

KUCHNIA

- 106 MOJE SMAKI: KATARZYNA CICHÓPEK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 107 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 108 AMERYKAŃSKIE BIZNESY
I POLSKIE PRAWO MEDIALNE**
Hanna Karp
- 110 LATO**
Alina Czerniakowska
- 111 WIELKIE PODZIELENIE**
Lech Makowiecki
- 111 UDEPTANA ZIEMIA**
Piotr Cywiński
- 112 POLSKOŚĆ JEST PIĘKNA**
Jan Pospieszalski
- 113 W TEJ SYTUACJI...**
Leszek Długosz
- 114 STAN PO BURZY**
Katarzyna Zybortowicz

Lepsza codziennosc polskich rodzin



**POLSKI
ŁĄD**

**Rządowy Fundusz Polski Ład
Program Inwestycji Strategicznych**

Ten Fundusz jest dla Ciebie.

Powstał, żeby dofinansować gminy, powiaty, miasta i województwa.
By mogły zmieniać codzienność milionów polskich rodzin.

www.bgk.pl

Program realizowany jest
poprzez promesy inwestycyjne **Banku Gospodarstwa Krajowego.**

eprasa.pl ca89bcc357

Sygnalista nadaaje

 Aktywista LGBT Bart Staszewski – ten od fake newsa o „strefach wolnych od LGBT” – zgłosił taką oto propozycję: „W wolnej Polsce musi powstać specjalna komisja, która rozliczy wszystkich aparaczków reżimowej telewizji. Zmienić prawo i utworzyć publiczny rejestr pracowników podobny do tego dla najcięższych przestępców. Zatrute owoce wykosić z rynku medialnego na zawsze”. To wyraźna intencja eksterminacyjna, która może się skończyć łagrami albo obozami koncentracyjnymi. Przed takim myśleniem („państwo w roli ogrodnika”) przestrzegał nie raz i nie dwa guru współczesnych liberalów Zygmunt Bauman. Czyżby Staszewski nie czytał?

 Metody znane z reżimów totalitarnych są niestety głęboko zakorzenione. Młody chłopiec, którego ustawiono obok Donalda Tuska w czasie jego gdańskiego przemówienia, nie krył znudzenia i parę razy sobie ziewnął. Nie minęło parę minut, a chłopca wyprowadzono z kadru. Ziewała też nieco starsza dziewczynka, ale jej pozwolono zostać. A dzieci miały rację: Tusk wygłosił to samo przemówienie, które wygłasza od lat. Nudne to, ale niestety wciąż niebezpieczne dla Polski.

 Wielkim fanem Tuska jest Jerzy Urban. „Chętniej słucham teraz Tuska niż tych kompozytorów klasycznych, których należy słuchać, jak tamte Bachy, Beethoveny i inne Mozarty. Tusk to jest piękna melodia” – mówi rzecznik junty Jaruzelskiego. Podkreśla, że Tusk urósł w jego

oczach, gdy „stanął na czele UE”: „Taki kwiat, który wyrósł na tej polskiej nieurodzajnej ziemi, wydawał mi się czymś niezwykle imponującym i to wyobrażenie nie minęło”. Wszystko tu mówi samo za siebie, ale trzeba sprostować: Tusk nigdy nie stał na czele Unii. On jedynie pomagał kanclerz Niemiec.

 Sam Tusk kontynuuje wojnę z TVP. „Zwróć się do funkcjonariuszki telewizji pisowskiej, rządowej. Nie będę odpowiadał na pytania tych, którzy zaangażowali się w nagonkę, bo wam serdecznie współczuję, ale mogę ewentualnie debatować i rozmawiać z mocodawcą, znaczy z prezesem Kaczyńskim. Proszę mu przekazać ode mnie ten sygnał. Czekam od wczoraj, dziś, będę czekał każdego dnia. Stań, rozmawiaj ze mną uczciwie o tym, co jest w Polsce, i nie wysyłaj nagonki” – mówił do dziennikarki TVP, która nie zadała mu żadnego pytania. W tej logice prezes Kaczyński powinien debatować z kanclerz Merkel.

 Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej” uważa, że Tusk czyni cuda. „Przekształca starcie partyjne PO–PiS w starcie indywidualne. Politykę przemienia w western. Można go za to krytykować, ale zna słabe punkty lidera PiS i wie, jak uderzyć”. Wroński popiera pomysł debaty: „Tak, chciałbym taką debatę zobaczyć. Nawet pomimo sugestii prorządowych mediów, że mogłaby się odbyć tylko po niemiecku”. Cóż, żadnej debaty nie będzie i być nie powinno. Nie da się debatować z człowiekiem, który nie uznaje pojęcia „prawda”.

 Konfederacja umieściła w mediach społecznościowych film, na którym *Samuela Górską, modelka i zwolenniczka tego ugrupowania, mówi o swoich poglądach. „Bo ja nie chcę też żydostwa, nie chcę LGBT. Nie chcę wielu rzeczy, które obecnie są. Tylko Konfederacja, mam wrażenie, zapewni taką normalność” – powiedziała, dodając: „Nie wiem, może za dużo mówię, ale tak jest”. Tak, pani Samuela mówi zdecydowanie za dużo. A poza tym Konfederacja niczego nikomu nie zapewni. Ona nie po to powstała, by wygrywać. Ona jest po to, by inni nie wygrywali.*

» Z TVP wojuje także senator Wadim Tyszkiewicz. „Wybrałem się na śniadanie do restauracji sejmowej. Na wielkim telewizorze »Jedziemy« TVP, a jakże. Z ekranu wylewa się szambo chamstwa, głupoty i nienawiści. Tylko kwestią czasu jest, kiedy to szambo wybije i wymiesza się z krwią na ulicach” – relacjonuje. Senator poprosił kelnera o zmianę kanału, ale poniósł klęskę. „Rzucili się na mnie pisowscy konsumenci, lubujący się w taplaniu się w szambie. Doszło do awantury. W restauracji też rządzi PiS. Życzyłem smacznej kawy z dolewką szamba i zmieniłem miejsce”. Wrażliwość ludzi Platformy jest naprawdę wzruszająca.

» Z hejtem chce także walczyć **Borys Budka**. Były szef PO przypomniał o smutnej rocznicy: „10 lat temu na norweskiej wyspie Utoya 69 młodych ludzi zostało z zimną krwią zamordowanych przez człowieka przepełnionego nienawiścią. Pamiętajmy o tych dziewczętach i chłopcach. I piętnujemy nienawiść w przestrzeni publicznej. Tylko tak możemy wyeliminować to zło”. Jak na człowieka, który świętował urodziny z tortem przystrojonym ośmioma świeczkami, symbolizującymi hasło: „J...ć PiS”, mocno cyniczne.

» Z kolei poseł Koalicji Obywatelskiej Dariusz Joński tak oto buduje narodową zgodę: „Kaczyński zbroi się na potęgę, straszy koalicjanta, kupuje głosy. Wszystko, żeby zniszczyć wolne media i demokrację. To koniec PiS i koniec dyktatora. Ceaușescu, Kaddafi... Kaczyński”. W sferze zakłamania polska opozycja jest naprawdę blisko reżimów prawdziwie totalitarnych. Gdyby tu był prawdziwy reżim, Joński – sądząc ze zdjęć – nie wychylałby się zbyt.

» W ramach promocji Polskiego Ładu Elżbieta Witek odwiedziła miasteczko Otyń w Lubuskiem. Spotkanie zostało zakłócone przez przeciwników rządu. Marszałek Sejmu wspominała protestującym, że zapewne i oni korzystają z programów społecznych wprowadzonych przez PiS: „Warto by się było unieść honorem i od tego wrednego rządu PiS tego nie brać. A bierzecie, bierzecie. Bez żadnych skrupułów bierzecie i narzekacie”. Im bardziej biorą, tym bardziej narzekają. Także po to, by nie musieć odpowiadać na pytanie, kto lepiej rządzi.

» Prezes Najwyższej Izby Kontroli Marian Banaś skomentował słowa marszałek Witek, przywołując znany cytat z Margaret Thatcher: „Nie ma czegoś takiego jak publiczne pie-

niądze. Jeśli rząd mówi, że komuś coś da, to znaczy, że zabierze tobie, bo rząd nie ma żadnych własnych pieniędzy”. Ale w tym wypadku to nieprawda. Akurat tych pieniędzy rząd nie zabrał przecież obywatelom, ale różnym mafiom i cwaniam. Warto być precyzyjnym.

» **Bartłomiej Sienkiewicz** nie krył oburzenia, kiedy zapytano go o sprawę inwigilacji dziennikarzy za rządów PO. Były minister spraw wewnętrznych i koordynator służb specjalnych oświadczył: „Tego symetryzmu nie zniosę. To jest absolutna bzdura i kłamstwo. Nikt za poprzednich rządów nie inwigilował dziennikarzy. To jest kłamstwo powtarzane jako niewinne pytanie. Dowody na stół” – apelował. E tam, dowody. Skoro według opozycji Polska to dyktatura, to żadne dowody w żadnej sprawie nie są potrzebne.

» Szymon Hołownia spotkał się z mniejszością niemiecką. „Rozmawialiśmy o sile, jaka tkwi w różnorodności. A jednak problemy Niemców w Polsce pogłębiają się. Ten rząd wykorzysta każdą okazję, żeby poszczuć i upokorzyć, w myśl zasady »dziel i rządź«. W Polsce 2050 wolimy: »łącz i buduj«. Kierunek zrozumiały, trzeba na tym polu pracować, ale jednak trudno będzie zepchnąć Tuska z pozycji pupila Berlina.

» **Tomasz Lis** przeprowadził wywiad ze współtwórcą TVN Mariuszem Walterem. „Kilka razy mi pan to mówił, więc leży to panu na sercu: niczego nie podpisywałem, żadnych pieniędzy nie brałem, żadnym agentem nie byłem, nie ma żadnych dowodów” – zaczął dziennikarz. Walter odpowiedział: „Zawsze można powiedzieć, że teczka z SB spłonęła, ale ja, widzi pan, mam ją w domu. Gruba jest na cztery palce. I tam nie ma nic, co mógłbym sobie zarzucić lub moja rodzina mogła mieć mi za złe”. Trzymanie teczek w domu to chyba w tym środowisku jakaś norma? Sprawę ma wyjaśnić IPN.

» W tle jest troska o przyszłość TVN, który może zostać zmuszony do zmiany większościowego właściciela – jeśli wejdzie ustawa doprecyzowująca przepisy. „Jestem jednak pewien, że jakkolwiek to się skończy, to zespół, ale też pan i wiele osób, które odeszły, wciąż będzie pracować z wiarą, że hasło: »Cała prawda całą dobę«, to nie wydmuszka. »Cała prawda całą dobę« – tyle razy rządzący próbowali ośmieszyć to hasło, ale to nie jest tylko slogan. To zdanie zawiera wiele treści i jest cały czas na sztandarze” – przekonuje. Tak, to zdanie zawiera w sobie bardzo wiele treści.



WIEŻA BAB

Polacy w Chorwacji

*Na chorwackim wybrzeżu znacznie
łatwiej o ciche i spokojne miejsce,
niezalanę falą turystów. Do tego
wszędzie niezwykle życzliwa obsługa,
bardzo często i chętnie używająca
języka polskiego*

Zdanych wynika, że Polacy coraz chętniej decydują się na wakacje w Chorwacji. W minionym roku byliśmy na trzecim miejscu wśród turystów odwiedzających ten kraj. Po Niemcach i Słowenach. Jeszcze sześć lat temu zajmowaliśmy piątą lokatę. Po Niemcach, Słowenach, Austriakach i Włochach. Za co Polacy tak pokochali Chorwację, że gotowi są podróżować kilkanaście godzin samochodem, byle spędzić wakacje marzeń?

Na pewno za gwarancję pogody (nawet jak popada, to zaraz wychodzi słońce), spektakularne krajobrazy (i to nie tylko na wybrzeżu), ale i wart odnotowania stosunek cen do jakości zakwaterowania. Przed wyborem wakacyjnej destynacji porównywałam różne oferty. Okazało się, że w Chorwacji za w pełni wyposażony apartament (z pralką, zmywarką, suszarką, mikrofalą, piekarnikiem, a nawet kostkami do pralki i prania oraz z kosmetycznym wyposażeniem łazienki), w którym wygodnie odpocznie sześciuosobowa rodzina, 40 m od plaży, z basenem, w cichej i spokojnej okolicy wyspy Ugljan oraz z widokiem na morze z tarasu, muszę zapłacić dwukrotnie mniej niż za porównywalny apartament na polskim wybrzeżu (choć mniejszy i bez tylu udogodnień). Natomiast w tej samej cenie można było znaleźć nad Bałtykiem wyłącznie mało wygodne miejscówki w sporej odległości od morza.

Skoro przy cenach jesteśmy, to jeszcze jedna obserwacja. W miejscach mniej obleganych przez turystów (jak np. Poljana) można zjeść pizzę w cenie ziemniaka na patyku serwowanego przy nadbałtyckich deptakach. Do tego wszędzie niezwykle życzliwa obsługa, bardzo często i chętnie używająca języka polskiego. Wielokrotnie spotkałam się też z uznaniem dla mojej dużej rodziny. Częste były komentarze w stylu: „Brawo mama”, a dzieci dostawały lody i lizaki. Niestety w Polsce wielodzietne rodziny często słyszą komentarze w stylu: „O, 500+

przyszło” (choć oczywiście nie zawsze i nie wszędzie, żeby nie było generalizowania).

Na chorwackim wybrzeżu znacznie łatwiej o ciche i spokojne miejsce, niezalanę falą turystów, bo i miejsc, gdzie można korzystać z morskiej i słonecznej kąpieli, jest więcej. Zwłaszcza na wyspach i wysepkach, gdzie malowniczych zatoczek i kameralnych plaż jest zatrzęsienie. Trudno się dziwić, bo Chorwacja posiada około 6 tys. km linii brzegowej z Morzem Adriatyckim. Trzeba oczywiście wiedzieć, gdzie szukać, bo w Dubrowniku czy Splicie tłumy będą, podobnie jak w Sopocie. Ale to już co kto lubi. No i te podwodne krajobrazy, dostępne nawet dla nur-

ków amatorów, pływających tylko z rurką i maseczką. I ten wszechogarniający ciepły turkus, w którym siedziałoby się godzinami.

Nie jest moim celem zachęcanie lub zniechęcanie kogokolwiek do wyboru tej czy innej opcji wakacyjnej. Raczej głośno myślę nad tym, skąd to wciąż rosnące zainteresowanie Polaków Chorwacją. Jednocześnie kocham szerokie piaszczyste nadbałtyckie plaże, pachnące jodem i muszlami, uwielbiam szum morza i zachód słońca nad przepięknym Bałtykiem. Jednak coraz bardziej przeszkadzają mi nieprzebrane tłumy, które zasłaniają morze. Coraz bardziej męczą atakujące z każdego kąta straganiki z chińszczyzną, na których punkcie wariują dzieci, i ciągnący się wzdłuż wybrzeża dźwięk cymbergaja, który zabija szum fal i ćwirkanie ptaków. Nie lubię, gdy ładuje mi się na talerz ogromną rybę, której normalny człowiek nie jest w stanie zjeść, byle tylko wyciągnąć z portfela jak największą sumę. Chętnie bym nawet napisała, że niektórzy nadbałtyccy hotelarze czy restauratorzy powinni się uczyć walczyć o klienta od chorwackich kolegów. Jednak tego nie napiszę, bo wiem, że oni nie muszą tego robić. I tak co roku będą mieli pełne obłożenie, bez względu na to, jaką cenę zaoferują. A jak się komuś nie podoba, to przecież nie musi przyjeżdżać.

Dorota Łosiewicz



„Jesteśmy blisko” – Pekao pomaga lokalnym społecznościom

Wyremontowane hale sportowe i świetlice, wyposażone szkoły i placówki opiekuńcze, plenerowe treningi, warsztaty ekologiczne czy szkolenia z pierwszej pomocy dla dzieci – to tylko niektóre z kilkudziesięciu inicjatyw zrealizowanych przez wolontariuszy Banku Pekao SA w ramach tegorocznej, trzeciej już edycji konkursu „Jesteśmy blisko”



Konkurs „Jesteśmy blisko” organizowany jest przez Pekao od 2019 r. W jego ramach każdy pracownik banku może zgłosić projekt akcji wolontariackiej, zaangażować w niego swoich współpracowników i wystąpić o przyznanie grantu na jego realizację. Dofinansowanie projektu w wysokości 4,5 tys. zł przyznaje Fundacja Banku Pekao SA im. dr. Mariana Kantona. Następnie autorzy zwycięskich inicjatyw osobiście wprowadzają je w życie. Liderzy akcji często zapraszają do działania nie tylko współpracowników, lecz także mieszkańców danych miejscowości, a więc swoich sąsiadów.

W najnowszej edycji konkursu „Jesteśmy blisko”, która odbyła się w czerwcu 2021 r., zorganizowano łącznie 42 inicjatywy w 35 miejscowościach całej Polski. Wzięło w nich udział ponad 210 wolontariuszy z Banku Pekao SA. Akcje wolontariackie odbyły się w każdym regionie kraju, od wschodu do zachodu oraz od morza do gór. Wolontariusze działali w takich miejscowościach jak m.in. Wolin, Elbląg, Zator, Piotrków Trybunalski, Opole czy Rutka Tartak, położona tuż przy wschodniej granicy państwa. Łącznie pracownicy Banku Pekao poświęcili blisko 2350 godzin na pomaganie lokalnym społecznościom.

Proponując działania można było zgłaszać w takich kategoriach jak ekologia, edukacja, sport, kultura i sztuka, promocja zdrowia czy pomoc zwierzętom. Stąd wśród efektów tegorocznej edycji są m.in. doposażenie sali gimnastycznej w szkole podstawowej w miejscowości Rutka Tartak na Suwalszczyźnie, pomoc bezdomnym zwierzętom z radomskiego schroniska – wolontariusze wybrali i zakupili dla schroniska nowe klatki kennele, które są szczególnie potrzebne dla psich seniorów oraz dla chorych, pokaleczonych zwierząt, które wymagają izolacji w celu zapewnienia im spokoju i bezpieczeństwa. Klatki są też wykorzystywane w rekonwalescencji zwierząt po operacjach i zabiegach, zapewniając właściwe warunki powrotu do zdrowia. Oprócz klatek wolontariusze kupili 578 kg dobrej jakości karmy, zapewniającej psom jak najlepszą kondycję, co zwiększa ich szanse na adopcję. Zorganizowano również warsztaty ekologiczne o bioróżnorodności w Otwocku czy plenerową lekcję geometrii na jedynym trójkątnym rynku w Polsce – w Łowiczu. Dla osób niesłyszących zamieszkujących region zachodnich Mazur zorganizowano wyprawę po pochylniach kanału elbląskiego. Uczestnikami było 30 osób niesłyszących i ich rodziny z regionu Mazur Zachodnich. Wycieczka miała celu integrację osób niesłyszących, umożli-

wienie im pokonania barier w turystyce. Organizacja wycieczki jest pierwszym krokiem do tego, aby szlak, którym przebiegała, przygotować dla osób niesłyszących z całego kraju. W Leżajsku lokalna społeczność mogła wziąć udział w plenerowym treningu nordic walking, a dzięki wsparciu strażaków wydarzenie połączono z nauką udzielania pierwszej pomocy. Z kolei w Piotrkowie Trybunalskim wolontariusze zorganizowali spływ kajakowy Pilicą, a w Ożarowie Mazowieckim akcją edukacyjną służącą ochronie pszczół.

– Nie sposób opisać wszystkich inicjatyw ani oddać emocji, które towarzyszą grupom wolontariuszy. Siłą napędową konkursu jest motywacja ludzi gotowych podarować swój czas i umiejętności innym. Bank Pekao zawsze był blisko związany z lokalnymi społecznościami. Nasi pracownicy doskonale rozumieją ich potrzeby i potrafią na nie odpowiadać. Dodatkowo zachęcają do aktywnego trybu życia, promują nawyki służące zdrowiu, sygnalizują potrzebę ochrony przyrody i pomocy zwierzętom, dbają o kulturę, edukację i rozwój młodych ludzi. Jesteśmy przekonani, że przykład naszych koleżanek i kolegów zaowocuje jeszcze szerszym uczestnictwem w wolontariacie – mówi Rafał Utracki, dyrektor Biura Wolontariatu i Kultury Korporacyjnej, w Banku Pekao SA.

Jurij Woskriesiński, białoruski polityk określający się mianem „konstruktywnej opozycji”, a w przeszłości współpracownik Wiktara Babaryki (czemu ten zaprzecza), opublikował projekt białoruskiej konstytucji autorstwa komisji, na której czele stoi. Przewiduje on m.in. ograniczenie władzy prezydenckiej do dwóch pięcioletnich kadencji oraz zmniejszenie uprawnień głowy państwa. Jednocześnie Białoruskie Zgromadzenie Ludowe, niepocho- dzące z wyboru ciało konsultacyjne, ma się stać w świetle proponowanych regulacji konstytucyjnym organem władzy na Białorusi, mającym pewne uprawnienia do kontroli innych szczebli władzy. Na czele Prezydium Zgromadzenia Ludowego miałyby stanąć, jak spekulują białoruscy eksperci, Aleksander Łukaszenka. 1 sierpnia projekt nowej konstytucji ma zostać przedstawiony Łukaszence do akceptacji. Z kolei do referendum konstytucyjnego mogłoby dojść najdalej na początku następnego roku.

O tym, że reżim w Mińsku przygotowuje się do zmian, świadczy również ostatnia, niespodziewana wizyta Łukaszenki w Rosji, gdzie 13 lipca w Petersburgu spotkał się on z Władimirem Putinem. Wielogodzinne rozmowy, podczas których omawiano m.in. wsparcie

Czy Łukaszenka odejdzie?



Białoruś

Rosji dla Białorusi, zakończyły się średnimi rezultatami. Ceny rosyjskiego gazu zostały co prawda zamrożone na poziomie ubiegłorocznym, ale Łukaszence nie udało się uzyskać rekompensaty za rosyjski „mawnewr cenowy” na rynku węglowodorów, w którego wyniku Białoruś traci – według ocen Mińska – nawet kilka miliardów dolarów rocznie. Moskwa zgodziła się jedynie na dodatkowe kredyty, ale – jak oceniają eksperci – zostaną one udostępnione Białorusi raczej nie w tym roku, a to obecnie reżim najbardziej potrzebuje finansowego zastrzyku. Kreml wywiera w ten sposób presję zarówno po to, aby Mińsk zgodził się na podpisanie umów pogłębiających integrację, jak i by rozpoczął proces polityczny, w tym zmianę konstytucji, i przygotował odejście Łukaszenki.

W opinii niektórych białoruskich ekspertów nowe wybory prezydenckie w świetle przedstawionego kalendarza mogłyby się odbyć już na początku przyszłego roku. Jednak białoruski dyktator pozostawił sobie wyjście awaryjne, wprowadzony do konstytucji zapis o dwóch kadencjach zeruje bowiem licznik poprzednich, co oznacza, że w sprzyjających okolicznościach Łukaszenka może myśleć jeszcze o 10 latach władzy.

Marek Budzisz

Kryzys szczepionkowy

Tajlandia ogłosiła, że zmienia swoją politykę dotyczącą szczepień – zamiast dwóch dawek chińskiej szczepionki Sinovac, mieszkańcy będą otrzymywać mieszanę Sinovac i AstryZeneki.

Z kolei pracownicy służby zdrowia, którzy zostali już w pełni zaszczepieni preparatem Sinovac, otrzymają dodatkowo trzecią dawkę preparatu AstraZeneca jako zastrzyk przypominający.

Podobny krok ogłosiła Indonezja, gdzie również stosowano chińskie szczepionki, ale wobec ogromnego przyrostu zakażeń zdecydowano się na dodatkowe szczepienie personelu medycznego preparatem Moderny. Z chińskich szczepionek w ogóle zrezygnowała za to Malezja, która przechodzi właśnie na produkt firmy Pfizer.

Przyczyną tych decyzji jest niska skuteczność chińskich szczepionek w powstrzymywaniu zakażeń zwłaszcza tych,

które są spowodowane rozprzestrzenianiem się na dużą skalę wariantem delta. Indonezja, która stała się obecnie epicentrum pandemii w Azji, odnotowuje 50 tys. przypadków zakażeń i ponad tysiąc zgonów na dobę. W rezultacie doszło tam już do załamania służby zdrowia. Również w Tajlandii dobowa liczba zakażeń przekracza 10 tys. przypadków.

Wprawdzie przeprowadzone badania wykazały, że ochrona przed zakażeniem, jaką dają chińskie szczepionki wyprodukowane na bazie inaktywowanych wirusów, takie jak Sinopharm i Sinovac, waha się od 50 do 79 proc. Mają one też zapewniać wysoką, niemal stu-procentową ochronę przed hospitalizacją i zgonem, ale dotyczyło to pierwotnego wariantu koronawirusa. W przypadku wariantu delta ochrona przed zakażeniem jest – według

wstępnych danych – o 20 proc. mniejsza. Co więcej – jak wynika z badań opublikowanych niedawno w Tajlandii – poziom przeciwciał u osób w pełni zaszczepionych preparatem firmy Sinovac co 40 dni spada aż o połowę. Nic zatem dziwnego, że w Bangkoku tydzień temu doszło do ulicznych demonstracji, podczas których domagano się ustąpienia premiera i zastąpienia chińskich szczepionek preparatami renomowanych firm zachodnich.

Nie ma za to żadnych doniesień na temat skuteczności szczepień w Chinach, gdzie ponad 630 mln osób otrzymało co najmniej jedną dawkę szczepionki. Jeśli się oprzeć na oficjalnych danych, to epidemia w Chinach jest pod całkowitą kontrolą. Trudno więc wyjaśnić, dlaczego te same albo podobne szczepionki nie zapewniają wystarczającej ochrony w Tajlandii czy Indonezji.

Konrad Kolodziejski





Antysemickie lody

Izrael

Produkująca lody amerykańska firma Ben & Jerry's oświadczyła, że przestanie sprzedawać swoje wyroby na Zachodnim Brzegu. Decyzję tę ogłoszono w ramach protestu przeciwko okupacji tych terytoriów palestyńskich przez Izrael. Ta, wydawałoby się, mało znacząca deklaracja producenta lodów wywołała jednak nieproporcjonalnie nerwową reakcję władz izraelskich.

Premier Izraela Naftali Bennett uznał posunięcie amerykańskiej firmy za „moralnie złe” i zagroził, że już wkrótce okaże się ono również „finansowo złe”. Oczywiście nie mogło też zabraknąć głosu koalicyjnego partnera Bennetta, obecnego ministra spraw zagranicznych Ja'ira Lapida, który natychmiast nazwał zapowiedź wycofania lodów ze sprzedaży „haniebną kapitulacją” wobec antysemityzmu.

Po tej werbalnej kanonadzie władze izraelskie rozpoczęły kontr-offensywę, której celem stał się brytyjski koncern Unilever będący właścicielem firmy Ben & Jerry's. Naftali Bennett zagroził koncernowi „poważnymi konsekwencjami”, jeśli nie przywróci swojego producenta lodów do porządku. Problem w tym, że Ben & Jerry's zagwarantował sobie dużą wewnętrzną autonomię w ramach grupy Unilever i zarząd koncernu nie może po prostu zmusić Amerykanów do ustępstw. Na razie Unilever zapewnił pojednawczo, że koncern zamierza nadal inwestować w Izraelu, nie tylko w przemysł spożywczy, lecz również w start-upy i „programy społeczne”.

Założona w 1978 roku firma Ben & Jerry's podkreśla z kolei, że zostanie „zaangażowana w sprawiedliwość społeczną”. Jej twórcy Ben Cohen i Jerry Greenfield – dwóch Amerykanów żydowskiego pochodzenia, obaj o dość hippisowskim światopoglądzie – od dawna łączą biznes z ideologią i polityką, traktując to jako rodzaj misji, a przy okazji dodatkową formę promocji. Być może to właśnie dlatego Unilever zainteresował się w 2000 r. tą amerykańską firmą. Walczący m.in. z ociepleniem klimatu oraz o prawa mniejszości seksualnych Ben & Jerry's doskonale wpisywał się w nową strategię wielkich korporacji chętnie wchodzących w aliance z obyczajową lewicą. Zwłaszcza że szły za tym duże zyski – dla obu stron.

Tym razem jednak taki wizerunkowy alians może się stać przyczyną kłopotów, gdy „zaangażowany społecznie” zarząd firmy postanowił się zderzyć z nacjonalistyczną polityką władz izraelskich i wziąć w obronę Palestyńczyków. Wynik tego sporu pokaże, czy wielki kapitał pod presją władz Izraela zdoła wytyczyć lewicy dopuszczalne granice „sprawiedliwości społecznej”.

Konrad Kołodziejcki

Szwecja

Równouprawnienie u ekoterrorystów

Szwedzcy rolnicy są ostatnio coraz częściej zmuszeni do zatrudniania firm ochroniarskich, aby chronić swoje gospodarstwa. Przyczyną są ataki samozwańczych obrońców praw zwierząt, którzy nie tylko włamują się na farmy, lecz także zastraszają hodowców.

Według badań Królewskiego Instytutu Technicznego KTH oraz Szwedzkiego Uniwersytetu Rolniczego jeden na trzech rolników padł już ofiarą kradzieży. Natomiast jeden na czterech zgłosił bezprawne wtargnięcie na swoją ziemię. Badania pokazały też, że farmerzy spotykali się nie tylko z groźbami ze strony aktywistów, lecz również kradziono im paliwo, maszyny oraz dopuszczano się wobec nich fizycznej przemocy. W rozmowie z publiczną rozgłośnią Sveriges Radio jeden z hodowców świń potwierdził, że w ostatnich latach bardzo wzrosła liczba włamań na farmy. Peter Lundqvist, profesor ze Szwedzkiego Uniwersytetu Rolniczego i współautor badań, uważa, że akcje przeciwko farmerom mocno wpływają na całą branżę i zmieniają nastawienie rolników do ich pracy. Coraz częściej boją się oni pracować i rozwijać swoje gospodarstwa.

Przypadani przez władze aktywiści ekologiczni są zwykle karani za ataki na farmerów grzywnami. Aby je zapłacić, organizacje aktywistów wymyśliły dość specyficzną formę zarobku. Breitbart News pisze, że członkinie jednej z najbardziej ekstremalnych grup o nazwie Djurfrent zaczęły oferować seksualne usługi online, aby pokryć kary finansowe nakładane na lidera organizacji. Portal cytuje jedną z kobiet, która za finansowe wsparcie „ochrony zwierząt” oferuje przez dwa dni swoje usługi seksualne, określone jako „okres próbny”. Kobieta podpisywała się pseudonimem „gorąca lewica” i umieściła zdjęcie swoich piersi.

Według szwedzkiej gazety „GöteborgsPosten” na forach internetowych pojawiły się też reklamy „lewackiego porno”, gdzie można zobaczyć flagi Antify oraz ALF (Frontu Wyzwolenia Zwierząt). Gazeta cytuje też byłych członków Djurfrent, którzy porównują działanie grupy do sekty kierowanej przez mężczyzn wcześniej skazanych za brutalne przestępstwa. „Musisz poświęcić dla nich wszystko. Inaczej spotyka cię ostracyzm i zastraszanie” – mówi gazecie były członek grupy.

Wygląda na to, że dla dobra „sprawy” radykalowie gotowi są zawiesić na kolku kwestie równouprawnienia kobiet. A może to po prostu zwykłe wykorzystywanie naiwnych?

Łukasz Adamski

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Spadkobiercy



**Dominik
Zdort**

Trudno stwierdzić, co się dzieje za murami biurowca przy Czerskiej w Warszawie, bo działa tam zasada omerty. Ale falujący dywan pokazuje, że walka buldogów trwa. Bunt części „Gazety Wyborczej” przeciw kierownictwu firmy raczej się nasila.

To dobrze, że w tej redakcji teoria w końcu skonfrontowała się z praktyką. No bo w teorii często była mowa o dziennikarskiej wolności – zawsze wtedy, gdy właścicielem mediów zostawał wydawca o poglądach innych niż te, które prezentowała „Wyborcza”. I etycy biznesu z Czerskiej negowali prawo własności, broniąc buntów, jakie wszczynali żurnaliści.

Ale kiedy jakąś gazetę przejmował wydawca bliski „GW”, zwalał całe szefostwo i najważniejszych dziennikarzy, to Czerska albo milczała, albo wspierała nowego właściciela, nawet jeśli okazywał się burakiem nierozumiejącym mediów.

Dziś redakcja „Wyborczej” sama jest w konflikcie z zarządem Agory. Jednak idzie nie o poglądy, ale o model biznesowy, o to, czy można redagować pismo, nie biorąc pod uwagę, czy potrafi ono nie przynosić strat. To zresztą efekt zadawnionego konflikt między redakcją „Wyborczej” a redakcją portalu gazeta.pl, który przed laty spowodował rozdzielenie tych dwóch medialnych bytów, a potem

powołanie przez „GW” własnego – konkurencyjnego dla gazeta.pl – portalu wyborcza.pl.

Wiem, to skomplikowane. Dziś, śledząc enuncjacje zarządu i redakcji, między wierszami można wyczytać, że kierownictwo spółki w ramach optymalizacji wydatków i utrzymywania ładu korporacyjnego postanowiło scalić te trzy byty medialne, skoordynować ich działania, połączyć redakcje – i na tym zaoszczędzić.

To komunikaty bardzo korzystne dla polskiego rynku medialnego. Działania zarządu Agory jawnie pokazały – niezależnie od tego, jak ściemniało się w giełdowych sprawozdaniach – że mediany konglomerat jest tak słaby finansowo, iż musi szukać oszczędności, a w dodatku tak skłócony, że walka idzie tam na kły i noże.

Czego najmocniej dowodzi niedawna reklama w „Wyborczej”. Tłum niesie na niej ogromną niebieską flagę z unijnymi gwiazdami. A napis głosi: „Prawdziwa »Wyborcza« w internecie to wyborcza.pl”. Acha, czyli ta druga (gazeta.pl) to już nie jest prawdziwa... Cóż, akurat przy Czerskiej powinni pamiętać, czym grozi dzielenie Polaków na nieprawdziwych i na prawdziwych. No i w końcu wiadomo, kto jest spadkobiercą ONR...

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL



NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

BRONISŁAW WILDSTEIN

Cenzura dla tolerancji

Radni z Warszawy przyjęli uchwałę „zakazującą poruszania się niektórymi rodzajami pojazdów”. W rzeczywistości wymierzona jest ona przeciw krytyce LGBT i aborcji. Uchwała czeka jeszcze na decyzję wojewody, który może ją zablokować. Została poparta przez wszystkich radnych PO, co demonstruje pozycję, jaką na kulturowej scenie zajmuje dziś partia Tuska.

Uchwała nie pozwala na „poruszanie się na terenie Warszawy pojazdów oklejonych zdjęciami, napisami, plakatami banerami lub transparentami zawierającymi lub emitującymi za pomocą urządzeń nagłaśniających treści mających na celu ukazanie osoby, grupy osób, instytucji, osoby prawnej lub jednostki organizacyjnej niemającej osobowości prawnej w sposób nieprawdziwy, a zarazem obraźliwy, ośmieszający lub poniżający w oczach opinii publicznej” itd.

Treści pokazane na samochodzie muszą ograniczyć się do hasła i wizerunku. Jakie hasła czy wizerunki są prawdziwe? Trudno np. reklamy uznać za manifestację prawdy. Można wprawdzie przyjąć, że kryterium to w ogóle nie odnosi się do marketingowej działalności, tym bardziej więc prowokuje wątpliwości, co do prawnej definicji „prawdy” w odniesieniu do napisów i obrazów na pojazdach. W tym przypadku chodzi jednak dodatkowo o przesłanie „obraźliwe” i „ośmieszające”. Żart, a zwłaszcza karykatura czy parodia zawsze posługują się wyolbrzymieniem, które jako odbiegające od rzeczywistości uznać można za nieprawdę. Czy przekazy, w których celuje totalna opozycja, w rodzaju skrzywionych w odrażającym lub groteskowym grymasie twarzy rządzących, ściągane będą przez władze stolicy w myśl nowej uchwały? A pojazd oklejony napisami: „Stop lex TVN!”? Wprawdzie zdanie takie logicznie nie podlega kryterium prawdy, ale uznać można, że wprowadza w błąd odbiorcę, gdyż przeinacza „w sposób obraźliwy” nazwę Ustawy o radiofonii i telewizji.

Wiemy jednak, że ten dziwaczny i arbitralny zapis jest wprowadzany nie w odniesieniu do wspomnianych przypadków, ale krytyki „gender”. To dążenie do zakazu funkcjonowania w przestrzeni publicznej alternatywnych do dominującej ideologii treści. Mają być one zakazane jako „mowa nienawiści”. Według dominującej doktryny samosformułowanie „ideologia LGBT” należy już do tej klasy. W rzeczywistości nie sposób nazywać inaczej korpusu przekonań, które sprowadzają ludzi do ich seksualnych preferencji oraz definiują kulturę poprzez stosunek do tzw. nieheteronormatywnych. Że też komunistom nie przyszło



do głowy zakazać określenia „ideologia komunistyczna”, uzasadniając, że w ten sposób odczłowiecza się walczących o swoje prawa robotników. Rewolucja jednak postępuje. Jeszcze niedawno niewyobrażalne byłoby to, co dziś stało się faktem, czyli uznanie obrony rodziny za mowę nienawiści i dyskryminację LGBT.

Jeszcze bardziej wymowny jest kolejny zapis projektowanej ustawy, który zakazuje ukazywania na pojazdach treści „drastycznych, w szczególności przedstawiających zwłoki lub szczątki ludzkie oraz części ludzkiego płodu”. W tym wypadku mamy do czynienia z cenzurą manifestacji antyaborcyjnych, które odsłaniają, czym naprawdę jest ten zabieg. Dominujący trend kulturowy, który sprawdza aborcję do kosmetyki i dąży do uczynienia jej „prawem człowieka”, musi znową milczenia osłonić jej prawdziwą naturę. Ma być zakazane pokazywanie publicznie zdjęć rozrywania płodu, czyli praktycznego wymiaru tego aktu, aby nie naruszać komfortu psychicznego tych, którzy go propagują. Trudno wyobrazić sobie skrajniejszą hipokryzję. Ma być ona prawnie chroniona. Ci, którzy opowiadają o swoim humanitaryzmie, wypychają poza dopuszczalny przekaz opis działań, które uczynić chcą normą życia społecznego. W imię psychicznej wygody zakazane jest odsłanianie rzeczywistego wymiaru aborcji czy eutanazji, które mogą być szeroko praktykowane wyłącznie pod osłoną cenzury. Trzeba wypchnąć ze świadomości, a więc w żadnym wypadku nie pokazywać, czym jest aborcja, aby utrzymać opowieść o tym, że jest ona OK i w ogóle znaczy tyle, co usunięcie narośli na skórze.

Ideologia nie ogranicza się do perswazji i kulturowej presji. Swoje dezyderaty narzucać chce za pomocą prawa, a więc posługuje się przemocą, aby wyeliminować niewygodne racje i argumenty. Wszystkie owe zapisy na temat mowy nienawiści czy coraz dalej idące zakazy „dyskryminacji” mają uniemożliwić jakąkolwiek krytykę narzuconych nam poglądów czy poczynań, np. gender i aborcji na życzenie. Co powiedzieć o rzecznikach poglądów, którzy przeciwnikom zamykają usta i zakazują odsłaniania choćby migawki z wychwalanych przez siebie praktyk? Oficjalnym uzasadnieniem będzie „godność człowieka”, jego prawa itp. Cenzura zawsze budowana była dla obrony wartości.

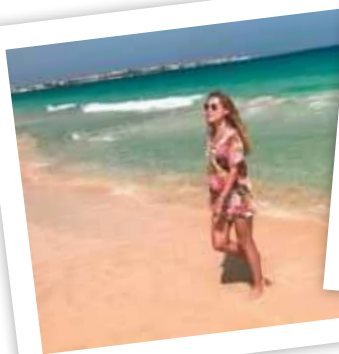
Fot. Andrzej Wiktor

Autopromocja

Walizka Weroniki Jaskółki

aktorki i prezenterki sportowej

P przed covidem bardzo dużo podróżowałam. Moją ulubioną destynacją były Włochy, miejsce o niesamowitym klimacie, świetnym jedzeniu i doskonałej pogodzie. Udało mi się zwiedzić trochę Europy, mimo dużego strachu przed lataniem. Podróżowanie zawsze było ulubioną częścią mojego życia.



IPOD

W podróży zawsze był ze mną mój 13-letni iPod, na którym zdążyłam zgromadzić wszystkie ulubione hity od 17. roku życia. Przy starcie samolotu słuchałam najgłośniejsze, jak się dało, ulubionych piosenek, żeby zagłuszyć huk samolotu i pozytywnie się nastawić.



SUKIENKA

Na wieczory też mam zawsze jakiś strój.

Moja czarno-biała elegancka sukienka i czarne sandały na obcasach nadają się na wieczorne wyjścia na miasto.





POMADKA

Zawsze mam przy sobie sztyft do ust, który chroni przed słońcem. Często właśnie one narażają się na opryszczenia i poparzenia.



OLEJEK

Kokosowy do opalania z Australii. Ma piękny zapach i robi cudowną brązową opaleniznę.



TERMOS

Lubię mieć z sobą termos, mój ulubiony jest w szarym odcieniu. Nigdy nie wiem, jak daleko będę mieć do sklepu.



CHUSTA

Moja kolorowa chusta na plażę – może służyć do osłaniania ramion, ale też mogę rozłożyć ją na piasku, żeby nie nosić wszędzie ręcznika.



LEKTURA

David Hawkins to jeden z moich ulubionych autorów. Jego książki pomagają mi zajrzeć w głąb siebie i przekraczać poziomy świadomości.



KOSMETYCZKA

Warto mieć przy sobie kosmetyczkę z kilkoma podstawowymi kosmetykami. Puder, szminka, tusz i zawsze na szybko można coś poprawić.



TORBA

Mam swoją ulubioną torbę na plażę, która ma ładnych kilka lat. Jest kolorowa i znakomicie wygląda z jeansem.



KOSTIUM

Wygodny, idealnie pasujący do mojej sylwetki. Jego kolory odpowiadają mojemu nastrojowi, gdy mam dobry humor.



ZAPACH

Ulubione perfumy Gucci Envy, używam ich już od kilku lat.



ROGAL

Dobrze jest podróżować z poduszką na szyję. Żeby było wygodnie czy to w samochodzie, czy samolocie i głowa nie latała, jak się przyśnie.



Wysłuchał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

I weź tu nie rób przekopu



Tym razem oberwały karpie. Nawet im nie przepuszczą. Amerykański urząd ds. ryb i dzikiej przyrody, aby uniknąć stosowania określeń negatywnie kojarzących się z azjatycką kulturą i ludźmi, zainicjował zmianę nazwy karpia azjatyckiego. Słodkowodna ryba otrzymała nową nazwę, gdyż stara została uznana za rasistowską – informuje dziennik „New York Post”. Ponieważ karp azjatycki sieje spustoszenie w wodach na Środkowym Zachodzie USA i jakoś trafił tam z Chin, postanowiono przemianować go na „karpia inwazyjnego”. Stan Minnesota już dawno temu przestał używać nazwy „karp azjatycki”, która odnosi się do czterech różnych gatunków, a grupa zwana Regionalnym Komitetem Koordynacyjnym ds. Karpia Azjatyckiego planuje zrobienie tego samego od 2 sierpnia. Natomiast w stanie Nowy Jork grasuje inny inwazyjny gatunek – ćma cygańska. Gąsienice tego owada opanowały w tym roku północną część stanu, pozostawiając lasy bez liści, a okoliczne podwórka w odchodach gąsienic. Krzyk podnieśli tamtejsi Romowie, którzy twierdzą, że nie mają jako grupa etniczna nic wspólnego z tym zjawiskiem i nie odpowiadają za straty. Poza tym nie są ćmami, co chyba widać. W związku z tym, ich zdaniem, mamy w tym przypadku do czynienia z tzw. czystą obelgą etniczną. Amerykańskie Towarzystwo Entomologiczne potraktowało sprawę poważnie i zakazało używania tej nazwy. Następne w kolejce powinny być: gatunek małpy – czarny wyjec, a u nas czarna polewka. O czarnej kawie nie śmiem wspomnieć.

Ponieważ wszyscy, no prawie wszyscy, piszą o powrocie Tuska, postanowiłem i ja. Senator PO Stanisław Gawłowski zamieścił na Twitterze grafikę z następującym wpisem: „Nie pytaj, co Tusk może dla Ciebie zrobić, pomyśl, jak Ty możesz wspomóc Tuska”. Wspomniany aforyzm jest trawestacją powiedzenia prezydenta USA Johna Fitzgeralda Kennedy’ego: „Nie pytaj, co Ameryka może zrobić dla ciebie, ale co ty możesz zrobić dla Ameryki”. Gawłowski – „bohater” afery melioracyjnej już odsiedział trzy miesiące w szczyńskim areszcie tymczasowym i wyszedł za kaucją. Również jego żonie w związku z tą samą aferą został przedstawiony zarzut prania brudnych pieniędzy. Sam Gawłowski ma siedem zarzutów, z czego cztery dotyczą korupcji i grozi mu kara do 15 lat więzienia. Ale chytry „poszedł w senatory” i – jak głosi „doktryna Neumanna” – na razie mu się upiekło. Pytanie powinno więc brzmieć: nie pytaj, co prokuratura

powinna dla ciebie zrobić, tylko co ty możesz zrobić dla prokuratury. Odpowiedź jest jasna. Zrzeknij się mandatu i stań przed sądem, a kult jednostki zostaw swoim kolegom z PO.

Byli dziennikarz TVN Kamil Durczok zmaga się w ostatnich latach z wieloma problemami. W marcu 2021 r. został skazany w związku z kolizją na autostradzie A1 w okolicy Piotrkowa Trybunalskiego, którą spowodował dwa lata temu, prowadząc samochód pod wpływem alkoholu. W styczniu z kolei został oskarżony przez katowicką prokuraturę o podrobienie podpisu swojej byłej żony w celu wyludzenia kredytu hipotecznego i pożyczki. Teraz z powodów, których możemy się tylko domyślać, rezygnuje z aktywności w mediach społecznościowych. „Dzień dobry. Znikam z tt na jakiś czas. Ale wrócę. Trzymajcie kciuki” – napisał. Wielu odetchnie z ulgą, jego wpisy wyraźnie wskazywały bowiem na kiepski stan mózgu porażonego promilami i lewicowo-liberalną ideologią.

Są pierwsze konkretne reakcje (przypominające odruchy psa Pawłowa) Kremla na budowę przekopu przez Mierzę Wiślaną. Agencja TASS poinformowała, że w skład rosyjskiej Floty Bałtyckiej weszły właśnie dwa kutry desantowo-szturmowe projektu 02510 typu BK-16. Łódź ta może pomieścić trzech członków załogi i do 18 osób. Wyposażona jest w zdalnie sterowany moduł broni Kałasznikowa: karabin maszynowy kalibru 12,7 mm i granatnik 40 mm oraz trzy karabiny maszynowe kalibru 7,62 mm. Kutry są przeznaczone do transportu morskiego, lądowania sił szturmowych, wsparcia ogniowego dla desantu, działań antysabotażowych, akcji ratowniczych czy walki z piractwem i terroryzmem. Według portalu Defence24.pl bazowanie okrętów w Primorsku nad Zalewem Wiślanym może świadczyć o tworzeniu tam bazy dla sił desantowo-szturmowych Floty Bałtyckiej: „Jednostki tam stacjonujące mają być przeznaczone przede wszystkim do działania w rejonie Zalewu Wiślanego, a więc głównie przeciwko celom znajdującym się na terytorium Polski”. Kiedyś takie działanie nazywano „polityką kanonierek”. I weź tu nie rób przekopu.

Andrzej Rafał Potocki

Czas na zielone przystanki

Poczucie związku z naturą jest biologicznie zakodowane w ludzkim organizmie. Zyskujący coraz większą popularność w architekturze i urbanistyce termin *biofilia* oznacza „umiłowanie życia i form życia”. Amerykański biolog Edward O. Wilson w wydanej w pierwszej połowie lat 80. ubiegłego wieku książce zatytułowanej „*Biophilia*” przedstawił teorię wrodzonego powinowactwa wszystkich żywych istot, skłonności człowieka do zbliżania się do natury i odczuwania harmonii z przyrodą.

Inwestowanie w tereny zielone w aglomeracjach miejskich nie tylko pomaga środowisku, lecz według Światowej Organizacji Zdrowia również korzystnie wpływa na zdrowie psychiczne. W Holandii przeprowadzono badanie z udziałem ponad 300 tys. osób. Wyniki wskazały, że ludzie mieszkający w pobliżu zieleni mają mniej problemów z lękiem i depresją oraz takimi chorobami, jak cukrzyca, migrena, astma, choroby serca, bóle mięśni, niż osoby mieszkające na obszarach, gdzie przeważa gęsta zabudowa i brakuje roślinności. Zapewne nieprzypadkowo w restauracjach największą popularnością cieszą się stoliki zlokalizowane przy zieleni i w ogródkach.

Psycholog Roger Ulrich, autor publikacji „Korzyści zdrowotne ogrodów w szpitalach”, wykazał, że rekonwalescencja pooperacyjna przebiega szybciej u pacjentów, którzy przebywają w salach z widokiem na krajobraz bogaty w roślinność. Inwestowanie w naturę przynosi zatem wymierne korzyści dla profilaktyki szerokiego spectrum chorób. Już Hipokrates i Arystoteles wskazywali na ścisły związek pomiędzy zdrowiem człowieka, ochroną zdrowia zwierząt i kondycją środowiska.

Biorąc pod uwagę postępujący proces urbanizacji, dbałość o przyrodę w miastach, inicjowanie jej rozwoju na jak największym obszarze może mieć niebagatelny wpływ zarówno na panujący w miastach klimat (obniżenie temperatury, oczyszczanie powietrza, magazynowanie wody), jak i właśnie na nasze zdrowie. Postulat projektowania biofilicznego ma na celu kreowanie przestrzeni stanowiącej zdrowe, zrównoważone i piękne środowisko, przyjazne zarówno człowiekowi, jak i pozostałym istotom.

Przykładem wypełniania miast opisaną ideą jest zazielenianie przystanków autobusowych, w których pasy drogowe są ubogie w drzewa i krzewy. Według producentów nowatorskich wiat dach przystanku pokryty roślinnością może obniżyć temperaturę, a także zatrzymać 90 proc. wody z opadów. Rośliny produkują rocznie ok. 10 kg tlenu, poprawiają jakość powietrza, zmniejszają ilość pyłów zawieszonych i innych zanieczyszczeń o 15–20 proc. Jedna wiata pokryta pnączami może pochłonąć 7,3 kg dwutlenku węgla rocznie. Przystanki pokryte zielenią są przyjazne dla ptaków i owadów, a także odciążając system kanalizacji, przyczyniają się do obniżenia opłat za odprowadzanie wód opadowych i roztopowych. Zielone przystanki można już zobaczyć m.in. we Włocławku, Krakowie, Warszawie, Nowym Tomysku, Radomiu, Rybniku czy Rzeszowie.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Pierwszą miejscowością, która postawiła na zwiększenie komfortu oczekujących na transport komunikacją miejską oraz ekologię, były Siemiatycze, gdzie wiaty przystankowe obsadzono zielenią już w 2017 r. W Białymstoku na roślinnych przystankach zamieszczono tablice informujące o zasadach segregacji odpadów i dbałości o czyste powietrze oraz innych proekologicznych postaw. Zielone przystanki istnieją także w Kaliszu, którego władze dodatkowo zachęcają mieszkańców do udziału w zazielenianiu miasta, rozdając sadzonki drzew i nasiona łąki kwietnej.

Inicjatywy proekologiczne są coraz powszechniejsze w wielu miastach świata. Np. w Singapurze, poza wybudowaniem zielonych przystanków, przeprowadzono także badanie wykorzystania przestrzeni na dachach autobusów nazywane „Ogród w ruchu”, którego celem było sprawdzenie, czy zieleni może pomóc obniżyć temperaturę wewnątrz autobusów i zmniejszyć ilość paliwa potrzebnego do zasilania klimatyzacji. Eksperyment autobusowy łączył się z innymi inicjatywami w Singapurze, takimi jak Green Mark Scheme, którego celem jest, aby 80 proc. budynków było zielonych do 2030 r.

REKLAMA

"Czas to miłość"
ks. Michał Dziędzic
i Weronika Ostrowska
poniedziałek-piątek, godz. 6.20,
12.45 i 18.45
sobota, godz. 8.15 i 12.45

"Moja misja na ziemi"
Ewa Pietrzak
sobota, godz. 10.30

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

RZECZY POSPOLITE

Aktor Donald

Jedna z najwspanialszych postaci, która do polityki weszła ze świata filmu i teatru, to Ronald Reagan. Amerykański prezydent potrafił swoje umiejętności aktorskie zamienić w misję polityczno-cywilizacyjną i twardo grać przeciwko Sowietom, stojąc po stronie fundamentalnych wartości cywilizacji Zachodu. To jeden z rzadkich przypadków, w których aktor staje się mężem stanu. Najczęściej jednak ten jeden z pierwszych zawodów świata nie jest źródłem, z którego, niczym Afrodyta z morskiej piany, wychodzą na brzeg rzeczywistości politycy prawdziwie wielkiej skali i formatu. Notabene, ilu ich w ogóle w dziejach było? Niewiele... Istnieje jednak sprzężenie odwrotne – by móc skutecznie uprawiać politykę, trzeba się stać świetnym aktorem. Musi nim być właściwie każdy, kto jest w polityce – inaczej trzeba szukać innego zajęcia. W politycznych grach istnieją tego „aktorstwa”, a w zasadzie szalbierstwa socjotechnicznego, różne poziomy – niektóre mieszczą się jeszcze w ramach klasycznie rozumianej przyzwoitości, inne już nie.



**Tomasz
Łysiak**

Donald Tusk jest, w moim mniemaniu, takim politycznym aktorem, który na przestrzeni lat – najpierw w Polsce, a potem w Europie – wypracował sobie bogaty socjotechniczny warsztat i na zimno go używa.

Wspominałem już w poprzednim felietonie, iż Tuska nie należy lekceważyć (i nie ma to nic wspólnego z ocenami związanymi z moralnością w polityce – te, szczególnie w kwestii tragedii smoleńskiej, są i powinny być dla szefa PO miażdżące). Chodzi o zasób środków i umiejętności, które Donald Tusk posiadał i posiada.

Niech nikogo nie zwiodają jego „nerwowe reakcje” na pytania reporterów z TVP Info. To w moim mniemaniu nie są żadne „nerwowe reakcje”, tylko z góry, na zimno wykalkulowana gra – prowokowanie, budowanie konfliktu, negacja mediów państwowych, ostre ataki na PiS. Po co? W jednym, prostym celu – rozbicia konkurencji w opozycji. W tym aktorsko-politycznym teatrze chodzi nie o sam atak na PiS (co jest wiecowym motorem wypowiedzi), ale poprzez niego zdobycie pozycji lidera całej opozycji i zniszczenie na niej konkurentów. Temu w moim odczuciu ma służyć cała ta przemyślana „kreacja” aktora Donalda.



O zasypywaniu traumy

Z aktorką Ewą Błaszczyk rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kim jest bohaterka, którą przedstawi pani widzom w *Sali pod Liberatorem*?

Ewa Błaszczyk: Spektakl „Nazywam się Tamara Biakow i jestem legendą” – w mojej reżyserii i wykonaniu – to owoc pandemii. Żeby nie oszaleć, zaczęłam czytać sztuki. Chciałam zadać sobie pracę. I między łóżkiem a „spacerniakiem” znalazłam tekst Jacka Góreckiego. Z wielkim potencjałem. O zasypywaniu traumy, w tym przypadku wyrosłej z wojny – światowej sławy operowa diwa, także żona i matka, rozlicza się z ciężaru Holocaustu. Monodram jest koprodukcją Teatru Studio, Muzeum Powstania Warszawskiego i mojej firmy EWA.

Jak ten spektakl wpisze się w szczególnie, warszawski, sierpniowy czas?

Myszę, że odnajdzie się w nim każda osoba „przejechana” przez życie. Tekst jest bardzo pojemny, wszystko się w nim mieści – zasy-

pywanie wyrwy po stracie, doświadczenie bliskości śmierci, nieradzenie sobie z samym sobą...

Czy prapremiera w Muzeum Powstania Warszawskiego przyniesie dodatkowy wydźwięk?

Każdy, kto znajdzie się w tej przestrzeni, wchodzi w wojnę, w cierpienie. To współgra z charakterem tekstu. Wszystko dzieje się w nim „w środku”, w emocjach.

Co poza spektaklem pomagało pani okiełznać czas pandemii?

Fundacja „Akogo?” działała bez przestojów, na terenie Szpitala Bródnowskiego trwa budowa kliniki Budzik dla dorosłych (otwarcie nastąpi w 2022 r.). Znalazłam też kolejne interesujące sztuki. Poza tym Ola jest w domu, a mama – również pod specjalistyczną opieką – na Mokotowie... Otworzyliśmy przychodnię konsultacyjno-medyczną Akogo-Med, o profilu neurologiczno-neurochirurgicznym. Jest w co ręce włożyć.



Fot. Agnieszka Weiss/AFP

Olimpiada w cieniu pandemii. Z rocznym opóźnieniem rozpoczęły się XXXII Letnie Igrzyska Olimpijskie w Japonii. Potrwają do 8 sierpnia. W wiosce olimpijskiej nad Zatoką Tokijską zamieszka 18 tys. sportowców i działaczy. Ich bezpieczeństwo to oczko w głowie organizatorów. O medale będzie walczyć ponad 200 Polaków.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIEŚLICKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CECYLIJA KOWALSKA, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODZIEDYCJA: ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIE MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.

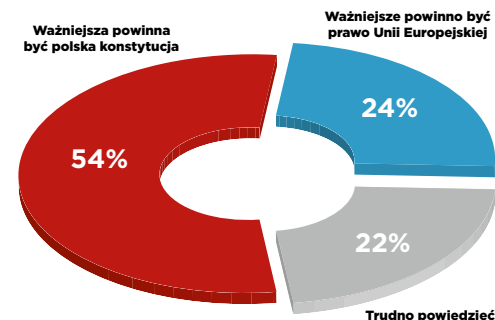


FOT. NA OKŁADCE: PAWEŁ SUPERNAK/PAP, SHUTTERSTOCK/2

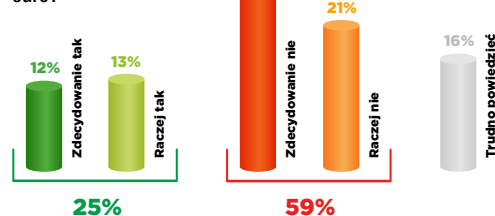
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl



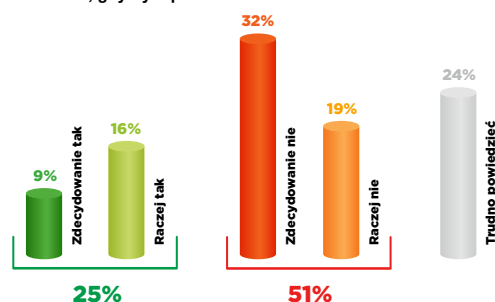
Czy według Pani/Pana w Polsce powinna być ważniejsza konstytucja czy prawo Unii Europejskiej?



Czy popiera Pani/Pan rezygnację przez Polskę z własnej waluty, czyli złotego, i wprowadzenie euro?



Czy wierzy Pani/Pan Donaldowi Tuskowi, że Ewa Kopacz opracowała i miała gotowy program podobny do „500 plus” w 2015 r., gdy była premierem?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1049.
Zakres czasowy badania 16-19 lipca 2021 r.

To o Tusku Rosjanie mówili: „Nasz człowiek w Warszawie”

Tusk w czasie spotkań w wąskim gronie pytał: „Po co nam ta tarcza antyrakietowa? Przecież ona jest nam niepotrzebna do niczego”. Kwestia bezpieczeństwa narodowego, które mogą nam zapewnić przede wszystkim Amerykanie, była dla niego nieistotna



Jacek Karnowski
rozmawia z **Witoldem**
Waszczykowskim,
byłym ministrem spraw
zagranicznych

Co pan pomyślał, gdy Donald Tusk zaczął mówić o „ruskim ładzie”, który rzekomo buduje w Polsce rząd Prawa i Sprawiedliwości?

Witold Waszczykowski: Zadziwia mnie, że opozycja nie potrafi się zdecydować, czy my jesteśmy jakąś „brunatną zarazą”, jakimś „fasyzmem”, czy też budujemy reżim na wzór putinowski. A przecież po drodze była też Korea Północna. Do dziś pamiętam reportaż w CNN, w którym sugerowano, że to idzie w tę stronę. Poprosiłem wówczas na rozmowę ambasadora USA w Polsce Paula Jonesa, pokazałem mu ten materiał i zapytałem retorycznie: „Czy ty naprawdę masz poczucie, że mieszkasz w Korei Północnej?”.

Był także zarzut, że PiS buduje „drugą Białoruś”.

Tak, to też było. Chciałbym, żeby się w końcu zdecydowali. A mówiąc poważnie, to jest wynik ogromnej frustracji opozycji. To jest w istocie poszukiwanie takiego oskarżenia, które w końcu wywoła negatywną reakcję społeczną wobec PiS. Jak na razie niczego takiego nie znaleziono.

Zarzut prorosyjskości – działania w interesie Putina – jest jednak w Polsce najmocniejszy, z oczywistych względów.

Fot. Andrzej Wiktor

On jest mocny, ale też patrząc obiektywnie, jest również w Polsce pewna „wrażliwość na Rosję”. Na wielu spotkaniach znajduje się człowiek, który wstanie i zapyta: „Czy nie możemy się dogadać z Rosją, żyć przyjaźnie, handlować, zarabiać? Bo przecież to wielkie mocarstwo, spójrzcie na mapę, na to, jaką mają armię”. Kilka dni temu taksówkarz pytał mnie, po co nam te amerykańskie czołgi, czy my liczymy, że wygramy wojnę z Rosją? Odpowiedziałem: „Nie, nie wygramy, ale zrobimy ją tak kosztowną, że Rosja nie będzie nas chciała zaatakować”.

Czy tego typu prorosyjskie myślenie, o którym pan mówi, przenosi się na poziom polityki partyjnej?

W największym stopniu w odniesieniu do PSL. To jest nadzieja, że dobre relacje z Rosją sprawią, że sprzedamy nasze ziemniaki, jabłka, cebulę i dobrze zarobimy, rzekomo kupimy taniego gazu, a w ogóle to nasza chata z kraju. Pewne prorosyjskie, endeckie resentymenty widoczne są także na obrzeżach Konfederacji, bo to przecież „biała rasa”, chrześcijanie, trzeba z nimi iść przeciwko Niemcom, a w ogóle po co nam ci Amerykanie, ten Zachód tyle razy nas oszukał... No i jest oczywiście Platforma Obywatelska, formalnie formacja prozachodnia.

Na ile również w praktyce prozachodnia, antyrosyjska?

Nie mogę nie przywołać zerwania rokowań w sprawie tarczy antyrakietowej w roku 2008 r. Zajmowałem się tą kwestią w rządzie PiS i po zwycięstwie PO zostałem poproszony przez Radosława Sikorskiego o dokończenie tej sprawy. Szybko się okazało, że Platforma tarczy nie chce. Tusk w czasie spotkań w wąskim gronie pytał: „Po co nam ta tarcza? Przecież ona jest nam niepotrzebna do niczego”. Kwestia bezpieczeństwa narodowego, które mogą nam zapewnić przede wszystkim Amerykanie, była dla niego nieistotna. Tarcza antyrakietowa została potraktowana instrumentalnie, chodziło o ukłon w stronę Niemiec, chodziło o odrzucenie współpracy z USA. To była decyzja doktrynalna.

Całkowicie świadoma?

Tak. Zrobiono to za pomocą absurdu – mnożenia żądań: domagano się od

Amerykanów rezygnacji z jurysdykcji nad żołnierzami stacjonującymi w Polsce. Domagano się wielkich, darmowych dostaw broni. Nie było na to żadnych szans.

Czyli rezygnacja z tarczy była świadomym działaniem tej ekipy?

Tak. W marcu 2008 r. Jarosław Bratkiwicz, szef Departamentu Wschodniego MSZ, sporządził notatkę pt. „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy”. To było ideologiczne uzasadnienie resetu z Rosją. Autor twierdził – tuż przed atakiem na Gruzję! – że „możliwość ekspansji Rosji w rozumieniu politycznym i gospodarczym, a już tym bardziej militarnym, są dosyć ograniczone”. Zakładano, że Polska stanie się forpocztą Zachodu w relacjach z Rosją, że nie będzie wymachiwała szabelką.

Próba zbudowania dobrych relacji z Rosją była wówczas jednym z głównych celów ekipy Tuska?

Tak. To miało być wiano, które Tusk chciał podarować Niemcom. To było działanie zgodne z radą Zbigniewa Brzezińskiego, który mówił: „Bądźcie jak najbliżsi Niemców, a będziecie atrakcyjni dla Amerykanów”. Przytulił się do Berlina tak blisko, jak to możliwe, i w efekcie Obama stracił nas całkowicie z radaru. Tusk nie zabiegał o obecność Amerykanów w Polsce.

Ale może w tej polityce było jakieś racjonalne jądro?

Przyjęto fałszywe założenia. Autor wspomnianej notatki twierdził, że Rosja nie kieruje się mesjanistyczną ideologią, jak uniwersalistycznie pojmowane prawosławie, pansławizm czy doktryna komunistyczna. A przecież Moskwa oficjalnie promowała już od 2007 r. koncepcję tzw. Ruskiego Miru. Oceniano, że Rosja skłania się ku Zachodowi w obliczu zagrożenia chińskiego, islamskiego. Prezentowano Rosję jako sojusznika Zachodu, jako rezerwu surowców. Wyjątkowo błędne diagnozy. W tle było zarzucanie PiS, że działa irracjonalnie, potrząsa szabelką, działa mesjanistycznie. To właśnie wtedy zaczęła się polityka lekceważenia Ukrainy, związana z rachubą, że dogadamy się bezpośrednio z Moskwą. W rezultacie gdy Rosja uderzyła na Ukrainę, Kijów nie zwrócił się do Warszawy, ale

do Berlina. Tusk odmówił też wejścia do procesu mińskiego. Są dowody, że Aleksander Łukaszenka taką propozycję składał, i to dwukrotnie.

Dlaczego?

Tusk uważał, że to Niemcy mają rozgrywać wielkie gry, my możemy pełnić co najwyżej drugorzędną funkcję. Później przyszedł rok 2009 i ówczesny premier wyobraził sobie, że nawiązał bezpośredni, partnerski kontakt z Putinem. To była sławna rozmowa na molo w Sopocie, to była próba zmarginalizowania prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który na Westerplatte wygłosił bardzo ważne przemówienie. Zaczęły się przygotowania do spotkania Tuska z Putinem w Katyniu. Wizytę prezydenta sprowadzono – jak pisał ówczesny ambasador w Moskwie Jerzy Bahr – do poziomu „prywatnej pielgrzymki”. Spowodowało to drastyczne obniżenie poziomu bezpieczeństwa tej wizyty.

Ten sygnał – że jest to wizyta prywatna – docierał oczywiście także do Rosjan?

Tak. Do Rosjanom komunikowano. Cała gra przed Smoleńskiem nosiła znamiona zdrady dyplomatycznej. To była zdrada w stosunku do prezydenta Kaczyńskiego. Jednocześnie zaczęły się liczne, ostentacyjne ceremonie przy grobach radzieckich żołnierzy, przy różnych pomnikach. Gen. Stanisław Koziej uruchomił na szeroką skalę instytucjonalną współpracę z rosyjskim odpowiednikiem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Doszło nawet do współpracy komisji wyborczych! Prezydentowi Miedwiediewowi proponowano inwestowanie w Polsce, Tusk otwarcie mówił, że nie ma nic przeciwko rosyjskiemu kapitałowi nawet w sektorze paliwowym. Planowano rok kultury rosyjskiej w Polsce. Jeszcze w grudniu 2013 r. BBN twierdziło w swojej białej księdze bezpieczeństwa, że Rosja nie zagraża światu! Chwilę później wybuchł Majdan, Rosja zajęła Krym i uderzyła na wschodnią Ukrainę.

Z pana słów wynika, że nawet Smoleńsk nie stał się otrzeźwiającą cezurą. Potwierdzają to zresztą dokumenty. Z Miedwiediewem, który przyleciał na pogrzeb Lecha Kaczyńskiego,

rozmawiano wciąż w tym samym tonie. Opatrzeniu w przyszłość, o porządkowaniu cmentarzy czerwonoarmistów, o włączeniu w tę akcję samorządów i harcerzy. Śledztwo? Nie ma żadnych problemów!

Tak było od pierwszych godzin. Byłem wówczas wiceszefem BBN. Kilka godzin po tragedii mieliśmy spotkanie z marszałkiem Komorowskim w Kancelarii Sejmu. Tam nie było żadnej żałoby! Było zdziwienie, że „przeżył Sasin”. „Jakim cudem?” – pytano. No, pojechał pociągiem. Zdziwienie. Szybko rozdawano stanowiska, żadnej refleksji nad śmiercią. My byliśmy przybici, a tam nawet śladu empatii. Nic.

Jak podchodzono do kwestii przyczyny tragedii?

Gen. Koziej zajmował się głównie kwestią instrukcji HEAD, chciał nowych instrukcji dla pilotów. Nie zadbano o podstawy prawne śledztwa, w BBN wiedzieliśmy, że Polska w 1993 r. podpisała z Rosją umowę o badaniu wypadków lotniczych, którą należało uruchomić. Tusk wołał jednak, by śledztwo prowadziła Moskwa, było mu to na rękę, bo zrzucało z niego odpowiedzialność. W tym czasie w BBN i w Kancelarii Prezydenta bardzo częstym gościem był ówczesny ambasador Rosji w Polsce Władimir Grynin, stał się kimś w rodzaju przyjaciela tamtej ekipy.

W sierpniu 2010 r. minister Sikorski zaprosił na naradę polskich ambasadorów rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa. Jakiej rangi to gest? Jaki jest jego sens?

Na naradę ambasadorów zaprasza się przedstawicieli krajów, które uważa się za zaprzyjaźnione. To jest gest przyjaźni. Także ważny instrument wzmacniania dobrych relacji, tworzenia nowych inicjatyw dyplomatycznych. Fakt, że ekipa PO wystosowała takie zaproszenie, mówi właściwie wszystko. Ale już wcześniej, we wrześniu 2008 r., rząd Tuska zaprosił Ławrowa do Polski. Gdy cały świat albo potępiał Rosjan za napaść na Gruzję, albo zachowywał się wstrzemięźliwie, Warszawa zerwała antyrosyjski front i dała Ławrowowi wygodną platformę do głoszenia swoich tez.

Może Radosław Sikorski po prostu lubi Siergieja Ławrowa? Może dał się politycznie uwieść?

Nie jestem psychologiem, trudno mi ocenić. Wiem jedno: w pewnym momencie Sikorski stał się skrajnie antyamerykański. Niektórzy mówią, że to zaczęło się w 2006 r., gdy pojechał się

Gdy cały świat albo potępiał Rosjan za napaść na Gruzję, albo zachowywał się wstrzemięźliwie, Tusk zerwał antyrosyjski front i zaprosił Ławrowa do Polski

domagać uzbrojenia w zamian za tarczę. Donald Rumsfeld miał go wówczas wyśmiać. Ale nie mam pewnej wiedzy.

Po agresji Rosji na Ukrainę bankructwo rosyjskiej polityki Tuska stało się oczywiste. Czy ekipa PO wyciągnęła wnioski?

Próbowano. Na szczycie NATO w Newport wytargowano od sojuszników tzw. szpicę. W razie zagrożenia do Polski miał dolecieć w ciągu 72 godzin 5-tys. oddział żołnierzy. To jednak była kropla w morzu potrzeb, tym bardziej że wsparcie z zewnątrz byłoby faktycznie niemożliwe. Dopiero po zwycięstwie prezydenta Andrzeja Dudy Polska zaczęła się domagać więcej i dostała znacznie więcej, jasno definiując, że chodzi o obronę przed Rosją.

W świetle tego, co się działo naprawdę, zarzuty Tuska brzmią wręcz kuriozalnie. Przecież to była ekipa, która naiwnie flirtując z Rosją, złamała podstawowe zasady bezpieczeństwa, złamała coś, co można nazwać „narodowym BHP”. W III RP nie było chyba ekipy bardziej prorosyjskiej?

Tusk chyba zakłada, że wszyscy mamy pamięć rybki akwariowej. Sądzi, że nikt tego nie przypomni? Nie przywoła? I to nie jest tak, że my – czyli PiS – jesteśmy przeciwko budowie normalnych relacji

z Rosją, ale bez narażania narodowych interesów. Próbowaliśmy to zrobić, bo przecież jesteśmy sąsiadami, jest kwestia choćby transportu, handlu. Jako minister spraw zagranicznych wysłałem do Moskwy jednego ze swoich zastępców, Marka Ziółkowskiego. Później, po naszym wyborze do Rady Bezpieczeństwa ONZ, w Moskwie była też Joanna Wronecka.

Z jakim skutkiem?

Okazało się, że ze strony rosyjskiej było twarde „nie” dla rozmów na poziomie politycznym. Moskwa nie ukrywała i nie ukrywa, że chce przeczekać rząd PiS. Bardzo negatywną rolę odgrywa rosyjski ambasador w Warszawie Siergiej Andriejew, który kpi, szydzi i prowokuje, odwiedza miejsca pamięci bolszewickiej. Otwarcie przyznaje, że doradza nieutrzymywanie kontaktów z władzami w Warszawie. W pewnym momencie też uznaliśmy, że nie ma sensu szukanie porozumienia, że trzeba przeczekać Putina.

W jakiej mierze proniemiecka i prorosyjska polityka ekipy PO były z sobą sprzężone? Jeśli prawdziwa jest teza o kondominium, rządy wasalne wobec Berlina muszą być wasalne także wobec Moskwy. Dobry nadzorca półkolonii musi zadowolić obu nadzorców?

Oczywiście. Radosław Sikorski chciał to nawet zinstytucjonalizować, proponując „Trójkąt Królewiecki”, a więc format Niemcy–Polska–Rosja. Zakładał, że w tym układzie Polska będzie pasem transmisyjnym. Ale to złudzenie – ani Rosja, ani Niemcy nie potrzebują czegoś takiego. Nic z tego nie wyszło, nikt o tym pomyśle już nie pamięta.

Jakiej Polski chciałaby Rosja? Zdaniem Tuska właśnie takiej, jak obecnie: skonfliktowanej z Brukselą i Berlinem. Były premier pomija przy tym oczywiście choćby fakt rozbudowy armii, strategicznych inwestycji, budowy sojuszy regionalnych.

Putin chciałby Polski sfinlandyzowanej. Chciałby kraju bez ambicji, kraju, który zostawi historię wyłącznie historykom, który nie będzie podważał mitu tzw. wielkiej wojny ojczyźnianej i faktu „wyzwolenia” połowy Europy. Mamy być krajem tranzytowym, grzecznym. My-

śle, że Kremlowi najbardziej pasowałoby kondominium niemiecko-rosyjskie, bez silnej armii, bez natowskich baz, z dominacją rosyjskiego biznesu. Byłby to kraj uprzedmiotowiony, niesuwerenny.

Oba mocarstwa – Niemcy i Rosja – zgadzają się, że Polska ma nie prowadzić ambitnej, podmiotowej polityki zagranicznej.

Nie ma żadnych wątpliwości. W czasach gdy Francja była silniejsza i rządziła Unia razem z Niemcami, prezydent Jacques Chirac powiedział nam, że mamy siedzieć cicho. To do dziś obowiązuje. Niemcy wciąż chcą realizować XIX-wieczną koncepcję Mitteleuropy, zapewne do spółki z Rosją. Wszelkie ambicje krajów naszego regionu – czy to polskie, czy to ukraińskie – są im nie na rękę. Berlin domaga się uległości. W sumie to ma być supermarket. Od Odry na zachód będzie część wystawowa, cały blichtr, a na wschód od Odry – zaplecze: magazyny, parkingi, sprzątanie, praca, usługi dla bogatych. Tam białe kołnierzyki, tu niebieskie kołnierzyki. Owszem, z głodu nie zginiemy, ale nic więcej. Tak wygląda niemiecki pomysł.

Cow sytuacji, gdy jednak idziemy do przodu, rozwijamy się, bogacimy, gonimy Zachód?

Próbuje się nas zatrzymać, różnymi sposobami. Stąd ataki medialne, polityczne, stąd różne dyrektywy uderzające np. w polski transport. I tak też można odczytywać pomysły w stylu Zielonego Ładu. Jeśli nałożymy potężne podatki na energię, paliwa, na komunikację, to wistocie drastycznie ograniczymy ruch w obszarze Schengen. To z kolei oznacza cios w swobodę przepływu ludzi, usług i towarów. Timmermans i inni nie są szaleńcami. To jest próba ograniczenia konkurencji gospodarczej.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Tuska. Przez siedem lat był najpierw przewodniczącym Rady Europejskiej, a później szefem Europejskiej Partii Ludowej. Czy wykorzystywał te ważne funkcje do alarmowania Zachodu w sprawie rosyjskiego zagrożenia? Na polskim podwórku często tweetował, prężąc muskuły. Czy podobnie działał w Brukseli?

Nic takiego nie zauważyłem. Tusk konsekwentnie stał na straży interesów państw zachodnich. Twierdził, że jego rolą jest strzeżenie „interesu całej wspólnoty”. Nie podnosił kwestii rosyjskich, nie wzywał do obrony Ukrainy, nie występował przeciwko Nord Streamowi. Tusk w istocie nie promował żadnych polskich interesów, nie promował także Polaków.

Może to standard w Europie?

A gdzie tam! Jest odwrotnie. Gdy szefową unijnej dyplomacji została Federica Mogherini, to do struktur w Brukseli napłynęła cała fala Włochów. A Niemcy są wszędzie, niemal za każdym komisarzem stoi przedstawiciel Berlina. Tusk

To nie hiszpański Vox czy włoska Liga, z którymi porozumienie podpisało PiS, ale niemiecka CDU – partia patronująca karierze Tuska – buduje gazociąg, którym do Moskwy popłyną pieniądze na zbrojenia

nie wspomagał rządu w Warszawie nawet informacją, czy choćby cichym wsparciem. A w 2015 r. posunął się do straszenia naszego rządu konsekwencjami za odmowę przyjęcia imigrantów z krajów muzułmańskich.

Mówiąc o „ruskim ładzie”, który ma rzekomo budować rząd PiS, Tusk odwołuje się także do tezy, według której dystans wobec Brukseli i Berlina, próba powstrzymania budowy europejskiego imperium, próba obrony suwerenności to realizacja scenariusza Putina, dążącego do rozbicia Unii Europejskiej. Jak pan odpowie na taki zarzut?

To zarzut całkowicie pusty, bo ci, którzy chcą zdominować państwa naszego regionu, nie tylko nie walczą z Moskwą, lecz wręcz ją wspierają. Budują gazociągi, handlują interesami Polski, Ukrainy, ciągle wzywają do dialogu z Rosją,

niezależnie od kolejnych wojen i aktów agresji. Nie rozwiązali żadnego konfliktu. Wciąż żyją złudzeniami o demokracji Rosji. Nie widzą, że Putin chce albo odbudować pozycję, którą miał ZSRR, albo przynajmniej przywrócić koncert mocarstw, który w XIX w. rządził kontynentem. A w tle jest faktyczna korupcja, którą symbolizuje były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder; zachodni politycy są kupowani przez Rosję.

Platforma wypomina PiS także budowanie porozumienia z partiami prawicowymi w Parlamencie Europejskim, które – tak jak Zgromadzenie Narodowe czy włoska Liga – często mają sympatie prorosyjskie. Także z Orbánem, który z Rosją współpracuje dość blisko.

PiS stale uświadamia swoim partnerom, którzy często lekceważą kwestie bezpieczeństwa, że Rosja jest czynnikiem agresywnym. Poza tym, to nie hiszpański Vox czy włoska Liga, ale niemiecka CDU – partia patronująca karierze Tuska – buduje gazociąg, którym do Moskwy popłyną pieniądze na zbrojenia. Mamy w Polsce powiedzenie o złodzieju, który krzyczy: „Łapaj złodzieja!”. To jest ta taktyka. W tle jest przerażenie opozycji, która wciąż nie jest w stanie obalić rządu, która nie ma żadnego programu społeczno-ekonomicznego. Pozostaje coś, co Michał Karnowski nazwał ZUP-ą – a więc zagranica, ulica i prowokacje. Tusk proponuje więc hucpę, totalną rozróbę. Częścią tej strategii jest teza o „ruskim ładzie”.

Jak się przed tym bronić?

Tak jak do tej pory. Nie mamy euro, więc gospodarczo jest nas trudno uderzyć. Ale też nie możemy dawać pretekstów do ataków. Jeśli zapowiadamy reformy, to je robmy. Zbyt często podnosimy jakiś temat, płacimy cenę wizerunkową, a później nic z tego nie wynika. To jest błąd. Trudne sprawy trzeba załatwiać możliwie szybko.

W lutym 2008 r. rosyjski portal gazeta.ru napisał o Tusku: „Nasz człowiek w Warszawie”. Coś w tym było czy to jednak przesada?

W tamtym czasie Tusk robił wszystko, co mógł, by na to miano zasłużyć. 

Wrócił na sto procent. I z taką samą pewnością można stwierdzić, że zechce z polskiej polityki, debaty publicznej zrobić szambo. A ile procent prawdy jest w tym, co mówi dziś Polakom?

Kłamca



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

To nie będzie już tylko podgrzewanie emocji, w jego arsenale mało wyrafinowane żarciki coraz częściej będą ustępować miejsca sianiu nienawiści i przeinaczaniu rzeczywistości. Już wiemy, że nie pohamuje się przed seryjnym wypuszczaniem strzał zatrutych kłamstwem.

Dał tego potężną próbkę w czasie dwóch najważniejszych wystąpień – w czasie Rady Krajowej PO 3 lipca i na wiecu w Gdańsku 19 lipca. Wysłuchaliśmy ich jeszcze raz bardzo uważnie. Feerię tych kłamstw można by długo prostować. Wybraliśmy te najbardziej ordynarne, które dowodzą, że swoich słuchaczy ma za ćwierćinteligentów o kurzej pamięci.

„RUSKI ŁAD”

W jednym i drugim wystąpieniu zastosował jeden z ulubionych chwytów retorycznych – powoływał się na rozmowy z ludźmi, którzy rzekomo zaczepiają go na ulicy i diagnozują tragiczną

sytuację w Polsce. *„Kilka dni temu w Sopocie zastąpiła mi drogę jedna z moich sąsiadek i mówi: – Panie Donaldzie, tak naprawdę oni chcą tutaj wprowadzić »ruski ład« nie »polski ład«”* – mówił na Długim Targu. Hasło szybko i karnie podchwycili partyjni podwładni i rozsiali je w mediach społecznościowych. *„To, że ta agenda PiS-u, to, że to, co robią dzisiaj z Polską, jest tak podobne do tego, co Putin i jego sojusznicy robią w swoich krajach, mógłby ktoś powiedzieć, że to kwestia przypadku, a może pechowo dzisiaj u władzy są ludzie, którzy mają podobne wschodnie poglądy na politykę. Podobne rosyjskie poglądy na relację władzy*

z obywatel. [...] czy powodem tego są ich poglądy, rosyjska infiltracja czy ich głupota, to nie ma większego znaczenia, bo zagrożenie pozostaje dla Polski i Polaków tak samo duże niezależnie od ich intencji” – grzmiał z marsową miną.

Nie trzeba mieć specjalistycznej wiedzy o sytuacji w Rosji, by zdawać sobie sprawę, że gigantyczną hucpą jest porównywanie Polski do kraju rządzonego przez mafiosę o korzeniach w KGB, w którym morduje się politycznych przeciwników, w którym prawa człowieka w zasadzie nie istnieją. Najbardziej perfidne jest jednak to, że jeśli komuś można przypisać inklinację do zaprowadzania „ruskiego ładu”, do sprzyjania jawnie wrogiemu wobec Polski Kremlowi, to właśnie Tuskowi. To jego podstawową ambicją w polityce międzynarodowej było przekonanie świata, że „Rosja się cywilizuje”, że nawet Polska potrafi mieć z nią ciepłe stosunki. Mimo otwarcie neoimperialnej polityki Putina, mimo agresji na Gruzję, mimo dyktatorskich metod tępienia opozycji Tusk autoryzował rosyjskiego władcę jako dobrego partnera do międzynarodowej współpracy.

Był gotów spiskować z nim przeciwko własnemu prezydentowi, oddał Moskwie śledztwo mające wyjaśnić okoliczności tragicznej śmierci Lecha Kaczyńskiego i towarzyszącej mu delegacji. To rząd Tuska oferował Rosjanom więcej, niż oni sami oczekiwali w sprawie kontraktów gazowych, darował Gazpromowi miliardowy dług, zrezygnował z opłat za tranzyt gazu na Zachód, chciał wspólnie budować elektrownię atomową w obwodzie kalininradzkim, zapraszał Siergieja Ławrowa na naradę polskich ambasadorów (kilka miesięcy po katastrofie smoleńskiej).

Trudno zapomnieć o zdjęciach obejmujących się premierów wieczorem w Smoleńsku i o negocjacjach na molo w Sopocie, których szczegółowej treści nigdy nie poznaliśmy – choć z zeznań w prokuraturze Tomasza Arabskiego oraz niejawnych materiałów z MSZ wiemy, że Tusk nie mówił dziennikarzom prawdy, gdy bajdurzył, iż w czasie tego spaceru rozmawiali o... joggingu, w rzeczywistości mowa była i o energetyce, i o uroczystościach

w rocznicę zbrodni katyńskiej, na których żaden z tych polityków nie chciał Lecha Kaczyńskiego. Rosyjscy dyplomaci po wizycie Putina w Trójmieście w 2009 r. w kontaktach z polskim MSZ z satysfakcją mówili o „realiach postso-pockich” i cieszyli się na „dobrą symfonię współpracy”. Szczegółowo opisaliśmy tamte wydarzenia w artykule „Na smyczy Putina” w 2016 r., ujawniając tajne dokumenty odsłaniające kuchnię polsko-rosyjskich rozmów na najwyższym szczeblu. Ujawniliśmy wówczas m.in. notatkę dyrektora Departamentu Wschodniego MSZ „nt. koncepcji wizyty D. Tuska w Rosji”. Znajdowała się w niej m.in. analiza nastrojów na Kremlu. Moskwie chodziło nie tylko o to, by spotkaniem w Katyniu ostatecznie zamknąć w stosunkach z Polską temat zbrodni NKWD, ale też wykorzystać je jako dowód dla świata, że „Rosja definitywnie się zmienia i poszukuje trwałych rozwiązań problemów, z jakimi nie uporała się przez dwadzieścia lat po upadku ZSRR”. Tusk na to przystał. Celu nie osiągnął.

Nie bez powodu moskiewskie gazety pisały o nim: „Nasz człowiek w Warszawie”.

(NIE)BEZPIECZEŃSTWO

„Okradli nas z bezpieczeństwa. [...] Te idiotyczne polityczne inwestycje w prezydenturę Donalda Trumpa [...] w każdej chwili grozi nam kryzys międzynarodowy na skalę, której do tej pory nie znaliśmy. Ta wielka konfrontacja właśnie w wymiarze globalnym będzie miała swój wyraz także tu, w tej części Europy. I Kaczyński wyprowadził nas do kompletnej samotni. Żyjemy w obszarze największego ryzyka, jeśli chodzi o nasz kontynent. I mamy człowieka, który to ryzyko każdego dnia pogłębia” – perorował na partyjnym zebraniu w Warszawie.

Co wynika z jego sojuszy, zobaczyliśmy kilka dni temu. Prezydent USA (o którego zwycięstwie wyborczym Tusk tak marzył i o którym mówił, że jest jego „przyjacielem”) podpisał z Angielą Merkel (na której pasku Tusk zwykł chadzać) taki „kompromis” w sprawie Nord Stream 2, który każe w czarnych

barwach myśleć o przyszłości naszego regionu.

To rząd Donalda Tuska torpedował w 2008 r. negocjacje z USA w sprawie tarczy antyrakietowej (opowiada o tym na naszych łamach były szef MSZ Witold Waszczykowski, który uczestniczył w tych rozmowach). I odrzucił ofertę Waszyngtonu 4 lipca, w dniu najważniejszego święta Amerykanów.

Różnicę w myśleniu o bezpieczeństwie pokazują też te dwie decyzje: 2016 – utworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej, 2009 – likwidacja poboru do wojska.

Wreszcie, to w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego przyjętej w czasie rządów PO-PSL (i Bronisława Komorowskiego w Pałacu Prezydenckim) z 2014 r. nie znajdziemy ani słowa o zagrożeniu ze strony Rosji (choć trwała już wówczas wojna na Ukrainie, byliśmy po aneksji Krymu). Jest za to taki passus: „Nadal obecne są wyzwania i zagrożenia typu militarnego. [...] Nie zniknęła groźba konfliktów o charakterze regionalnym i lokalnym”.

Jakże kuriozalnie brzmią dzisiejsze słowa Tuska o „obszarze największego ryzyka, jeśli chodzi o nasz kontynent”.

A co do lekceważonego i wyszydzanego Trumpa, to za jego prezydentury zniesiono wizy do USA dla polskich obywateli oraz podpisano wiele korzystnych umów. Najważniejsze są oczywiście te wojskowe, na zakup sprzętu najnowszej generacji, oraz energetyczne, na dostawę gazu, które de facto realizują tak pożądaną w Polsce dywersyfikację surowca, umożliwiając uniezależnienie się od Rosji.

„OBROŃCA” MEDIÓW

Politycy Platformy Obywatelskiej zachłyśnięci powrotem Donalda Tuska chyba naprawdę liczą na to, że młodzi Polacy „nie pamiętają jego, jak rządził, nie pamiętają go jako polityka, ale dla nich to jest człowiek, który odniósł wielki sukces”. Takie zdanie wyrwało się w TVN24 Małgorzacie Kidawie-Błońskiej.

Nie mogą więc młodzi pamiętać, jak wyglądały „wolne media” za jego czasów i dlatego można im próbować wciskać pomstujące na PiS przemówienia, jak

to w Gdańsku: „*Dlaczego chcą oddalić się od Europy? Dlaczego chcą zdławić wolne media? Jutro znów będą się starali skutecznie zaatakować TVN. Dlaczego to robią? Bo wolne media są po to, żeby patrzeć na ręce. [...] Oni tak rozumieją suwerenność – panowanie nad ludźmi*”.

Ci nieco starsi albo obdarzeni lepszą pamięcią, mogą się tylko uśmiechnąć na wspomnienie redakcji, prywatnych i państwowych, które prześcigały się w chwaleeniu premiera i jego „dokonań”. Musi być dla Tuska szokiem sytuacja, w której znalazł się po powrocie, gdy w TVP nie śpiewa mu się już urodzinowego „Sto lat” (jak kiedyś w programie Tomasza Lisa), za to dziennikarze telewizji publicznej dociskają go trudnymi pytaniami i nie dają się zbywać jak niegdyś na konferencjach moderowanych przez jego rzecznika Pawła Grasia. Tort w redakcji „Gazety Wyborczej”, obściskiwanie się z Moniką Olejnik na telewizyjnych korytarzach czy jogging z Katarzyną Kolendą-Zaleską – to była „trudna” rzeczywistość premiera, który krytyki nie uznawał. A ten, który na nią sobie pozwalał, redaktor naczelny „Faktu” Grzegorz Jankowski, został zwolniony po interwencji biznesmena Jana Kulczyka u niemieckich współwłaścicieli gazety. Poprosił go o to Paweł Graś, mówiąc, że „pisiosem jest naczelny”, a ta krytyka „to, kurde mać, obłęd”. Treść rozmowy poznaliśmy po publikacji nagrań rozmów podsłuchanych w restauracji Sowa & Przyjaciele oraz w Amber Room. O „wolność mediów” próbowała wtedy zadbać Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wdzierając się do redakcji „Wprost” publikującej kompromitujące ludzi Tuska stenogramy. Na zawsze zapamiętamy obrazy funkcjonariuszy próbujących wyrwać laptopa z rąk ówczesnego redaktora naczelnego tygodnika Sylwestra Latkowskiego.

Ten sam Paweł Graś, najbardziej zaufany człowiek Tuska, spotkał się z wydawcą i właścicielem „Rzeczpospolitej” w nocy przed publikacją artykułu Cezarego Gmyza o „trotylu na wraku tupolewa”. Tekst ostatecznie się ukazał, ale zwolniono potem m.in. jego autora oraz redaktora naczelnego Pawła Lisickiego, co w konsekwencji rozbilo

redakcję dziennika oraz tworzonego przez zespół konserwatywnych autorów tygodnika „Uważam Rze”.

„OBROŃCA” KOŚCIOŁA

„Głoszą wszem wobec, że są katolikami, że wierzą w Boga i Boga mają w sercu. Nikt tak bardzo nie przyczynił się do upadku Kościoła w Polsce jak rządy PiS-u przez sześć lat. Komuniści 40 lat nie dali rady [...] im wystarczyło sześć lat. [...] ukradli wierzącym to, co dla wierzących tak ważne, czyli autentyczny, prawdziwy Kościół. Upodlili instytucję, która chroniła polską niepodległość, naszą moralność, naszą solidarność. Dzisiaj zrobili z niej przybudówkę swojej władzy. Tego też nigdy im nie zapomnimy”.

Kościół katolicki jest traktowany przez Donalda Tuska wyjątkowo instrumentalnie. Gdy dzisiaj tego potrzebuje, stawia się w roli obrońcy instytucji „tak ważnej dla wierzących”, diametralnie inaczej niż w 2012 r., gdy spotykał się z parlamentarnym klubem Ruchu Palikota. Jego przywódca, były wiceprzewodniczący KP Platformy, zdradził w programie Moniki Olejnik, co mówił ówczesny premier. „Możecie sobie zdawać sprawę, że po tych pięciu latach ja jakimś wielkim fanem Kościoła katolickiego to nie jestem. Wszystko, co mogłem od nich złego dostać, to dostałem. Ale nie jestem aż tak jak wy nastawiony na krytykę” – cytował Tuska Janusz Palikot. A od siebie dodawał: „Tusk od zawsze nienawidzi kleru. On tylko udawał, że jest neutralny. Raz czy dwa mnie pytał, czy ja na pewno nienawidzę »czarnych«. To były poufne spotkania, w małym gronie, niepolityczne”.

To wyjątkowa hipokryzja człowieka, który wziął ślub kościelny w 2005 r., po 27 latach od uroczystości cywilnej, „bo chciał zostać premierem”, jak zdradził jego przyjaciel Jacek Merkel. Dodatkową motywacją miały być przygotowania do kampanii prezydenckiej, w której Donald Tusk miał stanąć naprzeciwko Lecha Kaczyńskiego. Widocznie fałchowcy od PR uznali, że uroczystość, którą w katedrze oliwskiej w Gdańsku odprawił abp Tadeusz Gocłowski, przysporzy mu konserwatywnych wy-

borców. Wtedy też poznaliśmy oblicze „bogobojnego” Donalda, który wpuścił do swojego domu w Sopocie tabloid i dał się sfotografować przy rodzinnym ołtarzyku. Gazeta odnotowała, że „w mieszkaniu Donalda, Małgorzaty i Katarzyny Tusków znalazło się miejsce nawet na krzyż”.

Gdy już władzę zdobył, „poszedł z Kościołem na wojnę”, jak opisywał to „Newsweek”. Ograniczając działalność ordynariatu polowego, powiedział o kapelanach „święte krowy w wojsku”. W exposé z 2011 r. mówił, że „nie będzie klękał przed biskupami” i zapowiedział likwidację Funduszu Kościelnego. „To wszystko pokazuje, że Platforma zdecydowała się zająć miejsca antychrześcijańskie, antykatolickie i przeciwnie ludziom wierzącym” – komentował dla rp.pl Tomasz Terlikowski.

DŁUGI I PODATKI

„To państwo, ta gospodarka, ten pomysł na Polskę taki jak z drukarki, ja go nazywam 3D: dług, daniny, drożyzna. [...] Czyli zabrać wszystkim wszystko, po uważaniu dać wybranym grupom trochę się podzielić, resztę rozkraść” – to słowa Tuska z 3 lipca. Można by do nich dodać cytaty z początku pierwszej kadencji premiera Tuska: „Przysięgam Polakom, że każdy, kto w moim rządzie zaproponuje podwyżkę podatków, zostanie osobiście przeze mnie wyrzucony”.

Co było potem? Podniesienie VAT „tylko na chwilę” (z 22 do 23 proc., z 7 do 8 proc. i z 3 do 5 proc.), podwyżka akcyzy na paliwa, wyroby tytoniowe i alkohol, likwidacja ulgi internetowej, wprowadzenie „podatku Belki” dla lokat 1-dniowych, podwyżka składki rentowej ZUS, ograniczenie kosztów PIT dla artystów i dziennikarzy, zamrożenie progów PIT oraz kwoty wolnej od podatku oraz nowe daniny: od miedzi i srebra, podatek bankowy. Ekonomiczna prasa (np. bankier.pl) pisała na koniec rządów PO-PSL o „największym w dziejach III RP wzroście obciążeń fiskalnych”.

I jeszcze jeden cytat z bankier.pl: „Pierwszym budżetem ekipy Donalda Tuska była ustawa na rok 2008 zakładająca 281,9 mld zł dochodów i 309 mld zł



wydatków przy deficycie na poziomie 27,1 mld zł. Budżet na rok 2015 zakłada 297,3 mld zł dochodów i 343,3 mld zł wydatków przy 46,08 mld zł deficytu. Oznacza to wzrosty odpowiednio o 5,5 proc., 11,1 proc., 70 proc. (!). Mimo księgowych sztuczek ministra Rostowskiego, w ciągu ostatnich 7 lat rząd musiał dwa razy nowelizować budżet, choć przed nierealistycznymi założeniami budżetowymi ostrzegali ekonomiści. Mimo wypchnięcia części wydatków poza budżet (FUS, KFD) i faktycznej likwidacji OFE dziura budżetowa zwiększyła się o 70 proc. Za rządów Donalda Tuska Polska co roku łamała unijny limit deficytu finansów publicznych (3 proc. PKB)”.

Dodajmy, że przed rokiem rząd przyjął pierwszy od 30 lat budżet bez deficytu. Jego realizację uniemożliwiła pandemia koronawirusa, która dotknęła niemal każdą gospodarkę na świecie. Mimo to niezagrożone pozostały pro-

Kościół katolicki jest traktowany przez Tuska wyjątkowo instrumentalnie. Gdy dzisiaj tego potrzebuje, stawia się w roli obrońcy instytucji „tak ważnej dla wierzących”. Tymczasem, jak zdradził Palikot, „Tusk od zawsze nienawidzi kleru”

gramy społeczne – m.in. 500+, 13. i 14. emerytura, 300+, a także zerowy PIT dla młodych (do 26. roku życia), obniżone podatki dla firm.

Czym odpowiada na to Tusk? Niedorzecznością o rzekomo przygotowywanym przez rząd Ewy Kopacz programie „podobnym do 500+”.

LASY DLA ŻYDÓW

„Wycięli za swoich rządów 250 mln drzew. To jest ich ekologia. To jest ich walka z katastrofą klimatyczną” – przewodniczący PO wcielał się w aktywistę Greenpeace. Mówił też o „pisowskim obłędzie wyrzynania lasów”. *„Ja nie wiem, może oni myślą, że lasy są z Platformy? Czasami odnoszę takie wrażenie”*. Odpowiedział mu głośny rechot publiczności.

Czy w takim razie Rafał Trzaskowski myśli, że lasy są z PiS? 4 kwietnia 2021 r. „Gazeta Wyborcza” alarmowała, że w stołecznych lasach w 2020 r. wycięto dwa razy więcej drzew (5901,04 m sześć.) niż w roku poprzednim (3375,46 m sześć.), zaś przez pierwszy kwartał 2021 r. już blisko połowę tego, co w 2020 r. (2487,05 m sześć.). Dochody z wycinki zasilają budżet Warszawy.

Donald Tusk chyba musi odbyć rozmowę dyscyplinującą z prezydentem

Warszawy. My potępiać go nie będziemy, bo mamy świadomość, że wycinka jest jednym z elementów dbałości o lasy. Upraszczając: aby las росł zdrowo, trzeba go przetrzebiać – wycinając drzewa chore i te, które np. zabierają niższym dostęp do słońca. Liczby wcale nie są alarmujące – money.pl, powołując się na „twarde dane”, pisało w czerwcu, że „lasów mamy w Polsce znacznie więcej niż w latach 90., a z roku na rok drzew przybywa”.

Warto jednak zwrócić uwagę na inną kwestię, która realnie pokazuje stosunek byłego szefa Rady Europejskiej do polskich zasobów leśnych. Otóż był on skłonny do ich prywatyzacji i przeznaczania pieniędzy z ich sprzedaży na wypłatę roszczeń organizacjom domagającym się odszkodowań za żydowskie mienie zagrabione przez Niemców i Sowieców w czasie II wojny światowej. Wiemy to z ujawnionej przez WikiLeaks depechy ambasadora USA wysłanej do Departamentu Stanu w 2009 r. Victor H. Ashe pisał o obietnicy złożonej przez ówczesnego marszałka Sejmu: „Komorowski stwierdził, iż premier Tusk zmusi niepokornych ministrów, [...] by »dołożyli się do rekompensat«, sprzedając państwowe lasy i nieruchomości”.

Taka próba – podważenia zakazu prywatyzacji lasów – została podjęta na ostatnim posiedzeniu Sejmu w 2014 r. Posłom PO, PSL, SLD i Twojego Ruchu zabrakło pięciu głosów do wymaganej w tej sprawie zmiany konstytucji.

STOP FAKE NEWS

Sporo energii poświęca Donald Tusk, by dowieść, że obecna władza w zasadzie z niczym sobie nie radzi. Widząc przed sobą rozbawiony tłumek, lekko traktuje prawdę w swoich opowieściach. Chodzi przecież tylko o to, by coś chlapanąć, ktoś to podchwyci, poda dalej.

„Dowiadujemy się, że w Turowie zbudowali kolejny blok na węgiel brunatny i go zepsuli, zanim zaczął pracować. To jest kwintesencja pi-sowskiej władzy!”

Na Twitterze PGE Polskiej Grupy Energetycznej napisano: „Blok



Fot. Facebook/Monika Olejnik

Nie mogą młodzi pamiętać, jak wyglądały „wolne media” za czasów Tuska, np. nasłanie ABW na redakcję „Wprost”, tort w redakcji „Gazety Wyborczej”, obściskiwanie się z Moniką Olejnik na telewizyjnych korytarzach

w Turowie nikt nie zepsuł. Poddany jest zaplanowanemu w kontrakcie przeglądowi”. Z szerszego komunikatu koncernu dowiedzieliśmy się, że „postój bloku energetycznego o mocy 496 MW w Elektrowni Turów” rozpoczął się 19 czerwca, a „ustalenia te zostały zawarte w kontrakcie podpisanym 14 maja 2021 r.”.

W pierwszym przemówieniu po powrocie Tusk zdecydowanie przeszarżował w opisie „reżimu PiS”: **„Ja nie chcę żyć w państwie, gdzie rządzący tak zupełnie bezwstydnie wydają rozkazy, żeby bić kobiety – starsze, samotnie demonstrujące kobiety, a gdzieś w mailach i tajnych rozmowach planują wysłać czołgi na**

demonstrujące dziewczyny – nasze żony, nasze matki, nasze córki. Słuchajcie, my żyjemy w takim miejscu!”

Donald Tusk zdecydował ostatecznie, że chce żyć w Polsce. To rzeczywiste kraj, w którym nikt nie zgadza się na bicie kobiet. A co do wspomnianych przez szefa PO maili i tajnych rozmów... No cóż, zmienia się on w internetowego trolla, podając dalej informacje, które ujawniono wśród maili skradzionych Michałowi Dworczykowi. Nie wiadomo zresztą, czy prawdziwą, a jeśli nawet, to była w niej mowa o NIEWYSYŁANIU wojska na protestujących. Tusk robi to z pasją i celowo, oczywiście nie bacząc na zasadę, by fake newsów nie kolportować. „Ruski ład” wprowadza PiS? Serio?

W wielości zarzutów trudno wychwycić nieprawdę. A ta zdarza się byłemu „królowi Europy” nader często. Wyciągał w Gdańsku sprawy, którymi dziś żyją Polacy. Jak choćby skandal z naszymi pływakami, którzy nie zostali dopuszczeni do startu i musieli wrócić z igrzysk w Tokio.

„Ci młodzi ludzie zostali wysłani z powrotem do domu, bo pan wicepremier, minister Gliński, kultury, dziedzictwa i teraz sportu, tak jak kulturę rozkłada na łopatki od kilku lat, tak ostatnio zajął się sportem i nie potrafił nawet nad tym zapanować. [...] Zobaczcie, jak to jest przerażająca metafora naszego losu. [...] Mają gdzieś naszą ciężką pracę, mają gdzieś nasze starania, żeby Polska była silna, bogata i naprawdę suwerenna. Bo myślą tylko o sobie”.

Na naszych oczach Donald Tusk znów użył sowieckiej metody – najpierw skłamał (za błąd proceduralny odpowiedzialny jest niezależny od ministerstwa szef Polskiego Związku Pływackiego Paweł Słomiński, a nie premier Piotr Gliński), a potem pozwolił sobie na mocno rozbudowany komentarz. Emocjonalny i oczywiście krytyczny wobec PiS.

A prawda? No cóż, nie pierwszy raz została złożona na ołtarzu emocji. Parafrazując samego Tuska, oto jest kwintesencja jego obecnej strategii.

KONKURS ENERGI!

Co miesiąc
do zdobycia:

10 x rok
energii
za darmo!

20 x karta
ORLEN
o wartości 500 zł!

Łączna
pula nagród
150 000 zł!

Jak wziąć udział w konkursie Energi Obrót?

①



Skorzystaj z wybranej
oferty na prąd

②



Wyślij zgłoszenie
i odpowiedz na jedno
proste pytanie

③



Wygrывaj!



Szczegóły i regulamin
dostępne w naszym salonie
lub na energia.pl/wygraj



Energa | GRUPA ORLEN
Obrót

Warunki konkursu „Rok energii i tankowanie za darmo” określa regulamin dostępny na stronie energia.pl oraz w naszych salonach sprzedaży. Poprzez „rok energii za darmo” rozumiemy nagrodę o równoważności 1500 złotych brutto, przyznawaną w formie zwiększenia salda rozliczeniowego zwycięzcy konkursu. Wysokość nagrody stanowi równoważność średniego rocznego rachunku naszego odbiorcy energii elektrycznej w gospodarstwie domowym w 2020 roku. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

Metafizyczna wojna, czyli o co chodzi w polityce dziś

Szymon Hołownia określił powrotne wystąpienie Donalda Tuska jako „próbę zapisania nas wszystkich do metafizycznej wojny”. Wprawdzie lider PO nie odwołał się do tego typu kategorii, ale faktycznie dokładnie tym było uznanie swojego politycznego konkurenta za wcielenie zła, które trzeba usunąć z przestrzeni publicznej, i deklaracja, że postulat ten powinien zastąpić jakiegokolwiek programy czy projekty rządzenia

Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock, Andrzej Wiktor



BRONISŁAW WILDSTEIN

Jeśli przeciwnik upostaciowuje zło absolutne, czyli metafizyczne, a tak o PiS mówił Tusk,

to nie pora zastanawiać się nad kształtem państwa i różnymi modelami jego urzędowania, na to przyjdzie czas po przepędzeniu demonów i powrocie do tego, co było, który to program dosadnie i precyzyjnie sformułowała jego rzeczniczka Agnieszka Holland.

W ten sposób Tusk ożywił ideę „opozycji totalnej”, która po serii porażek wyborczych i niespełnionych oczekiwań wyraźnie zaczęła słabnąć, a jej do-tychczasowi rzecznicy jęli się zastana-

wiać, jak najmniejszym kosztem można się z niej wycofać. Nowy stary lider PO wrócił do niej bez żadnych zastrzeżeń i wyostrzył ją do granic możliwości.

Trudno traktować postawę taką jako li tylko marketingowy zabieg. W tym charakterze byłby to dość ryzykowny wybór. Dlatego trzeba zobaczyć strategię opozycji totalnej w szerszym kontekście. Wpisuje się ona w przetaczającą się nad Zachodem ideologiczną rewolucję, która uderza w podstawy demokracji,

a nawet politykę jako taką i przekształca ją w zimną (na razie) wojnę. Wbrew więc kursującym po prawej stronie sceny politycznej opiniom starcie polityczne PO–PiS ma fundamentalny charakter i aby uniknąć metafizycznych odwołań (choćby byłyby one tu całkiem na miejscu), należy uznać je za wariant cywilizacyjnego konfliktu, który dzieli współczesny świat.

PRZECIW DEMOKRACJI I POLITYCE

Etymologicznie parlament to miejsce rozmowy, stąd parlamentaryzm, który stanowi esencję współczesnej demokracji, z założenia polega na debacie nad dobrem wspólnym. Z debaty takiej wyłaniać się mają najlepsze czy tylko zyskujące największe poparcie rozwiązania, których rzecznicy uzyskują czasowy mandat do wprowadzenia ich w życie. Można uznać, że polityczna debata opuściła dziś parlament, który utracił swoją autonomiczną rolę i przekształcił się w zaplecze wyłanianego przez większość rządu. Inna sprawa, że dogmat trójpodziału władzy w Europie, gdzie rozróżnienie na jej ustawodawczą i wykonawczą funkcję zatarło się zupełnie, ma się nijak do rzeczywistości. Trójpodział ów zresztą nawet u jego ojca, Monteskiusza, w kontekście władzy sądowniczej ma umowny charakter. Jednak fakt, że polityczna konwersacja fizycznie nie przebiega głównie na sali parlamentu, nie odbiera jej zasadniczego znaczenia. Już od jakiegoś czasu prowadzona jest ona przede wszystkim w mediach, co powoduje, że współczesną demokrację określa się jako medialną. Ewolucja jej nośników powoduje coraz dalej idącą redukcję i trywializację, czego skrajnym wyrazem jest przekształcenie debaty w plebienne nawoływanie. Ciągłe jednak oficjalnie to media służyć mają za forum politycznego sporu i konfrontacji deklaracji z praktyką polityczną.

Opozycja totalna przeczy temu i odmawia rozmowy. Odrzuca racjonalną ocenę działania konkurenta. Uznaje to za niedopuszczalną słabość. Czy

w warunkach takich możemy jeszcze mówić o demokracji? Czy można kultywować ją, gdy rywala postrzegamy jako integralne zło, a jakąkolwiek refleksję nad jego praktyką skreślamy na wstępie? Dokładnie to powiedział w swoim pierwszym po powrocie, a więc najważniejszym wystąpieniu Tusk. Zdeklarował, że „ogarnia go furia”, gdy ktoś próbuje się zastanowić, czy w działaniach PiS nie ma czegoś dobrego, albo rozważyć racje w zwalczaniu tej partii. Jego słowa zostały przyjęte owacjami nie tylko na kongresowej sali, lecz przez ogół sprzyjających mu mediów. Gdzie w takim stanie rzeczy jest miejsce na debatę, a więc i demokrację?

Skrajne diabolizowanie przeciwnika to nie tylko uderzenie w demokrację, lecz politykę jako taką, czyli troskę o dobro wspólne. Nie istnieje żadna wspólnota z adwersarzem, który reprezentuje czyste zło. W takim wypadku usprawiedliwione są wszelkie działania w niego wymierzone. Politykę zastępuje wojna

Opozycja totalna – a zaliczam do niej nie tylko, a nawet nie przede wszystkim partię Tuska, ale w większym stopniu media i ośrodki opiniotwórcze, które nadają ton temu projektowi – zaatakowała demokrację bezpośrednio po przegranych w 2015 r. wyborach. Nikt nie podważał ich przebiegu, a przecież zanim nowy rząd porządnie się ukonstytuował, nie mówiąc o podjęciu jakiegokolwiek decyzji, powołany został cieszący się poparciem całej opozycji Komitet Obrony Demokracji, który miał Polaków bronić przed niewłaściwymi wyborami, bo inaczej sensu tej instytucji zrozumieć nie można. Jaskrawe

jest w tym wypadku odwrócenie sensu pojęć, czym charakteryzuje się nasza epoka. Inicjatywa wymierzona w demokrację ma w nazwie jej obronę.

Skrajne diabolizowanie przeciwnika to nie tylko uderzenie w demokrację, ale politykę jako taką, czyli troskę o dobro wspólne. Nie istnieje żadna wspólnota z adwersarzem, który reprezentuje czyste zło. W takim wypadku usprawiedliwione są wszelkie działania w niego wymierzone. Politykę zastępuje wojna.

CYWILIZACYJNY KONTEKST

Strategia polityczna PO wypracowana została przez establishment na Zachodzie przeciwko jego kontestatorom. System, w którym żyjemy, jest coraz mniej demokracją, pomimo że zachowuje jej procedury. Demokracja liberalna, jak nazwany został nowy ustrój – co już powinno budzić niepokój zwolenników ludowładztwa – usiłuje na razie dość skutecznie utrwalić na Zachodzie nową ideokrację, czyli rządy rzeczników doktryny emancypacyjnej. Jak zawsze w modelach ideologicznych władza i jej doktrynalne uprawomocnienie przenikają się i warunkują nawzajem, a nowa oligarchia znajduje w ten sposób optymalną legitymację dla swoich rządów.

Ideologia emancypacji nie posiada jednoznacznie sformułowanego dogmatycznego korpusu, ale dość łatwo wyinterpretować go zarówno z oficjalnych dokumentów UE czy ONZ, jak i z coraz powszechniej obowiązujących norm prawnych, obyczajów politycznych i dominującej kultury. Najłatwiej wskazać go w literze coraz szybciej ideologicznie ewoluującego prawa, a zwłaszcza w jego praktyce. Gdyż to prawnicy stają się dziś strażnikami ideologicznej rewolucji.

Fundamentem prawnym demokracji liberalnej mają być prawa człowieka. Bardzo daleko odeszły one od swojego, sformułowanego w XVII i XVIII w. dekalogu. Wywodził się on z prawa naturalnego, którego podstawą było uznanie ładu świata powołanego przez Boga i natury człowieka stworzonego na Jego

obraz i podobieństwo. Współczesna koncepcja praw człowieka wymierzona jest w ich metafizyczne zakorzenienie. Pozbawione podstawy stają się przedmiotem arbitralnego wyboru, a więc doskonale nadają się na uzasadnienie ideologii, która stanowi rację panowania nowej oligarchii. Coraz szerzej jest ona wcielana w prawo, które wypiera wszelkie tradycyjne systemy organizacji społecznej: obyczaj czy etykę, nabiera coraz bardziej totalitarnego charakteru i projektuje wszelkie wymiary ludzkiego życia. Żelazna klatka racjonalności staje się coraz ciśniejsza, choć racjonalna okazuje się wyłącznie zdaniem wyznawców ideologii. Likwiduje wolność, a więc i politykę, która jest jej emanacją w życiu publicznym.

Idealem oligarchii jest skolonizowanie całości pejzażu politycznego, aby obywatele na trwałe skazani zostali na istniejące status quo. Zachodni establishment podporządkował sobie scenę polityczną, usiłując coraz bardziej redukować jej znaczenie, co naturalnie przedstawiane jest jako postęp demokracji. Władza eliminowana jest z politycznych instytucji na rzecz wielkiego biznesu, najsilniejszych korporacji (głównie prawniczej), ośrodków opinio-twórczych czy mediów. W efekcie coraz słabsze partie, które prawie się od siebie nie różnią, podporządkowane zostają pozapolitycznym mocodawcom. Żyją z nimi w personalnej symbiozie – charakterystyczne są obrotowe drzwi między biznesem a polityką.

Powoduje to jednak narastające niezadowolenie ubezwłasnowolnionych mieszkańców Zachodu, które wyrazić usiłują nowo powstałe ugrupowania czy poszczególni politycy. Wszystkie one stygmatyzowane są jako populistyczne i zwalczane wszelkimi możliwymi środkami. Porozumienie całego amerykańskiego establishmentu przeciwko ponownemu wyborowi Donalda Trumpa, pomimo że wszelkie czarne scenariusze związane z jego prezydenturą nie tylko się nie sprawdziły, ale zostały radykalnie sfalsyfikowane, pokazują, że wielopostaciowa oligarchia nie cofnie się przed niczym dla zachowania pełni władzy.

Fidesz czy PiS przedstawiane są w ten sam sposób co nowe partie zachodnie, ale w rzeczywistości są dość tradycyjnymi stronnictwami konserwatywnymi, które trwają na scenie od upadku komunizmu, chociaż w przypadku PiS pod kolejnymi sztyldami i w nieco zmiennej formie. Niemniej atak na nie nie odbiega od prób eliminacji „populistów” w zachodniej Europie czy USA.

III RP to przykład państwa słabego, które staje się żerowiskiem dla silnych zewnętrznych oraz wewnętrznych grup i powoduje, że obywatel nie ma wpływu na swój los. Uległość wobec silnych charakteryzowała wszystkie poczynania rządu Tuska, choćby faktyczne przekazanie kultury najbardziej wpływowym dziś lewicowym ośrodkom

PRZECIW PAŃSTWU

Całe to cywilizacyjne tło wskazuje, jak fundamentalna jest stawka obecnych politycznych wyborów. Można uważać, że skoro w Polsce sytuacja jest inna, cywilizacyjna batalia nas nie dotyczy, a Tusk i PO jedynie posługują się analogiami ze świata zachodniego, aby wzmocnić swoją pozycję. Czy PO reprezentuje jakąkolwiek ideologię, skoro jest ugrupowaniem oportunistów, które przeistacza się radykalnie zależnie od okoliczności i potrafi równocześnie mówić odwrotne rzeczy? Tyle że takie właśnie nastawienie tej partii sytuuje ją po określonej, czyli przeważającej stronie cywilizacyjnego sporu, a jej ewolucja od konserwatyzmu do poparcia tzw. Strajku Kobiet jest konsekwentna. Ma to wymiar wewnętrzny i międzynarodowy.

Po przegranych w 2005 r. wyborach Tusk uznał, że główną siłą kontestacji III RP musi być PiS, a więc – aby wygrać polityczną rywalizację – należy się z postkomunistycznym establishmentem porozumieć i przyjąć rolę jego reprezentanta. Oznaczało to panowanie bez realnej władzy, czyli postpolityczny model, który funkcjonuje dziś coraz częściej na Zachodzie.

PO przy władzy demonstrowała to, wycofując kolejne dziedziny życia spod demokratycznej kontroli, a więc pozostawiając je w gestii pozarządowej oligarchii. Symbolicznym aktem w tej mierze było „unieależnienie” prokuratury. Nie dość, że korporacja sędziowska zawłaszczyła prawo, to rząd zrezygnował nawet z prób wywierania na nie wpływu. Niezależna prokuratura nie działała, ale Tusk rozkładał ręce. Jego rząd nie ma na to wpływu, a ten stan rzeczy jest efektem „demokratycznej” ewolucji, czyli samorządności kolejnych sfer życia publicznego.

Mitologia samorządności doskonale służy osłanianiu patologicznych układów, które przejmują władzę na niższym szczeblu zarządzania, podczas gdy rząd abdykuje z odpowiedzialności, a więc i wpływu na ten stan rzeczy. Pod tym hasłem coraz bardziej rozmontowywane było w III RP państwo. W 2019 r. w Gdańsku ogłoszony został manifest „Samorządna Rzeczpospolita”. Był to faktycznie program opozycji wzmocniony poparciem prezydentów kilku wielkich polskich miast, a wcielenie go w życie wiązałoby się z potrzebą wykreślenia 3 artykułu polskiej konstytucji, który mówi, że Polska jest „państwem jednolitym”. Miejsce ogłoszenia tego manifestu, czyli Trójmiasto, nieprzypadkowo nazywane „polską Sycylią”, nabiera symbolicznej rangi i pokazuje, do czego służyć może fetysz „samorządności”. Polacy ciągle straszeni są widmem komunistycznego totalitarnego państwa, które stanowiło jego szczególną, zdegenerowaną formę. Tymczasem III RP to przykład państwa słabego, które staje się żerowiskiem dla silnych

zewnątrznych oraz wewnętrznych grup i powoduje, że obywatel nie ma wpływu na swój los.

Uległość wobec silnych charakterów była wszystkim poczynaniem rządu Tuska, choćby faktyczne przekazanie kultury najbardziej wpływowym dziś lewicowym ośrodkom.

W IMIĘ PODLEGŁOŚCI

Lustrzanym odbiciem redukcji państwa jest abdykacja z jego niezależności w polityce zewnętrznej. Rządy PO-PSL dokonały tego oficjalnie. Już sama doktryna „płynięcia w głównym nurcie polityki europejskiej” stanowiła wyraz tej postawy. Owo „płynięcie” oznaczać może jedynie dostosowywanie się do polityki mocarstw europejskich, czyli głównie Niemiec. Trzeba być niezwykle naiwnym i nie mieć zielonego pojęcia o polityce europejskiej, żeby nie dostrzegać, że stanowi ona arenę gry interesów poszczególnych państw. Rezygnacja z walki o nasz interes w imię dostosowania się do woli silniejszych spycha Polskę do roli kolonii i taką politykę prowadzili politycy PO, czasami mówiąc to wprost, jak zrobił to Radosław Sikorski w Berlinie, gdzie formalnie przez nikogo nieupoważniony wzywał Niemcy do jeszcze silniejszego zajęcia się Europą, czyli podporządkowaniem jej sobie. A ponieważ Niemcy robili to i tak, wezwania polskiego szefa MSZ miały wyłącznie charakter holdu.

Za postawę taką liderzy PO byli wynagradzani przez swoich zagranicznych patronów poparciem, a niekiedy karierami osobistymi, czego najlepszym przykładem jest sam Tusk, który najważniejszą w Polsce funkcję premiera wymienił na intratną, ale niewiele znaczącą synekurę w Brukseli. Inna sprawa, że zademonstrował tym stosunek do swojego państwa i rodaków.

Priorytety PiS, którego deklarowanym i realizowanym celem jest odbudowa państwa zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i zewnętrznym, są zaprzeczeniem polityki PO. Na ile się to partii Kaczyńskiego udaje, to inna sprawa. Z pewnością jednak nie kwestionuje to absolutnie fundamentalnej

opozycji tych ugrupowań. Wybór między nimi ma cywilizacyjny charakter.

PRAWDZIWY WYBÓR

Zamiast ugrupowań przeciwstawić możemy sobie ich liderów, a wtedy opozycja zostanie jeszcze wyostrzona. Z jednej strony mamy oportunistę, który chce płynąć z wiatrem, a więc podporządkować się dominującym trendom – z drugiej polityka, który walczy na rzecz polskiej tożsamości przeciw dominującym, emancypacyjnym trendom. Z jednej mamy kogoś, kto nie ceni niepodległości i deklaruje, że winna zostać ona podporządkowana Europie (realnie dominującym w niej Niemcom) – z drugiej patriotę, który uznaje wartość samostanowienia, gdyż docenia znaczenie narodu. Z jednej mamy liberała, który chce maksymalnie zredukować państwo, uznając, że nie jest ono potrzebne do realizacji wolności – z drugiej republikanina, który wie, że wbrew modnym sloganom wolność uzyskujemy dzięki instytucjom, a państwo stanowi optymalną formę bytowania wspólnoty. Z jednej występuje utylitarysta, który traktuje wspólnotę jako nieobowiązujący, doraźny kontrakt – z drugiej konserwatysta, który postrzega ją jako naturalne środowisko, bez którego człowiek nie potrafi się właściwie rozwijać.

Tę wyliczankę można kontynuować, a moja prezentacja poglądów Tuska odwołuje się zarówno do jego politycznej praktyki, jak i oficjalnych deklaracji. Publicznie mało kto w Polsce przyzna się dziś, że nie ceni niepodległości. Jeśli jednak mówiąc o niej, powtarza równocześnie, że najlepiej podporządkować Polskę instytucjom UE, to deklaruje rzeczy sprzeczne. Owszem, politycy Niemiec czy Francji będą głosili, że zostali skłonieni do kompromisu na rzecz wspólnego interesu, a więc, że zrezygnować musieli z części swojego partykularnego dobra, ale nigdy nie będą głosić, że najlepiej dla ich narodów będzie, gdy kto inny wyznaczy ich cele. A to oficjalnie deklarują politycy PO.

Nasz największy problem polega na tym, że podobne poglądy wyznaje duża grupa Polaków, którą ukształtowały

urazy wyniesione z najnowszej historii. Są oni gotowi zrezygnować z wolności za cenę (wyobrażonych) materialnych gratyfikacji i potencjalnego bezpieczeństwa. Spora część z nich demonstrowa okokobienie i za wszelką cenę chce upodobnić się do mieszkańców Zachodu, którzy mieli historycznie większe szczęście, a skoro nie jest to konsekwentnie możliwe, zgadza się na rolę ich karykaturalnych naśladowców. Ta zakompleksiona część wspólnoty narodowej chętnie zaaprobuje przerażającą karykaturę Kaczyńskiego oraz jego ugrupowania, podporządkuje się dominującej propagandzie, zgodnie z którą próba podmiotowej polityki to „brząkanie szabelką” i uzna rządzących dziś za wcielenie zła.

Istnieje jeszcze inna grupa, która, widząc zawinione lub nie mankamenty obecnej władzy, będzie przychylić się do tezy, że PiS i PO właściwie nic nie różni, a ich opozycja jest największym nieszczęściem Polski. Zdumiewające, że tezy takie powtarzać potrafią rozzumni komentatorzy i obserwatorzy sceny politycznej.

Partie zmagające się na naszej scenie politycznej tworzone są przez ułomnych ludzi, którzy zwykle kierują się swoim rozmaicie rozumianym interesem. To jednak, pod jakim szyldem występują, wpływa na nich i do pewnego stopnia kształtuje ich postawy. Polityka to starcie idei i wyrastających z nich politycznych projektów. Powinniśmy kontrolować, na ile są one traktowane poważnie i roztropnie wcielane w życie, ale wybór jest właśnie między nimi.

Znamy instytucje, które uległy degeneracji i działaniem zaprzeczyły swojemu ideowemu credo, ale PiS atakowane jest nie za to, ale za to właśnie, że realizuje swój program. To, że partia ta ulega klasycznym przypadłościom związanym z demokratycznym życiem politycznym, jest faktem i sam o tym pisałem, jak dotąd jednak nie doprowadziło to do zakwestionowania jej podstawowych priorytetów i nie zablokowało działania na ich rzecz.

W wypadku PO i PiS cały czas mamy do czynienia z fundamentalnie przeciwnymi projektami politycznymi i cywilizacyjnymi. W tym sensie Tusk ma rację. Powinniśmy wybierać. 



Abramsy, czyli o realizmie w polityce



*Państwa frontowe,
znajdujące się na wschodniej
flance NATO, muszą
budować swoje
bezpieczeństwo, opierając się
na realnych możliwościach,
a to oznacza współpracę
wojskową z USA. Dlatego
nie może dziwić zakup przez
Polskę Abramsów, które są
w stanie pokonać najnowsze
rosyjskie czołgi*



MAREK BUDZISZ

Aleksandr Chramczichin, rosyjski ekspert w zakresie spraw wojskowych i strategii, napisał w „Kurierze Wojskowo-Przemysłowym” już po tym, jak władze Polski poinformowały o planach zakupu 250 amerykańskich czołgów Abrams, że Polska, nie zwracając uwagi na problemy, rozbudowuje swoje siły zbrojne, które „stopniowo stają się, nie licząc Turcji i Stanów Zjednoczonych, najsilniejsze w NATO”. W opinii rosyjskiego specjalisty nawet bez Abramsów polska armia dysponuje liczbą 900 czołgów, co oznacza, że maszyn trzeciej generacji (takie posiada polska armia) więcej w świecie mają tylko Stany Zjednoczone. Co ciekawe, Chramczichin napisał swój artykuł, co nie jest

częste w Rosji, w duchu szacunku, a nawet respektu wobec wojskowego potencjału Polski i naszych wysiłków, aby się jeszcze wzmocnić.

Zdaniem rosyjskiego eksperta ostatnie posunięcia Warszawy są też dowodem na to, że polskie elity strategiczne doszły do wniosku, iż na NATO w razie konfliktu nie ma co liczyć i trzeba myśleć o tym, jak w większym stopniu bronić się samodzielnie, a także stawiać na współpracę ze Stanami Zjednoczonymi.

Trudno odmówić temu pogładowi racji, zwłaszcza w świetle tego, co ostatnio napisał Robert Dalsjö, specjalista szwedzkiego think tanku wojskowego FOI, który się zastanawiał, czy istnieją jakieś siły europejskie, które w sytuacji kryzysu wojennego na Wschodzie mogłyby się stać alternatywą dla amerykańskiego zaangażowania. Charakteryzując możliwości obronne Europy, napisał, że „Unia Europejska przypomina roślinożercę otoczonego przez wygłodniałych drapieżców”, a „prawie wszystko – z wyjątkiem sankcji Merkel na Rosję po Krymie – co UE zrobiła w dziedzinie bezpieczeństwa w ciągu ostatnich 20 lat, było jedynie wielkimi symbolicznymi gestami o niewielkim lub wręcz żadnym znaczeniu lub też sprowadzało się do polityki przemysłowej, o co najczęściej zabiegała Francja”.

Jeśli zaś chodzi o możliwości wojskowe państw „starej Europy”, to w jego opinii Wielka Brytania cierpi na „syndrom Downton Abbey”, czyli uprawia politykę sprowadzającą się do próby, aby „żyć tak jak niegdyś”, nie mając ku temu wystarczających środków. Jeśli chodzi o Niemcy, to „smutnym faktem jest to – pisze Dalsjö – że podczas gdy wszyscy ufają solidnemu Bundesbankowi, Bundeswehra to koszmar i niewielu odważyłoby się zaufać gwarancjom bezpieczeństwa sformułowanym przez Republikę Federalną Niemiec”. Francja wreszcie, choć ma sprawne i nowoczesne siły zbrojne, w jego opinii „zbyt lubi się przytulać do Moskwy.” Innymi słowy – nie ma alternatywy.

Państwa frontowe, znajdujące się na wschodniej flance NATO, muszą budować swe bezpieczeństwo, opierając się na realnych możliwościach, a to oznacza współpracę wojskową ze Stanami Zjednoczonymi. Nawet jeśli by, co w świetle podziałów i różnic zdań wydaje się mało

prawdopodobne, Unia Europejska i tworzące ją państwa o 180 stopni zmieniły swą politykę i zaczęły się zbroić na potęgę, to będą potrzebować 10–15 lat, aby osiągnąć samodzielność w sprawach wojskowych. A wiele wskazuje na to, że tego czasu Europa już nie ma.

MUSIMY SIĘ ZBROIĆ

Premier Jarosław Kaczyński, informując o planach zakupu amerykańskich czołgów, powiedział: „Po prostu czas, sytuacja i miejsce tego wymaga i dlatego też chcemy to uczynić”. Polska, co postulowało wielu specjalistów, w tym piszący te słowa, winna wydawać na własne bezpieczeństwo znacznie ponad 2 proc. PKB, przede wszystkim z tego względu, że Rosja zbroi się na potęgę, a to z nią możemy mieć do czynienia. Nieoficjalne źródła zbliżone do obozu rządowego mówią o przygotowywanej specjalnej Ustawie o obronie ojczyzny, która umożliwiłaby zaciągnięcie długu na potrzeby rozbudowy zdolności naszych sił zbrojnych. Obecnie trwają zabiegi w Komisji Europejskiej, aby tego rodzaju wydatków nie wliczała ona automatycznie do naszego zadłużenia. Oznacza to, że rysujące się zagrożenia rząd Zjednoczonej Prawicy traktuje poważnie.

Polska nie ma czasu i z tego powodu, jak się wydaje, Warszawa zdecydowała się na zakup Abramsów, co spotkało się w środowisku polskich ekspertów wojskowych z – delikatnie rzecz ujmując – mieszanymi odczuciami. Niezależnie jednak od trafności tych uwag (zbyt ciężki, bardzo paliwożerny, brak części zamiennych i bazy serwisowej, konieczność szkolenia załóg, które dopiero niedawno uzyskały sprawność na niemieckich leopardach etc.) trzeba postawić kluczowe pytanie o alternatywę dla zakupu amerykańskich czołgów, których pierwsze partie mogą trafić do Polski już w przyszłym roku. Takiej alternatywy nie ma. Wszystkie teoretycznie lepsze rozwiązania, w tym ogólnie słuszna uwaga, że sami winniśmy budować czołgi dla naszych sił zbrojnych, nie uwzględniają ani naszych realiów, ani kluczowego czynnika czasu. Abramsy możemy mieć niemal od ręki, na dodatek z amerykańskimi ekipami technicz-

nymi i szkoleniowymi, co obiektywnie zwiększa obecność sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Polsce, a inne czołgi w perspektywie co najmniej kilku lat, na dodatek w mniejszej liczbie.

NIENAWIŚĆ ROSJI

Kris Osborn, analityk wojskowy „The National Interest”, wcześniej pracujący w Pentagonie, napisał, po informacjach o zakupie przez Polskę najnowszej wersji Abramsów, że „Rosja będzie nienawidzić tej decyzji”, bo nawet najnowszy model rosyjskiego czołgu T-90 M Proryv, jeśli by wierzyć rosyjskim doniesieniom na jego temat (co samo w sobie jest zadaniem karkołomnym, znając przywiązanie Moskwy do prawdy), nie jest w stanie sprostać najnowszym Abramsom. W opinii Osborna zmieniają one układ sił w na-

Polska powinna wydawać na własne bezpieczeństwo znacznie ponad 2 proc. PKB, przede wszystkim z tego względu, że Rosja zbroi się na potęgę, a to z nią możemy mieć do czynienia

szej części kontynentu na korzyść NATO, które uzyskuje w ten sposób nowe zdolności odstraszenia Moskwy. Pakt nie staje się silniejszy od Rosji, ale znacząco rosną koszty ewentualnej agresji, z którymi Putin musi się liczyć, a to zmniejsza prawdopodobieństwo ataku.

W opinii Marka Episkoposa, innego eksperta piszącego dla „The National Interest”, decyzja o szybkim wzmocnieniu polskiego potencjału pancernego jest wynikiem oceny sytuacji politycznej i wojskowej na wschodniej flance, w tym przede wszystkim wniosków, jakie Polska wyciągnęła z przeprowadzonych wcześniej wiosną gier wojennych w ramach ćwiczeń Zima 2020. Ich plan przewidywał utrzymanie przez nasze

siły zbrojne pozycji przez co najmniej 22 dni, bo tyle jest potrzebne na ściąganie pierwszych posiłków z Zachodu. Jednak już piątego dnia „red team”, czyli atakujący Polskę wrogowie, byli na warszawskiej Pradze.

SCENARIUSZE WOJENNE

Warto przypomnieć, jak wyglądają scenariusze rosyjskiej agresji na państwa bałtyckie i Polskę, uważane za najbardziej prawdopodobne w czasie gier sztabowych. Wśród specjalistów z zakresu wojskowości trwają dyskusje, czy rosyjskie uderzenie, obok państw bałtyckich, które są jego głównym celem, skierowane zostałoby w razie wybuchu gorącego konfliktu na słynny korytarz suwalski czy również – a może przede wszystkim – na Warszawę. Zastanówmy się nad tą drugą ewentualnością, bo – jak wiadomo – warto być przygotowanym na najgorszą wersję, a nie kierować się w polityce państwowej zasadą „jakoś to będzie”.

Już przed rokiem opisywałem analizy specjalistów z New Warfare Generation (NWG), którzy od lat specjalizują się w planowaniu strategicznym, grach wojennych i analizie sytuacji na potrzeby amerykańskich i sojuszniczych sił zbrojnych. W jednej z ostatnich ich ekspertyz przygotowanej dla Szwedzkiej Akademii Obrony (podobne narady, ćwiczenia i szkolenia przeprowadzane były przez specjalistów z NWG z siłami zbrojnymi państw bałtyckich, europejskim dowództwem NATO)

przeanalizowali oni scenariusze ostatnich rosyjskich ćwiczeń i zdolności przemieszczania się sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Po tej analizie stwierdzili, że to nie przesmyk suwalski może się stać głównym celem rosyjskiego ataku na Polskę, ale Warszawa. W ich opinii kluczowym i decydującym o losach konfliktu może być kierunek natarcia sił rosyjskich przez Białoruś. Po roku, obserwując ewolucję polityki białoruskiego reżimu, trzeba się ośwoić nie tylko z myślą o nieobliczalności Łukaszenki, lecz również zacząć traktować taką ewentualność poważnie.

Dzienniki nad Bug, w okolicy Brześcia, ze względu na przepustowość dróg i linii kolejowych Rosjanie są w stanie przerzucić sześć grup brygadowych,



Fot. Materiały prasowe

Polska kupiła
od Turcji 24 drony
uderzeniowe

podczas gdy w stronę państw bałtyckich tylko jedną. Ze strategicznego punktu widzenia, jeśli dojdzie do wojny z Federacją Rosyjską, możemy mieć do czynienia z koncentrycznym uderzeniem sił Pierwszej Gwardyjskiej Armii Pancernej na południe od Białegostoku, a może jeszcze bardziej na południe w kierunku na Lublin, i oddziałów Floty Bałtyckiej z kierunku Kaliningradu, wykorzystujących autostradę A1 i drogę S7 w stronę Warszawy. Rosjanie mogą wykonać ten tradycyjny zresztą manewr po to, aby po dotarciu na prawą stronę Wisły i rozpoczęciu ostrzeliwania Warszawy dążyć do wymuszenia ustępstw lub kapitulacji. Mamy do czynienia ze scenariuszem możliwym do zrealizowania w ciągu kilkunastu dni, zanim jeszcze NATO będzie zdolne przysłać do Polski odsiecz wojskową.

Ludzie tworzący NWG, zajmujący się przygotowywaniem scenariuszy przyszłych wojen, szkoleniem elit politycznych i wojskowych państw NATO, zanim stworzyli prywatną firmę, bo w tej formule działają, przez lata zajmowali się podobnymi sprawami w Pentagonie. Przy czym tak jak Charles Long, który zjeździł całą wschodnią Ukrainę, obserwował linię frontu, rozmawiał z dowódcami i żołnierzami armii ukraińskiej, po czym uczestniczył w przygotowaniu liczącego sobie ponad 10 tys. stron raportu na ten temat, nie są tylko teoretykami. Greg Melcher, który wcześniej przez 27 lat był zastępcą szefa komitetu planowania i najwyższym cywilnym przedstawicielem w strukturach planowania strategicznego amerykańskiej Marynarki Wojennej, czy Philip Petersen, który przez kilkanaście lat był jednym z głównych analityków Agencji Wywiadu Wojskowego, a potem pracował w biurze sekretarza obrony, od lat zajmują się analizą przyszłego teatru wojny

z Rosją. Obserwują działania Moskwy, analizują przeprowadzane przez jej siły zbrojne ćwiczenia, wypowiedzi polityków i wojskowych, dokumenty strategiczne, zarówno jawne, jak i te mniej dostępne opinii publicznej. Wielokrotnie byli w Polsce, gdzie analizowali możliwości komunikacji, ukształtowanie terenu,

Charakteryzując możliwości obronne Europy, szwedzki ekspert wojskowy napisał, że „Unia Europejska przypomina roślinożercę otoczonego przez wygłodniałych drapieżców”

przebieg rzek i ewentualne przeprawy. Oceny przez nich formułowane nie są efektem pomysłów ad hoc. Wynikają z gruntownej znajomości nie tylko konfliktów przeszłości, lecz również terenów, gdzie miałyby się spotkać armie pancerne NATO i Rosji. Znają słabe punkty, wąskie gardła, ale również wiedzą, gdzie w sposób najbardziej efektywny można zorganizować obronę. Jeśli prognozują oni rosyjskie uderzenie na Warszawę, to opinie te należy potraktować poważnie.

PATRZĄC NA KIJÓW

Mamy jeszcze do czynienia z jednym aspektem sprawy zakupu Abramsów, na który warto zwrócić uwagę. Stanisław Stremidłowski z rosyjskiego portalu Regnum, uważny obserwator polskich spraw, napisał, komentując decyzję Warszawy, że nie bez powodów amerykańskie Abramsy mają trafić do 18 Dywizji

Zmechanizowanej, odpowiadającej za obronę zarówno przedpola Warszawy, jak i granicy z Białorusią w rejonie Brześcia. Zwrócił jednak również uwagę, że jest to obszar nadgraniczny z Ukrainą i decyzje Warszawy można też traktować w kategoriach odpowiedzi na pogarszającą się sytuację w zakresie bezpieczeństwa Kijowa.

To kolejna odpowiedź na pytanie, dlaczego czołgi mające wzmocnić polską armię winny się znaleźć na naszej ziemi szybko, a nie za kilka lat. Ukraina już obecnie jest celem rosyjskiego szantażu, w którym eskalacja napięcia i zwiększanie presji wojskowej odgrywają wielką rolę.

Moskwa nie zamierza rezygnować z tego rodzaju polityki, o czym można się przekonać, studiując wystąpienia rosyjskich władz, w tym ostatni artykuł Władimira Putina na tematy ukraińskie.

Sytuacja na granicach Ukrainy pozostanie przez najbliższe miesiące, a niewykluczone, że lata, napięta. Z tego też względu w niedawnym wspólnym oświadczeniu ministrów Raua i Kuleby, wydanym po amerykańsko-niemieckim porozumieniu w sprawie Nord Stream 2, znalazł się apel do Berlina i Waszyngtonu o rozwiązanie „kryzysu bezpieczeństwa”, jaki powoduje w regionie uruchomienie rosyjskiego gazuociągu. Polska wzmacniając wschodnią flankę NATO, wysyła sygnał polityczny zarówno do Moskwy, jak i naszych sojuszników, ale przede wszystkim do Kijowa, że gotowa jest zaangażować się w rozwiązanie tego kryzysu. To ważne posunięcie polityczne, które dobrze wykorzystane może gruntownie zmienić charakter naszych relacji z Ukrainą. Tak jak pojednanie i bliska współpraca Niemiec i Francji umożliwiły powstanie Unii Europejskiej w jej obecnym kształcie, tak podobny alians Warszawy i Kijowa może zmienić układ sił w naszej części Europy.

Skalp Lewicy

Kłopoty Nowej Lewicy są skutkiem powrotu Tuska i jego planu rozbicia lub zwasalizowania tej formacji

Fot. Przemek Wierczowski/REPORTER

Kluczem do tego, co się dzieje w Nowej Lewicy, jest Donald Tusk. A dzieje się to, że Sojusz Lewicy Demokratycznej zjednoczył się z Wiosną. Dla części polityków SLD po zjednoczeniu ma być tak, jakby do niego w ogóle nie doszło. Wprawdzie obie jednoczące się partie zdecydowały, że będą tworzyć dwie autonomiczne frakcje i dzielić się wszystkim po połowie, ale nie to, iż będą nadal odrębnymi podmiotami. Część polityków SLD to zwolennicy zjednoczenia bez zjednoczenia, gdyż w takim wariantcie można by się pozbyć lidera Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego. Ci politycy nie chcą też w większości równych praw dla Wiosny po zjednoczeniu, jako że to „ugrupowanie znacznie mniejsze”. I uważają, że Wiosna ma zapewnić Czarzastemu pozostanie przewodniczącym. A oni nie chcą, żeby koledzy z Wiosny o przewodniczącym decydowali, czyli żeby każda z frakcji głosowała na własnego szefa, a nie łącznie. Wtedy realna miałaby być perspektywa pozbycia się przewodniczącego, ale mało realne byłoby samo zjednoczenie.

Chętnych do wymiany Czarzastego ten zablokował, zawieszając ośmioro członków zarządu: Tomasza Trełę, Karolinę Pawliczak, Bogusława Wontora, Wie-



STANISŁAW JANEK

śława Szczepańskiego, Wiesława Bużę, Jacka Czerniaka, Sebastiana Wierzbickiego i Wincentego Elsnera. Wcześniej zawiesił eurodeputowanego Marka Bałta, ale to inny przypadek. Zarząd Nowej Lewicy liczy 25 osób, więc dziewięć osób zawieszonych to mniejszość. Zawieszeni, a szczególnie Tomasz Treła, twierdzą, że Włodzimierz Czarzasty stracił mandat do bycia przewodniczącym, a odsuwa niechętnych sobie kolegów ze strachu. Posłanka Joanna Senyszyn uzasadniła chęć wyeliminowania Czarzastego „stosowaniem stalinowskich metod”. Poseł Andrzej Rozenek twierdzi, że przewodniczący „utracił zdolność zarządzania partią”. A największy atak na Czarzastego przypuścił były premier i były szef SLD Leszek Miller, który do Nowej Lewicy nie wstąpił. Buntownicy postawili Czarzastemu ultimatum: powinien zwołać Radę Krajową partii do 31 lipca 2021 r. A Czarzasty zrobić tego nie zamierza, uważając, że

na razie wszystkie bieżące sprawy załatwił zarząd na posiedzeniu 17 lipca 2021 r.

PLAN „STARYCH KOMUCHÓW”

Poza sporem dotyczącym organizacji i zasad funkcjonowania Nowej Lewicy jest spór znacznie ważniejszy. Zwolennicy Czarzastego (wyraźnie wyartykułowała to rzeczniczka partii Anna Maria Żukowska) uważają, że buntownicy chcą się porozumieć z Platformą Obywatelską. Szczególnie po tym, jak Tusk został p.o. przewodniczącym tej partii. Buntownicy twierdzą, że Czarzasty chce się z kolei porozumieć z Prawem i Sprawiedliwością. Dowodem mają być uważane za „tajne” negocjacje Czarzastego z premierem Mateuszem Morawieckim w sprawie funduszu odbudowy i Krajowego Planu Odbudowy. Mamy więc dwa zarzuty o zdradę: w jednym chodzi o zdradę z Donaldem Tuskiem, w drugim z Jarosławem Kaczyńskim.

Włodzimierz Czarzasty zarzuty wyśmiewa, twierdząc, że rozmawiał z premierem, a nie z PiS, i to w sprawach dotyczących państwa, w dodatku będących priorytetem programowym Lewicy. A za największego politycznego przeciwnika Lewicy nadal uważa PiS. Żeby to potwierdzić, Czarzasty zawiesił członka

zarządu partii, szefa jej śląskich struktur, eurodeputowanego Marka Balta. Za to, że na jego terenie dwoje radnych Lewicy głosowało za absolutorium dla „pissowskiego” zarządu województwa, a o tym nie zapobiegł. Buntownicy przeciw Czarzastemu uważają, że to tylko zasłona dymna, bo przewodniczący musiał pokazać, iż nie toleruje współpracy z PiS, a sam do takiej współpracy dąży. Tym bardziej że Balt był wielkim zwolennikiem porozumienia w sprawie funduszu odbudowy i KPO.

Pod warstwą zarzutów i polajankę kryje się to, że buntownicy przeciw Czarzastemu realizują plan przeniesienia skalpu Lewicy Tusкови. Zwolennicy Czarzastego nie mają wątpliwości, że pomysł wniesienia wiana w postaci Nowej Lewicy w romans czy związek z PO Tuska narodził się w kręgu dawnych premierów: Leszka Millera, Włodzimierza Cimoszewicza i Marka Belki, nazywanych przez zwolenników Czarzastego (podobnie jak przez polityków Partii Razem) „starymi komuchami”. I „stare komuchy” z europarlamentu, które swój obecny status zawdzięczają PO, namówiły do współpracy „starą komuszkę” z kraju, czyli Joannę Senyszyn, a przede wszystkim Tomasza Trełę, bo to on wydaje się liderem buntowników. Treła liczy ponoć na to, że po obaleniu Czarzastego to on miałby wielkie szanse zostać przewodniczącym Nowej Lewicy. A po wniesieniu wiana do jakiejś wspólnej inicjatywy z Tuskiem, co miałyby doprowadzić do wyborczego zwycięstwa, miałyby dostać ważne stanowisko państwowe, np. wicepremiera. O to samo zresztą Miller oskarża Czarzastego, twierdząc, że ten chce być wicepremierem lub co najmniej ważnym ministrem w jakiejś koalicji z PiS.

Gdy buntownicy oskarżają Czarzastego o dogadywanie się z PiS, chodzi im o to, że nie jest on skłonny bezwarunkowo i tanio sprzedać się PO, a może w ogóle nie chce się sprzedać. Tym bardziej że nie ma żadnych gwarancji, iż Tusk zapewni jakiejś przyszłej koalicji przejęcie władzy. Zwolennicy Czarzastego twierdzą, że Tusk prawie na pewno to uniemożliwi, gdyż mało rozumie współczesną Polskę i krajową politykę, podobnie jak mało z niej rozumieją Miller, Cimoszewicz i Belka.

Chcieliby reaktywować stary (mający początki w czasach „okrągłego stołu”) pomysł Cimoszewicza i Adama Michnika (błogosławiony przez Aleksandra Kwaśniewskiego) o wielkim historycznym kompromisie postkomuny z postsolidarnością, choć to od dawna polityczne zombie. Podobnie jak tylko zombie są już Tusk, Miller, Cimoszewicz i Belka. Zwolennicy Czarzastego uważają, że koalicja zombie nie ma żadnych szans.

Czarzasty bliskie związki z PO Tuska uważa za początek końca Lewicy, jej zwasalizowanie. Dla Millera, Cimoszewicza, Belki, Senyszyn, Rozenka czy Treli wasalizacja nie jest problemem, jeśli tylko zapewni udział w sprawowaniu władzy

PRZECZEKAĆ WZMOŻENIE

Czarzasty pozostaje przede wszystkim pragmatykiem, a nie karierowiczem, jak chciałby to widzieć Miller. Bliskie związki z PO Tuska uważa za początek końca Lewicy, a nie rozwiązanie. Lewica zostałaby po prostu wchłonięta przez PO tak jak Nowoczesna, a w najlepszym wypadku całkowicie zwasalizowana. Miller, Cimoszewicz, Belka, Senyszyn, Treła czy Rozenek uważają, że wasalizacja nie jest problemem, jeśli tylko zapewni udział w sprawowaniu władzy. Ale to by oznaczało koniec Lewicy, która odbudowała się po kilkuletnim kryzysie i która ma szanse na pozyskanie młodych wyborców i znacznie lepsze perspektywy niż słabnąca z każdym dniem Polska 2050 Szymona Hołowni, tracąca na rzecz PO pod przywództwem Tuska. Wyzbywanie się tych wszystkich atutów przed wyborami Czarzasty i jego zwolennicy uważają za skrajną głupotę i rezygnację z wszelkich argumentów przetargowych po wyborach. Pomysł Millera, Cimoszewicza i Belki oznacza przede wszystkim

rozbięcie Lewicy. Część poszłaby do Koalicji Obywatelskiej, a pozostała część (Partia Razem, zwolennicy Czarzastego, część dawnej Wiosny) byłaby na tyle osłabiona, że nie odbierałaby głosów hybrydzie montowanej ewentualnie przez Tuska, gdy PO odzyska trwale poparcie w okolicach 25 proc. Tak oskubana Lewica mogłaby w ogóle nie przekroczyć progu wyborczego, ale ci, którzy przyniesliby Tusкови skalp Czarzastego i wiano

w postaci zombie Lewicy, zostaliby nagrodzeni posadami w razie wyborczego zwycięstwa zombie opozycji pod przewodnictwem PO. Czarzasty uważa zombizację opozycji za zły pomysł, bo Polacy nie chcą już tego, co jest politycznie martwe.

Tusk będzie podsycił konflikty wewnątrz Nowej Lewicy i wywierał presję na szybkie pozbycie się Czarzastego, bo wie, że ma do czynienia ze szczerym politycznym lisem, a nie naiwniakami w rodzaju Treli czy Wierzbickiego czy cynikami wyzbytymi wszelkich zasad w rodzaju Millera, Cimoszewicza, Belki czy Senyszyn, którzy chcą grać w te same znaczone karty co Tusk.

Obecny szef PO dobrze wie, że Czarzastego nie nabierze ani nie oszuka, więc chce się go po prostu pozbyć. A potem bez mrugnięcia okiem pozbędzie się chwilowych sojuszników, jak już to w przeszłości zrobił z Andrzejem Olechowskim, Maciejem Płażyńskim, Janem Rokitą, Zytą Gilowską czy Pawłem Piskorskim. A to byli gracze ze znacznie wyższej półki niż Treła, Pawliczak, Rozenek czy Wierzbicki. Zanim do tego dojdzie, najważniejszym elementem gry jest skalp Czarzastego, czyli wistocie skalp Nowej Lewicy. Gdy tylko ze zdejmowaniem tego skalpu nie idzie najlepiej albo ktoś odkrywa intencje Tuska i PO, a choćby tylko głosi szkodliwy symetryzm (przecież Tusk wyraźnie powiedział 3 lipca 2021 r., że symetryzm to zło i polityczna zbrodnia), we wściekłość wpadają gwardziści Tuska w rodzaju Tomasza Lisa, który złał niedawno posła Macieja Gdulę za symetryzm właśnie. Czarzasty uważa, że najlepszą strategią jest przeczekanie wzmocnienia buntowników, a potem nawet oni zaczną dostrzegać pułapki i zupełną nieopłacalność wnoszenia czegokolwiek Tusкови w wiano.



*Przemysław Czarnek
stał się figurą
symboliczną dla,
śmiem twierdzić,
kardynalnego
w naszych czasach
sporu o oświatę
i wychowanie.
To oczywistość,
że szkoła, zwłaszcza
współczesna szkoła
kontrolowana przez
państwo, to instytucja
włączająca swoich
wychowanków
w jakiś krąg kultury.
A skoro przyszło
nam żyć w epoce
frontalnego starcia
o kształt kultury, to nic
dziwnego, że oświata
nie może uniknąć losu
jednego z kluczowych
pól bitewnych*

Czarnek ocalony i co dalej?

Swiadcstwem sporej naiwności, a często także cynizmu politycznego, są patetyczne nawoływania do „wylączenia” albo „ochronienia” szkoły przed skutkami owego wielkiego konfliktu. Nie było i nie ma takiej wojny o kulturę, która nie przebiegałaby przez sam rdzeń systemu oświatowego, albowiem w tej wojnie szkoła jest dla każdej ze stron łupem o absolutnie najwyższym priorytecie. Dla jednych – nazwijmy ich „klasykami” – szkoła powinna być pozostać ostoją praktyki „udoskonalania ludzkiego umysłu i ducha” (by użyć prostej i starej definicji kultury autorstwa Eliota), choć wiadomo już dzisiaj, że taka nie pozostała. Drudzy – nazwijmy ich „progresistami” – już dawno temu, planując swój „marsz przez instytucje” (na Zachodzie ogłoszony jeszcze w 1967 r.), żywią ambicję wychowania w państwowej szkole nowego człowieka, uwolnionego od pęt, ich zdaniem, rasistowskiej, patriarchalnej, religijnej i homofobicznej europejskiej kultury.

HANDKE, ZALEWSKA I POWRÓT W STARE KOLEINY

Czarnek został powołany jesienią 2020 r. na szefa połączonych resortów edukacji i nauki po to, aby zmanifestować stanowczą pozycję ideową PiS w tym sporze o kulturę. Warto zdawać sobie sprawę, że wcześniej, przez pierwsze ćwierćwiecze niepodległości, przemiany zachodzące w polskiej szkole w zasadzie nie wydobywały się na powierzchnię polityki. W niemal zgodnym przekonaniu polityków i opinii publicznej tamtego czasu dokonywały się one tak jak należy – tzn. w medialnej ciszy, pod czujnym okiem „profesjonalistów” i „ekspertów”. Widać to było wyraźnie w samej końcówce lat 90., gdy uważany za krakowskiego tradycjonalistę minister Mirosław Handke przeforsował mało sensowną reformę szkolną, de facto ograniczającą mocno kształcenie ogólne. Odbył się to wówczas bez publicznej debaty i sporu, gdyż Handke tłumił każdą próbę niezgody argumentem o niewiedzy polityków i mądrości resortowych „ekspertów”, którzy postępują przecież zgodnie z najnowszymi europejskimi trendami naukowymi.

Jeśli od czasu do czasu jakiś konflikt o oświatę przenikał do polityki, to był to



JAN ROKITA

groteskowy spór o listę lektur, w którym zwykle wywijano tymi samymi wrogimi sobie nawzajem sztandarami: Sienkiewiczem i Gombrowiczem. W samym finale tamtej epoki wybuchł zaś jeszcze spór wokół redukcji nauczania ojczyźnej historii.

Ten stan rzeczy uległ zmianie wraz z ponownym objęciem władzy przez PiS w roku 2015. Minister Anna Zalewska przeforsowała odejście od modelu Handkego, na przekór nie tylko „ekspertom” i strajkowi nauczycielskiemu, lecz także wbrew całkiem wpływowej na początku frakcji „ostrożnych” w samym PiS. Po tych zmianach dała szkołom nowe podstawy programowe, choć – co ciekawe – w gruncie rzeczy bardzo kompromisowe, jeśli mierzyć je gwałtownością zastraszającego się właśnie sporu o kulturę. Ale w końcu, mocno poobijana niezliczonymi atakami i protestami, skapitulowała w kwestii dla jakości oświaty kluczowej, wycofując antyegalitarną (czyli sprzyjającą najwybitniejszym) reformę zarobków nauczycielskich. Po czym „zbiegła” do Parlamentu Europejskiego. Jej następca nie miał w ogóle mentalności walczącego polityka, o czym świadczy to, iż bez zmruczenia oka rychło dał się zredukować do urzędniczej roli wiceministra.

Nie tylko liderzy PiS musieli się zorientować, że po wymuszeniu morderczym wysiłkiem odwrotu od Handkego, oświata znanym dobrze cichutkim i inercyjnym trybem powoli stacza się w swoje stałe koleiny. A to znaczyło, że nieuchronnie stanie się wkrótce terenem ideologicznych łowów ze strony progresistów.

WEJŚCIE CZARNKA

Czarnek miał być na to remedium. Ten profesor prawa z KUL zasłynął bowiem już wcześniej nie tyle ze swych książek naukowych, ile raczej właśnie z twardości ideologicznej i łatwości wdawania się w bójkę z progresistami. W Lublinie jako wojewoda poprowadził kontrmanifestację przeciw tamtejszej tęczowej paradzie. Nie

stronił przy tym od mocnych i wyrazistych ocen tego, co wyprawiają na ulicach niektórzy uczestnicy tego rodzaju parad. Czarnek nie bał się takich ocen, świadom przecież, że rosnący w Polsce fanatyzm progresistów musi uczynić zeń za chwilę obiekt zbiorowej nienawiści o wyjątkowym nasileniu.

Tymczasem Czarnek nie zmienił swojego stylu także po tym, jak został już superministrem nad oboma edukacyjnymi resortami: zarówno nad szkołą, jak i nad uniwersytetami. Nadal łatwo go można sprowokować do ataku ad personam, nawet bez potrzeby czy politycznego interesu. Tak jak np. w przypadku księdza Bonieckiego, którego na antenie Radia Wrocław nieoczekiwanie wykluczył nie tylko z grona katolików, lecz i chrześcijan, ba... nawet zaprzeczył wierze tego kapłana w dziesięć przykazań Bożych. Nadal z nieskrywaną satysfakcją lubi ogłaszać tezy prowokacyjne, nawet gdy są one oczywiście fałszywe, jak np. że „w latach 90. Radio Maryja było jedynym wolnym medium w Polsce”. Można odnieść wrażenie, że albo Czarnek po prostu nie panuje nad swym polemicznym temperamentem, albo też z premedytacją korzysta z każdej okazji, aby umacniać swój wizerunek nieprzejednanego zagonczyka, w każdej chwili gotowego ruszać na kolejną potyczkę z progresistami.

Za to Czarnek płaci teraz polityczną cenę. To wszystko, co publicznie powiedziano na jego temat, już dawno przebiło nie tylko nagonki na Ziobrę i Kaczyńskiego. W głównej opozycyjnej gazecie można było ostatnio przeczytać, że to właśnie Czarnek jest „twarzą dokonującego się zwrotu totalitarnego”. Miałby to być już ponoć jakiś wyższy od „autorytaryzmu” (symbolizowanego przez Ziobrę) stopień politycznej przemocy, jaka właśnie zaczyna się w Polsce. Można machnąć ręką na demoniczne zestawienia dokonywane przez polityków PO; w końcu od czasu sławnej „mowy inauguracyjnej” swojego szefa na temat „czystego zła” mają oni obowiązek ćwiczenia się w nowej formie propagandy, inspirowanej metafizyką (co trafnie spostrzegł Hołownia). Ale do walki z Czarnkiem zmobilizowano uczniów i nauczycieli (akcje #CzarnekJesteśuPani oraz #CzarnekChallenge), którzy zebrali dziesiątki tysięcy podpisów pod żądaniem jego odwołania. A także profesurę. Karykaturalnym przykładem z ostatnich dni może być kolega po fachu

Czarnka, skądinąd profesor zasłużony dla reform administracji – Hubert Izdebski, który daje specjalny wywiad, aby oskarżyć Czarnka, iż ów w swych poglądach „nie uwzględnia Kartezjusza, Locke’a i Hobbesa” (dlaczego akurat tych trzech?), co ma go dyskredytować jako ministra! Nikt się nie dowie, o co tu chodzi, ale publika ma się cieszyć, że krytyk ministra jest mędrce, a minister – kretyne.

DWIE NOWELE USTAW

Także dwie inicjatywy ustawowe zgłaszane przez Czarnka zostały już ogłoszone czymś na kształt pakietu diabelskiego. Pierwsza, ostatnio przyjęta przez rząd, odnosi się do uniwersytetów i ma na celu ochronę „wolności akademickiej”. Tego rodzaju nowela jest konieczna, jeśli ktoś na serio uważa, że w imię samej klasycznej Humboldtowskiej idei uniwersytetu państwo (niezależnie od orientacji ideowej rządu) winno nie dopuścić do siłowego wyeliminowania słabej już i tak frakcji klasyków w społeczności akademickiej. Nawiasem mówiąc, tu całkiem niedawno PiS (co mu się zdarza nie tak rzadko) samo sobie strzeliło w stopę, przekształcając dość niepozbiany republikańizm, panujący od trzech dekad na polskich uniwersytetach, w ustrój rektorskiego absolutyzmu.

I to właśnie w takim czasie, kiedy rektorzy, przynajmniej ci z wielkich uniwersytetów, z szczerą wiarą albo z oportunistycznym własnie stawali się wojującymi progresistami.

Czarnek chce więc ich pozbawić prawa eliminowania uczonych, którzy w jakiś sposób okazują swoje „klasyczne” przekonania, gwarantując ustawowo, iż dyscyplinarnie nie można wylać kogoś z uniwersytetu za to, że korzysta z konstytucyjnych praw i swobód.

Gdy idzie o drugą nowelę, ma ona dotyczyć szkół państwowych, a Czarnek w lipcu ogłosił tylko jej wstępne założenia. Wystarczyło, aby wywołać piekło i przyspieszyć wniosek opozycji o wotum nieufności. Prawdę powiedziawszy, resort Czarnka ani nie przygotował się dobrze do tej inicjatywy, ani też nie jest jasne, czy jej główna idea coś realnie w polskiej szkole zmieni. Rzecz idzie o zwiększenie możliwości Czarnka i jego kuratorów, gdy chodzi o odwoływanie dyrektorów

szkół. W dwojakim sensie: po pierwsze – przymuszając prezydentów dużych miast (bo o nich tu głównie chodzi) do odwołania takiego dyrektora, który sabotuje nakazy wydane przez kuratorium w ramach tzw. nadzoru pedagogicznego, po drugie – blokując swobodne odwołanie dyrektora przez prezydenta miasta, wbrew woli kuratorium.

Opozycja ma oczywiście rację, że to jest centralizm (Czarnek twierdzi oczywiście, że to „klamstwo»Gazety Wyborczej«”), ale można by rzec, iż to na razie centralizm umiarkowany i oświecony. Czarnek nie ma bowiem ambicji pozbawić władz lokalnych prawa do mianowania i odwoływania dyrektorów, jak to zrobił choćby resort kultury w odniesieniu do konserwato-

To, że ideowa twardość ministra uświadomiła Polakom, iż całkiem na serio toczy się poważna batalia ideowa o przyszłość polskiej szkoły, to znaczna zasługa stylu Czarnka

rów zabytków, manifestując w ten sposób resortowy centralizm despotyczny.

Dowodem słabego przygotowania tej operacji jest fakt, iż resort Czarnka zapytany przez media o przypadki sabotowania przez dyrektorów szkół nakazów kuratorów... nie potrafił podać ani jednego zdarzenia. Co odbiera powagę diagnozie leżącej u podstaw całej noweli. No a jeśli już cała operacja ma być warta zamętu i złości, jakie wywołuje, to przynajmniej powinna być skuteczna. A taka raczej nie będzie, skoro nominacje i odwoływanie dyrektorów pozostaje w rękach prezydentów miast, a ci – jawnie wrodoży Czarnkowi, choćby w Warszawie, Gdańsku czy Wrocławiu – w każdej chwili mogą ogłosić, iż nie zastosują „opresyjnej”, „totalitarnej” i „antyeuropejskiej” ustawy, tak jak zrobili to, choćby odmawiając udostępnienia spisów wyborców w maju 2020 r.

Bardziej roztropny jest inny pomysł Czarnka z tego projektu, aby długo-

trwać i zawiązać procedurą zniechęcić dyrektorów szkół do sprowadzania tam różnych zewnętrznych organizacji społecznych w celu indoktrynowania dzieci. Choć znów, konserwatywnemu ideałowi oświaty bardziej odpowiadałoby po prostu oddanie pełni swobodnej decyzji rodzicom co do kierunku wychowania ich dzieci.

SPÓR O MISJĘ SZKOŁY

W głosowaniu nad wotum nieufności Czarnek nie mógł upaść, gdyż go winowcy, od których zależała większość na sali sejmowej, musieliby być ideowymi samobójcami, jeśli by własnymi rękoma chcieli dać tak spektakularny sukces progresistom. I to

w szkołach, o które toczy się dziś kluczowa batalia ideowa. Czarnka z przejęciem bronił z trybuny sejmowej premier Mateusz Morawiecki, odwołując się, nie bez racji, do fundamentalnego sporu o kulturę i misję szkoły w dziedzinie „uszlachetniania dusz”.

Ów sukces sejmowy Czarnka nie zamyka oczywiście konfliktu wokół jego ministrowania, który za chwilę znów wybuchnie zapewne z taką samą siłą i zaciekleścią. Podobnie jak to było (i trwa nadal) w wymiarze sprawiedliwości, można się spodziewać sabotowania decyzji Czarnka, zorganizowanego biernego oporu,

a może nawet tzw. obywatelskiego nieposłuszeństwa przeciw ministrowi, czyli otwartego i zbiorowego łamania prawa. Opozycji udało się bowiem zrobić z Czarnka w opinii publicznej głupca i fanatyka (potwierdzają to ostatnie sondaże, np. ten publikowany przez „Rzeczpospolitą”). A to znaczy zapewne, że opozycyjni prezydenci metropolii nie porzucą żadnej okazji do przeciwstawienia Czarnkowi szkół, ustrojowo podległych nie resortowi edukacji, ale władzy samorządowej.

To, że ideowa twardość ministra uświadomiła Polakom, iż całkiem na serio toczy się poważna batalia ideowa o przyszłość polskiej szkoły, to znaczna zasługa stylu Czarnka. Gorzej, jeśli Czarnek, miast być skoncentrowany na batalii o szkołę i perpekcyjnym przygotowaniu swych inicjatyw, nadal będzie obecny w polityce przede wszystkim w roli nawiedzonego impetyka, cieszącego się jak dziecko z każdej prowokacji, jaką uda mu się wywołać.

PIŁKA

PO TWOJEJ STRONIE



TANKUJ



KUPUJ



ZDOBYWAJ

Promocja trwa od 8.06 do 9.08.2021 r. lub do odwołania.
Szczegóły, lista stacji biorących udział w promocji oraz regulamin
dostępne na stacjach LOTOS oraz na pilki.lotost.pl.
Organizator: LOTOS Paliwa Sp. z o.o., 80-718 Gdańsk, ul. Elbląska 135.





Kto nie chce się szcz

Półowa dorosłych Polaków – mimo złych doświadczeń z ostatniej zimy i wiosny – do tej pory jeszcze się nie zaszczepiła. Jednak w większości nie są to członkowie „sekt” antyszczepionkowców, ale ludzie, którzy bagatelizują zagrożenie. Zwykle młodzi lub mieszkający w miastach średniej wielkości



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Narodowy Program Szczepień dostał w ostatnich tygodniach zadyszki. O ile na początku czerwca dzienna liczba wykonanych

zastrzyków sięgnęła 651 705, osiągając tym samym apogeum, o tyle w kolejnych dniach zaczęła powoli, ale konsekwentnie opadać. Według oficjalnych danych Ministerstwa Zdrowia w ostatni czwartek 22 lipca wykonano już tylko 182 982 iniekcje. To dość dużo, bo ponadtrzykrotny spadek.

Opozycja bije już na alarm, wskazując, że Polska znajduje się zaledwie pośrodku rankingu Unii Europejskiej w liczbie szczepień. Rzeczywiście nasz kraj jest pośrodku, ale trzeba dodać, że różnice

między państwami są bardzo niewielkie. Można wręcz powiedzieć, że niemal cała Unia idzie – jeśli chodzi o tempo szczepień – łeb w łeb. Nie oznacza to jednak, że nie ma powodu do niepokoju.

PODNIESIONA POPRZECZKA

Łączna liczba szczepień wykonanych do 22 lipca przekroczyła w Polsce 33 mln, z tego mniej więcej połowa (16,6 mln) dotyczy osób w pełni zaszczepionych – a więc takich, które otrzymały dwie



Fot. Dariusz Sobczak/Shutterstock.com

zepić?

skorygowania wcześniejszych założeń i przyznania, że do osiągnięcia odporności zbiorowej konieczne jest podwyższenie liczby zaszczepionych aż do minimum 80 proc. populacji. Dodatkowo nie jest też jasne, jak długo utrzymuje się odporność u ozdrowieńców, a zatem nie można – tak jak wcześniej – optymistycznie zakładać, że nie zarażą się oni kolejny raz i znów nie zachorują. W tej sytuacji obecny wskaźnik wyszczepienia w Polsce, wynoszący niespełna 45 proc., jest daleko niewystarczający.

Oczywiście nie mamy również żadnych gwarancji, że stosowane dziś szczepionki okażą się w pełni skuteczne. Nie wiemy bowiem, jak długo będą dzia-

Ponad połowa Polaków nie zaszczepiła się, ale ufa, że uniknie zakażenia, bo inni „zaryzykowali” i się zaszczepili. Być może byłoby to prawdą, gdyby tych zaszczepionych było przynajmniej 80 proc.

Liczba zaszczepionych osób ma więc – jak widać – fundamentalne znaczenie dla przebiegu pandemii i jej skutków. Doświadczaliśmy tego zresztą także w Polsce, gdzie gwałtowny przyrost chorych na COVID-19 doprowadził podczas ostatnich dwóch fal pandemii do zatknięcia służby zdrowia i największej od końca II wojny światowej liczby zgonów. Ofiarami byli nie tylko pacjenci z chorobą koronawirusową, ale także osoby cierpiące na inne ciężkie schorzenia, dla których zabrakło wykwalifikowanej opieki medycznej i miejsc w szpitalach.

NOWA FALA NA HORYZONCIE

Tymczasem znów przeżywamy powtórkę z poprzednich wakacji. Wtedy również mocno spadła liczba nowych przypadków i powszechnie uznano, że zagrożenie minęło. W tym roku przekonanie to paradoksalnie wzmocnione jest wiarą w moc szczepionki. Wprawdzie ponad połowa Polaków się nie zaszczepiła, ale ufa, że uniknie zakażenia, bo inni „zaryzykowali” i się zaszczepili. Być może byłoby to prawdą, gdyby tych zaszczepionych było przynajmniej 80 proc. A na to na razie się nie zanosi. Znacząco

dawki (lub jedną w przypadku rzadziej stosowanego, jednodawkowego preparatu Johnson & Johnson). Wprawdzie dzięki temu uda się zapewne wykonać rządowy plan wyszczepienia połowy dorosłej populacji do końca sierpnia, ale wiemy już, że to zbyt mało, aby zahamować spodziewany wczesną jesienią kolejny wzrost zakażeń. Zwłaszcza że obecne statystyki nabijają – choć trzeba przyznać, że nieznacznie (do zeszłego tygodnia niepełna milion zastrzyków) – trwające od niedawna szczepienia nastolatków.

Do niedawna sądzono, że minimum zapewniające odporność zbiorową to 60 proc. osób, które w danej populacji mają przeciwciała. W ciągu ostatnich miesięcy dowiedzieliśmy się jednak o naturze koronawirusa nowych, niepokojących rzeczy. Przede wszystkim pojawił się znacznie bardziej zakaźny wariant delta, który zmusił naukowców do

łać i czy okażą się wystarczającą zaporą przed nowymi mutacjami koronawirusa. Wiemy jednak na pewno, że w tej chwili są one najlepszą formą ochrony przed hospitalizacją i śmiercią. Jak wynika z ostatnich prac naukowych, szczepionki ograniczają ryzyko ciężkiego przebiegu choroby aż o 92 do 98 proc. w zależności od preparatu. A kto nie wierzy naukowcom, ten może zajrzeć do powszechnie dostępnych statystyk. W Wielkiej Brytanii, gdzie poziom zaszczepienia populacji wynosi blisko 55 proc., przy dobowej liczbie zakażeń na poziomie ponad 44 tys. odnotowano 21 lipca 79 zgonów. Tego samego dnia w Rosji – według oficjalnych danych – zarejestrowano dwukrotnie mniejszą liczbę zakażeń (ponad 23 tys.), ale zmarły aż 783 osoby, głównie z tego powodu, że w pełni zaszczepionych jest tam zaledwie 15 proc. populacji.

odmienna jest za to – w porównaniu z ubiegłym rokiem – postawa rządu, który wówczas przedwcześnie ogłosił odwrót pandemii, ale dziś, świadomy możliwych konsekwencji politycznych i gospodarczych, nie zamierza powtarzać tego błędu. Tym bardziej że na horyzoncie naprawdę majaczy już czwarta fala.

Rok temu pierwsze symptomy kolejnej fali zakażeń także były widoczne już w lipcu, choć niemal wszyscy woleli ich nie dostrzegać. Teraz jednak trudno, nawet najbardziej opornym, nie zauważyć rosnącej w Europie liczby zakażeń, tym bardziej że w niektórych krajach, takich jak wspomniane Wielka Brytania czy Rosja, ale również Hiszpania, Francja, Holandia i Włochy, wzrosty są bardzo znaczące i sięgają niekiedy kilkudziesięciu tysięcy albo i więcej przypadków na dobę. Nie ma żadnej wątpliwości, że za te zakażenia odpowiada najgroźniejsza



dzisiaj mutacja koronawirusa, czyli wariant delta, którego wskaźnik transmisji jest znacznie wyższy niż w przypadku jego poprzedników. Dla przykładu jeden nosiciel dominującego dotąd wariantu alfa (brytyjskiego) zarażał 4–5 osób, a w przypadku delty jest to już 5–8 osób.

O szybkości rozprzestrzeniania się delty mogą świadczyć najnowsze dane z Polski. Na ich podstawie szacuje się, że w tej chwili blisko połowa zakażeń w naszym kraju jest wywołana deltą, podczas gdy jeszcze miesiąc temu było to zaledwie 8 proc. W takim tempie delta stanie się dominującym wariantem w Polsce w ciągu kilku następnych tygodni, a to musi oznaczać szybki wzrost ciągle niewielkiej dzisiaj liczby zakażeń. Zwłaszcza że mamy szczyt sezonu wakacyjnego i – co za tym idzie – wyjazdy zagraniczne i masowe przemieszczanie się ludzi. Następną falą pandemii w Polsce wydaje się więc nieunikniona. Otwartą kwestią pozostaje jej rozmiar, a ten w dużym stopniu zależy od tego, ile osób zostanie do jesieni w pełni zaszczepionych.

WIRUS IM NIESTRASZNY

Dlaczego – mimo złych doświadczeń z ostatniej zimy i wiosny – połowa dorosłych Polaków do tej pory się nie zaszczepiła? Niektórzy twierdzą, że – podobnie jak rok temu – ludzie zostali uśpieni wakacjami, słońcem i dużym spadkiem liczby zakażeń. Jednak nie jest to chyba trafne wytłumaczenie, zwłaszcza że znamy już przecież, właśnie z poprzedniego roku, konsekwencje takiej beztroski. Obecny spadek tempa szczepień wynika raczej stąd, że ci, co chcieli się zaszczepić, w większości już to zrobili, a pozostali ciągle się jeszcze wahają lub w ogóle nie zamierzają przyjmować szczepionki. Liczba tych ostatnich szacowana jest, według różnych badań, na około 30 proc. Oznacza to, że problem ze szczepieniami nie ma sezonowej natury i nie zniknie wraz z końcem wakacji.

Najwięcej niezaszczepionych można znaleźć na tzw. ścianie wschodniej, przede wszystkim w woj. podlaskim – niespełna 23 szczepienia na 10 tys. mieszkańców, i w podkarpackim – nieco ponad

23 szczepienia na 10 tys. (dla porównania w Wielkopolsce wskaźnik ten wynosi 55 szczepień na 10 tys. mieszkańców). Tak niski poziom wyszczepienia w niektórych regionach wywołał poważne obawy wśród lokalnych przedsiębiorców, że w przypadku czwartej fali pandemii doprowadzi to do masowej absencji pracowników i bankructwa ich firm. Niektórzy decydują się więc na szczepienie swoich pracowników niekiedy połączone z bonusami finansowymi.

Jak wynika z czerwcowego sondażu CBOS, główną przyczyną niezapisania się na szczepienie jest brak czasu (21 proc. wskazań). Oznacza to, że część osób po prostu nie boi się zakażenia i bagatelizuje zagrożenie. Kolejną grupę (18 proc.) stanowią ozdrowieńcy, którzy

W ciągu kilku następnych tygodni delta stanie się dominującym wariantem koronawirusa w Polsce, a to musi oznaczać szybki wzrost ciągle dziś niewielkiej liczby zakażeń

nie zamierzają się szczepić, a następnie osoby obawiające się powikłań poszczepiennych (16 proc.).

A zatem nie mamy tu do czynienia – jak można byłoby się z początku spodziewać – z „sektą” antyszczepionkowców (która owszem istnieje, ale nie jest aż tak liczna), ale raczej z lekceważeniem problemu. Do takich wniosków można dojść, porównując przytoczone dane ze strukturą wiekową i społeczną niezaszczepionych. Otóż większość z nich to ludzie młodzi (do 29. roku życia), którzy z racji swojego wieku i dobrej kondycji nie odczuwają obaw związanych ze zdrowiem i chorobą. Inne badanie – tym razem pracowni IBRiS – wskazuje za to, że najmniej chętnych do szczepienia jest w średnich miastach (50–250 tys. mieszkańców).

Podjęciu decyzji o szczepieniu nie pomaga też ciągła ewolucja naszej wiedzy o koronawirusie. Niestety wiele osób nie rozumie, dlaczego kiedyś mówiło się jedno, a dziś drugie – np. w kwestii trzeciej dawki szczepionek (wcześniej zakładano, że być może będzie niepotrzebna, teraz – gdy pojawiły się nowe mutacje – naukowcy skłaniają się do cyklicznych szczepień). Obawy budzą także mocno zresztą wyolbrzymione doniesienia o niepożądanych skutkach szczepionek. Te skutki, owszem występują, ale po pierwsze zdarza się to bardzo rzadko, a po drugie nie dzieje się tak od dziś. Każde lekarstwo (nie tylko szczepionka) ma przecież skutki uboczne, niekiedy poważne, wystarczy poczytać załączone ulotki. Nie oznacza to jednak, że z tego powodu należy zrezygnować z używania leków.

KRÓTKOWZROczne KALKULACJE

Małomiasteczkowy szczepionkowy sceptycyzm na ścianie wschodniej stał się już oczywiście przyczyną drwin z konserwatywnej „ciemnoty”, która wprawdzie głosuje na PiS, ale nie wierzy tej partii i nie idzie się zaszczepić. Jest to zresztą obraz nieprawdziwy choćby dlatego, że spory wokół szczepień wymykają się u nas podziałom politycznym. Większość wyborców PiS wspiera politykę rządu, w tym również szczepienia, a obiekcje mają raczej zwolennicy Konfederacji i osoby bez określonych preferencji politycznych.

Dlatego też takie liberalne śmieszki są równie niemądre jak wiara w teorie spiskowe, chyba że komuś zależy na kryzysie wywołanym kolejną falą pandemii. Zapewne dla części opozycji byłby to atrakcyjny scenariusz, zwłaszcza że paru polityków z Donaldem Trumpem na czele już upadło z powodu pandemii, a postawę dość konserwatywnego elektoratu wobec szczepień można łatwo przedstawiać jako zagrażającą publicznemu bezpieczeństwu. Problem w tym, że rzucanie takich oskarżeń jeszcze bardziej wzmacnia opór przeciwko szczepieniom. Owszem utrudni to życie rządzącej partii, ale na pewno nie zachęci nikogo do szczepień ani nie poprawi naszej sytuacji.

Macierzyństwo i kariera – to da się połączyć

Wiele młodych kobiet odsuwa myśl o macierzyństwie i założeniu rodziny, co przekłada się na to, że coraz później zostają mamami. Nierzadko bywa to podyktowane przekonaniem, że jeżeli teraz poświęcą się dziecku, to na bok będą musiały odłożyć karierę zawodową. Moje rozmówczynie pokazują, że to wcale nie musi się tak skończyć

Z *Magdaleną Szefernaker*, autorką książki „Mama na obcasach”, rozmawia Aleksandra Jakubowska



W pani książce 11 kobiet opowiada o tym, jak godzi karierę zawodową z macierzyństwem, rodziną. To ma udowodnić, że stereotyp, iż trzeba wybierać między karierą a rodziną, nie do końca jest prawdziwy?

Magdalena Szefernaker:

Moim głównym celem było udowodnienie, że łączenie pracy zawodowej z macierzyństwem jest możliwe, chociaż jest dużym wyzwaniem, o czym właśnie mówią moje rozmówczynie. Każda opowiada to na swój sposób, w oparciu o własny życiorys, swoje doświadczenia.

Dla kobiet, które chciałyby iść taką drogą, a jest ich bardzo wiele, prze-



JAKUBOWSKIEJ

slanie wydaje się bardzo proste. Połączenie tych dwóch światów, które wydawałoby się, że są na dwóch przeciwnych biegunach, jest trudne, ale możliwe do zrealizowania.

Dokonała pani dość specyficznego wyboru swoich rozmówczyń, bo są to kobiety sukcesu: dziennikarki,

aktorki, bizneswoman, postanka, minister. Kobiety, które dysponują swoim czasem i znacznie łatwiej jest im zorganizować życie tak, aby połączyć karierę zawodową z rodziną, wychowaniem dzieci, niż kobietom, które np. są na etacie od 8 do 16 albo pracują w korporacjach, gdzie jest wymagana ciągła dyspozycyjność.

Nie mogę się zgodzić, że tym kobietom jest łatwiej, dlatego że każda z nich przeszła swoją drogę. Na tej drodze trzeba było podejmować wiele ciężkich wyborów, które dotyczyły także pracy. Na przykład Małgorzata Ostrowska-Królikowska, mama pięciorga dzieci, w wywiadzie podkreśla, że musiała wybierać możliwą do wykonania pracę wraz z kolejnymi etapami rozwoju dzieci. Mając dwóch małych synów, nie mogła się w pełni zaangażować w pracę aktorską. Naturalnie gdy karmiła piersią dziecko, nie mogła grać spektakli wieczorami. Za to mogła pracować w dzień na planie serialu. I tak krok po kroku, jak już było pięciorgo dzieci i starsze opiekowały się młodszymi, to w zasadzie wtedy było jej dużo łatwiej. I kolejny przykład, Barbary Sochy, która w zasadzie większość swojej kariery zawodowej pracowała w korporacjach. Po urodzeniu dziecka była na urlopie macierzyńskim, wiele kobiet z tego korzysta, ale potem wracała do pracy tak jak większość mam i było to dla niej dużym

wyzwaniem. Mówi, że nawet przyplaciła to zdrowiem po urodzeniu pierwszego dziecka. Nagle w życiu kobiety bardzo aktywnej zawodowo, której głównym celem były praca i rozwój zawodowy, pojawiło się dziecko, dlatego też, można powiedzieć, przeżyła szok. Musiała przestać się zajmować pracą, ponieważ ta mała istota absorbowwała ją cały dzień, a ona była do tego nieprzygotowana. Teraz, gdy ma już pięcioro dzieci, opowiada o tym, że każdy etap był zupełnie inny, z każdym kolejnym dzieckiem w zupełnie inny sposób patrzyła na pracę, zmieniały się jej priorytety. Kolejnym przykładem pokazującym, że moim rozmówczyniom, które mają bardzo wymagające zawody, nie jest łatwiej, jest Dorota Gawryluk. Podkreśla, że często ma wyrzuty sumienia z tego powodu, że za mało czasu poświęca rodzinie, ponieważ praca dziennikarska jest niezwykle absorbująca.

Rozmowy, które pani przeprowadziła, pokazują różnice ścieżki życiowej, z różnymi problemami te kobiety musiały sobie radzić, ale czy jest w ogóle możliwe, żeby znaleźć złoty środek? W pewnym momencie coś trzeba było ograniczyć – albo zmniejszyć tempo pracy, albo poświęcić mniej czasu rodzinie. I w jednym, i drugim przypadku z wyrzutami sumienia, że się coś zaniedbuje.

Gdy dzieci są małe, trudno zastąpić mamę inną osobą. O tym na przykład mówi Jadwiga Emilewicz, że są takie momenty, kiedy mamy nie zastąpi tata, zwłaszcza na tych pierwszych etapach rozwoju dziecka. Dopiero później, kiedy dzieci są starsze, można sobie inaczej ułożyć funkcjonowanie w domu i rozwój zawodowy, można chyba nawet powiedzieć, że jest łatwiej, dzieci są bardziej samodzielne, opieka non stop nie jest już konieczna. Nie ma jednak jednej recepty ani złotego środka dla wszystkich. Wszystkie moje rozmówczynie pokazują, że każda kobieta musi taką drogę znaleźć sama, bo ona najlepiej wie, w którym momencie zwolnić, a kiedy przyspieszyć, kiedy więcej czasu poświęcić pracy, a kiedy rodzinie.

W tle tych wszystkich rozmów pojawia się gdzieś mężczyzna, partner, mąż, osoba, która w dużej mierze, jak mówią pani bohaterki, jest wsparciem, jest pomocą w różnego rodzaju sytuacjach życiowych, kiedy kobieta musi część swoich obowiązków przekazać mężowi. To jest chyba trudne być „mężem swojej żony”, szczególnie w przypadku takich kobiet, które są znane. Pani bohaterki raczej wstrzemięźliwie mówiły o tych relacjach. Chyba nie każdy mężczyzna łatwo godzi się z taką rolą.

Wszystkie rozmówczynie podkreślają, że wsparcie bliskich, w szczególności ojca dzieci, jest niezbędne i dzięki temu jest też możliwe realizowanie się tych kobiet, żeby mogły te dwa światy łączyć. To pokazuje, że zmienia się patrzenie na ojcostwo, mężczyźni bardziej świadomie podchodzą do bycia ojcem, co uważam za bardzo pozytywny kierunek. Lecz to nie są tylko „mężowie swoich żon”, bo wielu z nich realizuje się w swoich zawodach, a niektórzy wręcz robią własną karierę. Kluczem jest dialog, zrozumienie, szukanie porozumienia, bo czasami jest tak, że przychodzą chwile, kiedy kobieta musi wykorzystać swoje zawodowe szanse, a kiedy indziej

– jej mąż czy partner. Dobrze jest, jeśli to można zgrać, tak ułożyć, by te chwile z sobą nie kolidowały. W wielu kobietach drzemie pragnienie i chęć realizowania się, wiele też urealnia swoje ambicje i plany zawodowe.

Aktorka Małgorzata Ostrowska-Królikowska opowiada, że musiała wybierać możliwą do wykonania pracę wraz z kolejnymi etapami rozwoju dzieci. Gdy karmiła piersią, nie mogła grać spektakli wieczorami. Za to mogła pracować w dzień na planie serialu

Są takie sytuacje, w których mężczyzna nie zastąpi kobiety. Cięża, karmienie piersią, naturalne biologiczne uwarunkowania, które spowalniają jej karierę zawodową. Czasami to sprawia, że w konkurencji z kolegami z pracy zostają z tyłu, mają mniejsze szanse robienia kariery, bo po prostu ogranicza je biologia.

Nie da się ukryć, że kiedy jest się w ciąży czy kiedy dziecko jest jeszcze całkiem małe, mama jest z nim w domu, a inne

koleżanki z pracy w tym akurat czasie nie mają takich wyzwań, nie mówiąc o kolegach. Ale macierzyństwo nie przekreśla tego, żeby kobieta mogła się rozwijać, odnosić sukcesy, żeby mogła się realizować. Najlepszym dowodem na to jest historia Anny Skórzyńskiej – w jej przypadku macierzyństwo stało się przyczynkiem do założenia własnego biznesu, a dokładnie do powstania Szumisiów. Wiadomo, że w momencie kiedy dziecko jest małe, to na tym etapie nikt nie zastąpi mamy. Ale to nie oznacza, że jej zawodowa droga jest zamknięta, za jakiś czas, kiedy dzieci podrosną, na tę drogę może bowiem wrócić. Taki strach czy obawa mogą się pojawić i pojawiają się wśród młodych kobiet, które na przykład odsuwają myśl o macierzyństwie i założeniu rodziny, co przekłada się na to, że coraz później zostają mamami. Nierzadko bywa to podyktowane przekonaniem, że jeżeli teraz poświęca się dziecku, to na bok będą musiały odłożyć karierę zawodową. Moje rozmówczynie pokazują, że to wcale nie musi się tak skończyć. Dowodem na to jest chociażby fakt, że większość z nich ma kilkoro dzieci, a ich kariera w międzyczasie gdzieś tam się toczyła, rozwijała. Często już dzieci są dorosłe, a te kobiety



są znane, podziwiane i rozwijają się w swoim zawodzie. Nie jest to łatwe, ale możliwe.

Kiedyś kobiety chciały mieć wcześniej dzieci, odsuwały w czasie swój zawodowy start. A teraz jest odwrotnie, kobietom się wydaje, że jeżeli ustabilizują swoją sytuację zawodową, odniosą jakiś sukces, to bez nadmiernych szkód będą sobie mogły pozwolić na zawieszenie, zwolnienie w pracy zawodowej.

Każdy przypadek jest indywidualny i historia każdej kobiety, nie tylko moich bohaterek, jest odmienna. Obecnie zauważalna jest taka tendencja, że kobiety później zostają mamami. Na to składa się wiele czynników i nie da się wszystkich przypadków zasufladkować w ten sam sposób. Zapewne każda kobieta wie, jaką najlepszą drogę wybrać dla siebie, a co za tym idzie – kiedy podjąć decyzję o macierzyństwie, w którym momencie założyć rodzinę, a także jak mocno i na jakim etapie zaangażować się w rozwój zawodowy.

A kiedy się nie udaje? Nie wiem, czy w ogóle pani z takimi kobietami rozmawiała, ale kiedy nie udaje się pogodzenie tych dwóch rzeczy, co zawodzi?

Pomoc najbliższych, zrozumienie męża, pomoc przy wychowywaniu dzieci, to jest ważne, a jeżeli tego zabraknie, może się nie udać. I na pewno niesamowita organizacja, odpowiednie ustawienie priorytetów i świadomość, kiedy można więcej czasu poświęcić sobie, swoim zawodowym ambicjom, a kiedy dzieciom i rodzinie. Każdy z tych elementów może zdecydować, czy całe to przedsięwzięcie zakończy się sukcesem czy też niepowodzeniem.

Magdalena Wolińska-Riedi mówi, że dla dzieci w jednym momencie zrezygnowałyby z kariery zawodowej. Ona ma chyba jasno ustawione priorytety. Rodzina jest na pierwszym miejscu.

To wybrzmiewa nie tylko w jej wywiadzie. Moje rozmówczynie często

podkreślały, że to macierzyństwo jest dla nich najważniejsze i to ono często determinuje zaangażowanie się w pracę, tak by praca macierzyństwu nie przeszkadzała, o czym mówi m.in. Dorota Łosiewicz.

Niektóre z pani rozmówczyń wspominają, że spotkały na swojej drodze zawodowej szefów i współpracowników, którzy ze zrozumieniem odnosili się do tego, że one mają rodzinę, że pewne rzeczy muszą być stawiane ponad zawodowe zobowiązania. Czy miały szczęście, że spotkały takich ludzi, czy zmienia się stosunek pracodawcy czy też współpracowników do kobiety, która ma dużą rodzinę i nie ukrywa, że to jest dla niej sprawa ważna, jeśli nie najważniejsza?

Myślę że podejście pracodawców do pracujących mam jest bardzo ważne. Tym bardziej że pracujące mamy to często kobiety znakomicie zorganizowane, które szybko wykonują swoje obowiązki, ponieważ mają ich jeszcze tyle poza pracą, związanych z domem i dziećmi, że chcą ten czas pracy maksymalnie wykorzystać. Jeśli jednak chodzi o pracodawców, to myślę, że różnie to bywa i z przeprowadzonych wywiadów nie wynika jednoznacznie, że dla moich rozmówczyń miało to kluczowe znaczenie, choć niewątpliwie widać postęp w traktowaniu przez szefów pracujących mam. I to jest bardzo pozytywne.

Jesteśmy na tyle tolerancyjnym społeczeństwem, że szanujemy wybory kobiet? Nie krytykujemy, nie osądzamy tych, które decydują się na pozostanie w domu, bo uważają, że całkowitą satysfakcję i szczęście przynosi im zajmowanie się rodziną, kilkorgiem dzieci, ale też są takie, które rezygnują z dzieci, twierdząc, że ważna jest dla nich przede wszystkim kariera zawodowa.

Jest pewien postęp w podejściu społeczeństwa do faktu, że kobiety rodzą dzieci i wracają po jakimś czasie do pracy, dzięki czemu mają szansę rozwijać się zawodowo. Niestety wciąż żywy jest także stereotypowy pogląd, że kobieta musi wybierać, czy zajmuje się dziećmi, zakłada rodzinę i temu się poświęca, czy po prostu wybiera ścieżkę zawodową. Pokutuje jeszcze w społeczeństwie przekonanie, że jeżeli kobieta staje się mamą, to może niekoniecznie musi aż tak bardzo rozwijać się zawodowo. Ale coraz więcej jest zrozumienia i coraz więcej kobiet dojrzuje do takich decyzji, że chce być mamą, ale także nie

chce odkładać na bok swoich marzeń o rozwoju zawodowym. Bardzo ciekawie mówi o tym Lidia Sadowa, która podkreśla, że chce mieć swoje pasje również po to, żeby dać dzieciom wolność i nie traktować ich jak projektu swojego życia, za który obarczy ich odpowiedzialnością. Niewątpliwie macierzyństwo bardzo determinuje nasze życie, przez wiele lat w naszym społeczeństwie funkcjonował taki model, że to kobiety zostawały w domu, choć oczywiście nie wszystkie, zajmowały się dziećmi, a to przecież – i tu chcę to bardzo wyraźnie podkreślić – jest bardzo ciężka i ważna praca, a w tym czasie tata siedł do pracy i zarabiał pieniądze. Teraz to się zmienia na model partnerski – kobiety i mężczyźni robią swoje kariery, realizują się zawodowo, zarabiają pieniądze, ale też zajmują się dziećmi. I ten podział w obowiązkach uważam za bardzo dobry i pożądany. Ojcowie coraz bardziej

świadomie wchodzą w rolę bycia tatą, zajmują się dziećmi. I dzięki temu my, kobiety, możemy się realizować zawodowo. Wzajemna pomoc i dialog w związku są niezbędne.

Ojcowie coraz bardziej świadomie wchodzą w rolę bycia tatą, zajmują się dziećmi. I dzięki temu my, kobiety, możemy realizować się zawodowo. Wzajemna pomoc i dialog w związku są niezbędne

Czy nie odnosi pani wrażenia, że stawianie na swego rodzaju piedestale godzenia życia rodzinnego, wychowywania dzieci z karierą zawodową, jako pewnego idealnego wzoru, może być przytłaczające dla kobiet, które z własnej woli nie chcą robić kariery zawodowej, zostają w domu, wychowują dzieci, a z drugiej

strony dla kobiet, które nie chcą mieć rodziny, chcą robić karierę zawodową i być singielką.

Moje rozmówczynie żadnej z tych dróg absolutnie nie deprecjonują. Ja również uważam, że każda kobieta ma prawo wybrać, jaką drogą chce podążać. Najważniejsze, żeby wybierając drogę, wiedziała, że ten wybór da jej wewnętrzne szczęście i spełnienie. W żaden sposób moje rozmowy w książce „Mama na obcasach” nie mają na

celu wskazać, że tylko takie drogi, które wybrały moje bohaterki, są godne uznania i naśladowania. Każda kobieta sama wie najlepiej, jaką drogą chce podążać, i tylko ona tę drogę wybiera. Chcę pokazać, że ta trzecia droga, pogodzenie macierzyństwa i rodziny z karierą zawodową, jest możliwa do zrealizowania. Ona jest trudna, jest dużym wyzwaniem, ale przynosi wiele satysfakcji i szczęścia, a jak powiedziała jedna z moich bohatek, szczęśliwa mama to szczęśliwe dzieci.

Książka dostępna na www.MamaNaObcasach.pl



SIECI

Dodatek z okazji
77. rocznicy wybuchu
Powstania Warszawskiego

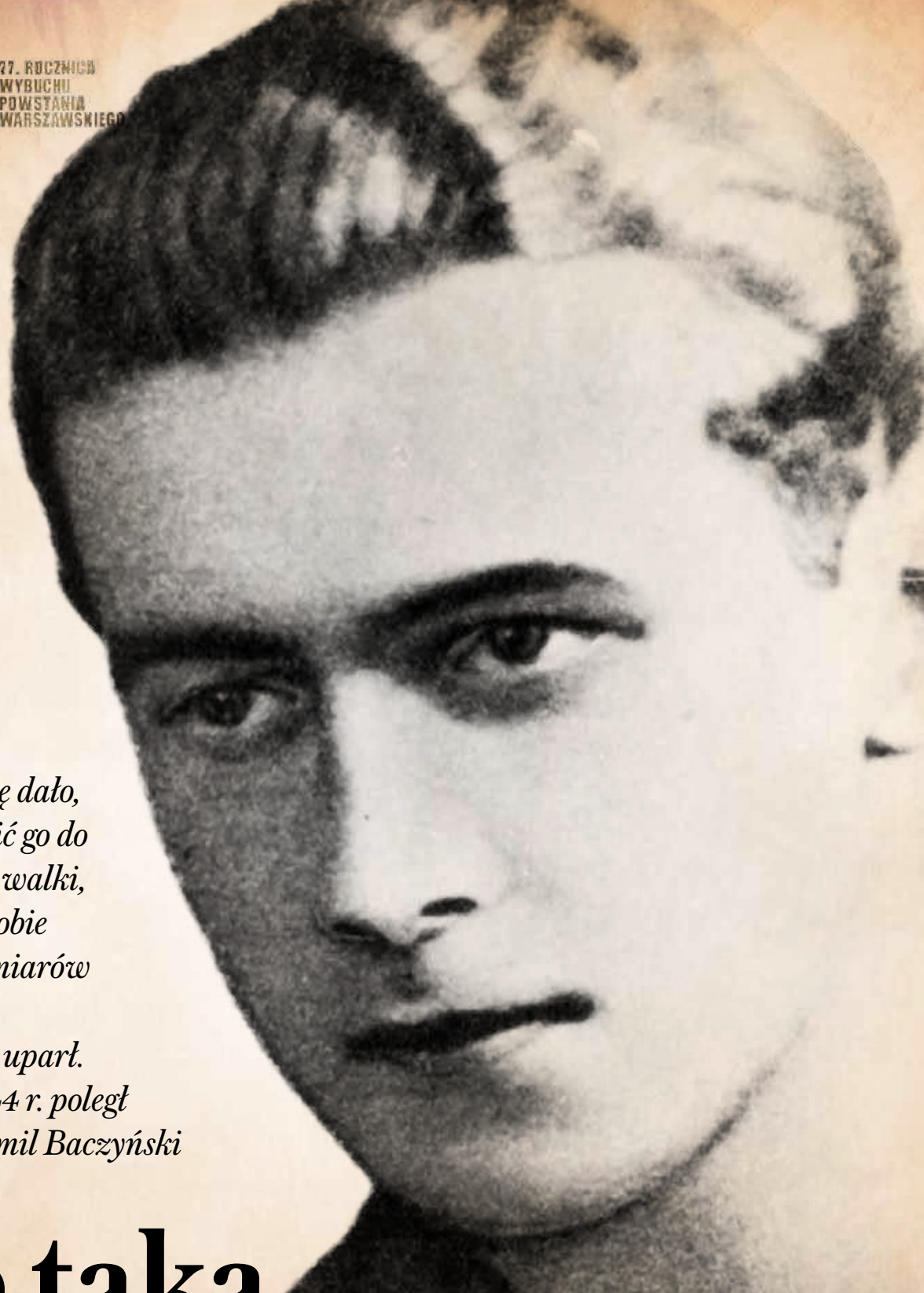
Uparci, odważni, zwolni

PARTNER MERYTORYCZNY



PARTNERZY DODATKU





*Robiono, co się dało,
by nie dopuścić go do
bezpośredniej walki,
bo zdarwano sobie
sprawę z rozmiarów
jego talentu.*

*On się jednak uparł.
4 sierpnia 1944 r. poległ
Krzysztof Kamil Baczyński*

Nie taka zwykła śmierć



WOJCIECH LADA

W 1942 r. w jednym z warszawskich mieszkań zgromadziło się kilka osób, przed którymi usiadł na krześle niepozorny młody chłopak. Miał 21 lat i zdążył się już nawet ożenić, ale tak po prawdzie trudno było w to uwierzyć. Był bardzo drobny, jego niemal pozbawioną zarostu twarz okalały lekko falujące blond włosy – równie dobrze można było dać mu lat 18, a nawet mniej. Tego wieczoru przedstawiał swoje wiersze. „Czytał z małych notesików, zapisanych starannie drobnym, równym pismem, a każdy utwór opatrzony był tytułem i najczęściej datą powstania” – wspominał Zbigniew Wasilewski, kolega poety z konspiracyjnego wydziału polonistyki.

Daty, o których mówił Wasilewski, nie różniły się od siebie aż tak bardzo, bo choć pisał od kilku lat, większość starszych wierszy odrzucił, za istotne uznając właściwie tylko te z ostatniego roku, może półtora. Zebranych to jednak zupełnie nie przeszkadzało – słuchali z uwagą i powagą. I nic w tym dziwnego. Chłopak był już bowiem – jak na warunki okupacji – sporą gwiazdą literacką, o której z najwyższym uznaniem wypowiadały się takie autorytety jak Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Wyka czy Czesław Miłosz. Ten ostatni był tego wieczoru w mieszkaniu. Kiedy chłopak skończył czytać, podszedł do niego i zagaił. Po imieniu, bo znali się już nieźle:

„– Słuchaj, ty będziesz większy ode mnie!

– Ja już jestem większy od ciebie” – odparł młody poeta.

ZAKONSPIROWANA GWIAZDA

Krzysztof Kamil Baczyński – bo to on był gwiazdą owego wieczoru – z pewnością nie był skromny, ale miał ku temu podstawy. W ciągu zaledwie dwóch okupacyjnych lat przeszedł szokującą badaczy ewolucję, od chłopaka piszącego zgrabnie, ale dość konwencjonalne wierszyki, do poziomu poety, któremu wrócono rolę „następcy Słowackiego”. „Byłem nim oczarowany, jako zjawiskiem” – przyznawał Miłosz, a Iwaszkiewicz dodawał, że narodził się nadzwyczajny młody poeta, że dojrzałość jego w tak młodym wieku jest zdumiewająca, że pisze bardzo dużo, jednym słowem,

że jest to zjawisko nieprzeciętne”. Karminiony takimi opiniami i powszechnym w zasadzie aplauzem miał prawo poczuć się kimś wyjątkowym.

Nie znaczy to jednak, że był wobec siebie bezkrytyczny. Przeciwnie, swoje wiersze starannie selekcionował, dwa pierwsze bruliony opatrzył adnotacją, że „nie mają być drukowane”, a kiedy podziemne wydawnictwo Biblioteka Sublokatorów Przyszłości chciało opublikować jego tomik, udostępnił zaledwie siedem utworów – podobnie zresztą było z kolejnym. I choć oba ukazały się w nakładzie piętnastu egzemplarzy, a oprócz nich Baczyński publikował jedynie pojedyncze utwory w konspiracyjnej prasie, fama o narodzinach „nowego Słowackiego” zataczała coraz szersze kręgi, choć rzecz oczywista głównie w Warszawie. W każdym razie, kiedy w 1942 r. ukazały się jego „Wiersze wybrane”, osiągnęły już nakład stu egzemplarzy i zasadniczo entuzjastyczne recenzje – choć zdarzały się opinie krytyczne, choćby – co ciekawe – z ust jego rówieśnika i głównego konkurenta, Tadeusza Gajcego. Ale i on krytykował go ze sporym jednak uznaniem.

Jak to możliwe, że w okupacyjnych warunkach możliwa była tak błyskotliwa kariera? Jak młody, nikomu nieznanym chłopak, publikując w niskonakładowej prasie podziemnej, został szeroko rozpoznawalną gwiazdą literatury? Otóż wbrew pozorom nie jest to aż tak bardzo dziwne. Fenomen podziemnej Polski nie polegał wyłącznie na samej walce z okupantem – doskonale zdawano sobie sprawę, że co najmniej równie ważną jest walka o kulturę i dlatego dbano o nią tak bardzo. Organizowano dziesiątki spektakli, koncertów i wieczorków poetyckich – wspierano też oddolne inicjatywy w tym zakresie. Życie kulturalne w okupowanej Warszawie dosłownie wrzało.

„Podziemne życie artystyczne Warszawy płynęło już wówczas wartkim nurtem. Wielu aktorów recytowało poezję po mieszkaniach i w szkołach. Słyszałem wiele koncertów kameralnych, które dawali: Jan Ekier, Stefan Kisielewski, Konstanty Regamey, Andrzej Panufnik. Byłem nawet na zamkniętym koncercie (w konserwatorium na Okólniku), na którym Andrzej Panufnik po

raz pierwszy wykonał swoją »Uwerturę tragiczną«” – wspominał znakomity aktor Jan Ciecierski, który zresztą sam wkrótce włączył się w ten nurt.

Ciecierski mówił o czytaniu poezji przez aktorów, ale nie oddaje to rozmachu przedsięwzięcia. Inni uczestnicy tamtych wydarzeń wspominali, że powstała wówczas wręcz nowa forma artystyczna, tzw. słuchowiska na żywo, czyli starannie wyreżyserowane wieczory, podczas których, do granej na żywo muzyki, aktorzy recytowali wiersze, czytali fragmenty prozy, czasem także śpiewano. Popularność tych wieczorów była ogromna. Dość wspomnieć, że dziesięć z nich, zorganizowanych przez aktorkę Zofię Małynicz w listopadzie 1941 r. obejrzało ok. 400 warszawiaków. Był to tak duży sukces, że w porozumieniu z Biurem Informacji i Propagandy Armii Krajowej w sierpniu 1942 r. postanowiła kontynuować je aktorka i reżyserka Maria Wiercińska. 150 zorganizowanych wówczas audycji, wysłuchało i obejrzało ponad 7 tys. mieszkańców stolicy.

Nie wiemy, w ilu takich imprezach uczestniczył Baczyński, ale właśnie takimi drogami jego wiersze miały szansę stać się naprawdę popularne, a on sam – zostać gwiazdą.

WIERSE NAIWNE

Początkowo nic nie wskazywało, że będzie miał cokolwiek wspólnego z pisanie. W szkole uczył się raczej słabo, a z polskiego miał już w ogóle spore problemy, co potwierdzają zgodnie jego szkolni koledzy. Nie znaczy to jednak, żeby nie wykazywał ciągłot artystycznych. „Nikt nie podejrzewał, że w nim kryje się taki talent; był dla nas przede wszystkim dobrym rysownikiem” – wspominał Jerzy Madziar, a jeden z nauczycieli, Edmund Semil, mawiał podobno: „W tym chłopcu coś drzemie, ma śmiałą linię i subtelne poczucie koloru, ale kpi sobie z perspektywy”. Wykazywał tu rzeczywiście spory talent. Oglądając jego rysunki, trudno uniknąć skojarzeń z grafiką Brunona Schulza, choć bez jego erotyzmu, za to z bardziej katastroficznym posmakiem. Mają też w sobie coś z ducha rewolucyjnych grafik z okresu rewolucji 1905 r.



i może nie jest to przypadek, bo ojciec poety – skądinąd świetny krytyk literacki – Stanisław Baczyński był ideowo związany z PPS.

Zdaje się, że miało to także wpływ na wybory życiowe samego Krzysztofa Kamila, który już jako nastolatek pod względem ideowym zmierzał zdecydowanie w lewo. „We wspomnieniach z lat szkolnych coraz to pojawiają się wzmianki o lewicowych czy wręcz prokomunistycznych sympatiach Baczyńskiego” – zauważał Wiesław Budzyński, autor jego biografii „Miłość i śmierć Krzysztofa Kamila”, i przytaczał słowa jego koleżanki Zuzanny Chuweń: „Z jego ust po raz pierwszy dowiedziałam się, co to komunizm, o jego ideach – był ich absolutnym zwolennikiem”. Nic więc dziwnego, że jeszcze w szkole związał się z organizacją Spartakus, w której akcjach czynnie uczestniczył.

Nie była to organizacja komunistyczna – bliżej jej było do humanitarnego socjalizmu w duchu właśnie PPS – niemniej jednak jej członkowie, w tym Baczyński, szybko się radykalizowali pod wpływem wydarzeń rozgrywających się na ulicach polskich miast. Połowa lat 30. to okres ulicznych ekscesów dokonywanych przez skrajnych nacjonalistów z ONR ABC, a przede wszystkim ONR Falanga – ciężkie pobicie ludności żydowskiej, a czasem także strzelanie do robotniczych manifestacji, podkładanie bomb pod instytucje kojarzące się z lewicowym światopoglądem. A Baczyński, choć był katolikiem, był również osobą pochodzenia żydowskiego.

Wszystko to odbijało się w jego pierwszych próbkach poetyckich. Tak naprawdę nie wiemy, od kiedy je podejmował, bo do lat okupacyjnych zasadniczo krył się z pisaniem. Wiemy jednak, że nie były to początki obiecujące. Jak oceniał Jerzy Świąch, wiersze te pełne były: „Naiwnych obserwacji społeczno-obyczajowych, a nawet politycznych, co miało niewątpliwie związek ze Spartakusem”. I dalej badacz rozwijał wątek: „Oczytany chłopiec z dobrej rodziny, który wcześniej odczuł pociąg do wierszowania w stylu, jaki mu pod-

ówczas najbardziej odpowiadał, a więc nastrojowo dekadentem, rejestrował monotony upływ dni, nieodmienne »szarych«, »mglistych«, »mdłych«, »zgniłych«, przepojonych nudą i wstrętem do mieszczańskiego życia”.

Wszystko to miało się zmienić wraz z nadejściem wojny. Choć wcale nie od razu. „Zajęcie uboczne, dotąd wstydlwie ukrywane, przemieni się z czasem w porywającą, nie znającą ram i ograniczeń pasję tworzenia” – dodawał Świąch.

W ciągu zaledwie dwóch okupacyjnych lat przeszedł szokującą badaczy ewolucję, od chłopaka piszącego zgrabne, ale dość konwencjonalne wierszyki, do poziomu poety, któremu wrócono rolę „następcy Słowackiego”.
– Byłem nim oczarowany, jako zjawiskiem
– przyznawał Miłosz

PORAŻENIE OKUPACYJNE

Bardzo niewiele wiemy, co Baczyński robił przez pierwsze okupacyjne miesiące. Podobno chciał studiować na Akademii Sztuk Pięknych, co jednak było już niemożliwe. Wiadomo, że chcąc jakoś wiązać koniec z końcem, imał się przypadkowych zajęć – pracował u szklarza, u węglarza, bodaj najdłużej zajmował się malowaniem szyldów. Tak naprawdę chyba jednak nie poświęcał temu zbyt wiele czasu, był bowiem coraz bardziej schorowany. Astma niebezpiecznie się pogłębiała i Baczyński po prostu tracił siły. Sporo światła na jego życie w tym okresie rzuca Miłosz, który wspominał: „Kiedy go poznałem i odwiedzałem w domu, u jego matki, był zawsze chory na astmę, dnie spędzał

w łóżku i pisał. Późniejsza jego metamorfoza w żołnierza jest tym bardziej zadziwiająca, jako triumf woli”.

Pisał i pisał coraz lepiej. Nigdy nie przykładał się do nauki, ale posiadał bardzo ostrą inteligencję, która pozwalała mu wchłaniać wiedzę na własną rękę i zaskakująco głęboko. Jeszcze przed wojną doskonale orientował się w aktualnej literaturze. Z Polaków cenił szczególnie Witolda Gombrowicza, wolał jednak literaturę francuską, którą znał na wyrywki, a nazwiska Rimbauda i Baudelaire’a były dla niego drogowskazem praktycznie od dziecka. Dlatego właśnie potrafił być jednocześnie twórcą i surowym krytykiem stworzonego dzieła. I dlatego też tak ociągał się z publikowaniem swoich wierszy. Gdzieś w pierwszych miesiącach 1940 r. uznał najwyraźniej, że już czas.

Czy miał rację? Krytycy dość zgodnie uznają, że wiersze z tego okresu dojrzały co prawda pod względem formy, jeśli jednak chodzi o treść i ładunek intelektualny, wciąż pozostawały sporo do życzenia. „Dopiero trzecia okupacyjna jesień, w momencie kiedy nastąpił wzrost terroru hitlerowskiego wobec ludności cywilnej, przyniosła zauważalny zwrot w poezji Baczyńskiego. Był to wręcz przełom” – pisał Jerzy Świąch, a Kazimierz Wyka określił ten moment jako „porażenie okupacyjne”. Nieco naiwne komentarze do rzeczywistości, nadmierna emocjonalność i przesadna ornamentyka jego wierszy niemal z dnia na dzień ustąpiły miejsca mistycznemu uniesieniom. Świąch zauważył, że „nie ma w tym czasie dosłownie ani jednego wiersza, który by nie angażował w jakimś sensie sfery wyobrażeń i symboli religijnych”.

Nagle nawrócenie chłopaka, który religię traktował dotąd dość swobodnie? Niekoniecznie. Baczyński nie popadał w dewocję, raczej uciekał od świata. Tak jak gnostyk, który uznał, że świat jest miejscem przeklętym i szuka czegoś ponad nim, tak Baczyński, widząc przerażające zbrodnie okupacji, musiał sobie wmówić, że istnieją inne światy, w których podobne rzeczy nie mogłyby się wydarzyć. Mocno naciągał

w tym naukę Kościoła, ale nie bardziej niż Mickiewicz czy szczególnie mu bliscy Słowacki i Norwid – o czym rzadko się pamięta, też niegdyś przez Kościół krytykowany. Tak jak oni usiłował wpisać naturalną harmonię panteizmu w krajobraz chrześcijańskiej mistyki. I w dużym stopniu mu się to udało. To właśnie wtedy i w tym duchu powstały jego największe dzieła.

KIEDY NOC OPADA

Im dalej zapuszczał się w swoich wierszach w odległe światy swojej wyobraźni, tym twardziej stapał po ziemi. Zdaje się, że jedno miało być ucieczką od drugiego. „Pacyfista z przekonań stał się militarystą z wyboru” – pisał jeden z jego biografów. Słaby, chorowity – zupełnie nie nadawał się na żołnierza i wszyscy mu to powtarzali. Wspólna znajoma, Jadwiga Klarner, wspominała spotkanie z Janem

Rodowiczem „Anodą”: „Znasz Baczyńskiego, powiedz mu, żeby pisał wiersze, a nie bawił się w wojnę. Wojna nie jest dla takich jak on”. Mówił to po wspólnych ćwiczeniach wojskowych nad Bugiem, podczas których Baczyński istotnie nie wypadł najlepiej. Nie on jeden tak uważał. Jego dowódca uznał go za człowieka o „małej przydatności w warunkach polowych” i zalecał przeniesienie na „nieoficjalne stanowisko szefa prasowego kompanii”.

Ale Baczyński się uparł. Uznał po prostu, że tak należy. Właśnie w 1942 r. wstąpił do harcerek Grup Szturmowych, podjął naukę w Harcerskiej Szkole Podchorążych Rezerwy „Agricola”, której zajęcia odbywały się – nawiasem mówiąc – w jego mieszkaniu przy ul. Hołówni 3, tam też AK zainstalowała skrytkę z bronią. A w willi przy ul. Obserwatorów na Wierzbnie uczył się strzelać. Wziął nawet udział w sporej akcji, podczas której

wysadzono pociąg niemiecki na odcinku Tłuszcz–Urle, co sparaliżowało ruch na ponad dobę. „Nie był stworzony na żołnierza, wiele jednak czynił, by stanąć na wysokości zadania” – zauważał Świąch. I to prawda. Kiedy więc 1 lipca 1944 r. pchor. Andrzej Romocki „Morro” zalecał przeniesienie go do biura prasowego, Baczyński uznał to za degradację i z „Zośki” przeszedł do „Parasola”.

Miesiąc później już nie żył. 4 sierpnia kula niemieckiego snajpera trafiła go w pałacu Blanka, w którym znalazł się właściwie przypadkiem. Ale nie był sam. Zginął Gajcy, zginął Stroński, Krahelska. „Należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wroga z brylantów” – jak nieco patetycznie ujął to Stanisław Pigoń. Baczyński był na to przygotowany. „Nikt z nas nie jest bez winy” – pisał w „Modlitwie II”. „Kiedy noc opada, / wasze twarze i moja ociekają krwią”.

• MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO POLECA •

Album „Astronomia poety. Baczyński”

Wybór poezji, kompozycje i koncepcja muzyczna projektu są wspólnym dziełem Meli Koteluk oraz Bartka Wąsika, pianisty z kwartetu Kwadrofonik, który jest również autorem aranżacji. Album miał premierę 24 lipca 2020 r. Wydawnictwo prezentuje też wiersze i grafiki autorstwa Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w nowoczesnej oprawie graficznej.

Do tej pory MPW wydało tak znakomite albumy jak „Fogg – pieśniarz Warszawy” w wykonaniu zespołu Młynarski–Masecki Jazz Camerata Varsoviensis, „Historie” Andrzeja Smolika, Natalii Grosiak i Miuosha czy „Placówka '44” w wykonaniu zespołu VooVoo i ich gości.

Album fotograficzny Eugeniusz Lokajski „Brok”

Eugeniusz Lokajski „Brok” należy do najwybitniejszych fotoreporterów Powstania Warszawskiego. Ikoniczne kadry jego autorstwa zapadają w pamięć dzięki niezwyklej sile wyrazu i sprawiają, że możemy poczuć, co przeżywali uczestnicy oraz świadkowie wydarzeń z 1944 r. Na setną rocznicę urodzin podporucznika „Broka” Muzeum przygotowało album Eugeniusz Lokajski „Brok” 1908–1944. Fotoreporter. Niniejsza edycja, ukazująca się kilkanaście lat później, jest nowym wydaniem tej publikacji. Album prezentuje 300 niekadrowanych fotografii z Powstania Warszawskiego – zdjęcia zostały poddane nowoczesnej digitalizacji i retuszowi, zyskując niespotykaną wcześniej wyrazistość. Teksty uwzględniają współczesny stan badań historycznych i varsavianistycznych, efekt pracy zespołu pracowników muzeum; zdjęciom towarzyszą cytaty i wspomnienia uczestników powstania, dodano też przydatny słowniczek wybranych obiektów. Subtelna szatę graficzną publikacji zaprojektowała Kasia Kubicka – graficzka specjalizująca się w albumach fotograficznych, autorka projektów dla takich instytucji jak paryskie Centre Pompidou, Fundacja Archeologia Fotografii czy Fundacja Sztuk Wizualnych. Nie sposób ocenić znaczenia zdjęć podporucznika „Broka” – jego fotografie wpłynęły na zmianę postrzegania powstania, zamiast krwi i gruzów najważniejsi stali się ludzie: powstańcy warszawscy i ludność cywilna, warszawiacy. Dzięki nim na trwające 63 dni powstanie, czyli jedną z najbardziej zażartych bitew miejskich w historii, patrzymy przez pryzmat codzienności, losów poszczególnych osób, oddziało.

Wydawca: Muzeum Powstania Warszawskiego.

Mecenasem albumu jest Fundacja PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza.





SP


 S. P.
EWA MATUSZEWSKA
MEWA

 historyk, pilot szybowcowy C., studentka medycyny, żołnierz
Armii Krajowej w konspiracji i walce, poległa w Powstaniu
Warszawskim dnia 26 września 1944 r., w bakteriologicznej służbie
sanitarnych jako komendantka patroli sanitarnych kompanii C.
Molotowa, przeżywszy lat 25.

 PARASOL
AK

 EWA MATUSZEWSKA
„mewa”

Mewa

Matka Ewy w liście z 1945 r. pisała: „W czasie powstania – a raczej już pod koniec – mnie narwaliły nerwy i serce, a ona była ciągle silna, świeża i niezłomna”. Niezwykły portret Ewy Matuszewskiej „Mewy” nakreślił Melchior Wańkowicz: „Ewunia – brązowe loczki, szafirowe oczy, uroczy uśmiech, pogrążona nie tylko w pracy medycznej, ale i w konspiracji. Ewunia wkładała broń w ręce zamachowcom w ostatnich chwilach przed akcją, wykradała z pociągów dzieci zrabowane w pacyfikacji zamojskiej, wywożone do Niemiec”. Z rannymi powstańcami została do końca



KATARZYNA UTRACKA

W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego znajduje się album fotograficzny, który przekazały w 2005 r. siostry niepokalanki z Szymanowa. Tego typu pamiątek w zbiorach MPW jest dużo więcej. Ta jednak ma w sobie coś wyjątkowego. Uwagę przykuwają pieczętowane zdjęć i wycinki z prasy, podpisy oraz rysunki zdobiące karty albumu. To niezwykła pamiątka, podobnie jak jej główna bohaterka – Ewa Matuszewska „Mewa”, łączniczka i sanitariuszka AK, żołnierz Batalionu „Parasol”, uczestniczka Powstania Warszawskiego. Kobieta odważna i pełna pasji, której życie brutalnie przerwała tragiczna śmierć we wrześniu 1944 r.

Portret tej niezwyklej dziewczyny nakreślił w swojej znakomitej powieści „Ziele na kraterze” Melchior Wańkowicz. „Ewunia – brązowe loczki, szafirowe oczy, uroczy uśmiech, pogrążona nie tylko w pracy medycznej, ale i w konspiracji. Ewunia wkładała broń w ręce zamachowcom w ostatnich chwilach przed akcją, wykradała z pociągów dzieci zrabowane w pacyfikacji zamojskiej, wywożone do Niemiec. Znając angielski, przychodziła do Anglików w Domeczku śpiewać ich piosenki i gawędzić”.

Bohaterka albumu Ewa Matuszewska urodziła się 7 września 1919 r. w Warszawie w znanej i zasłużonej rodzinie. Zarówno jej ojciec, jak i pradziadek (powstaniec styczniowy) posiadali najwyższe polskie odznaczenie wojenne – Order Virtuti Militari. Ojciec płk Ignacy Matuszewski – dyplomata, publicysta, polityk, były minister skarbu, oficer wywiadu wojskowego – we wrześniu 1939 r. organizował ewakuację 75 ton złota Banku Polskiego do Francji, co osobiście przeprowadził wraz z mjr. Henrykiem Floyar-Rajchmanem. Matka, Stanisława z Kuszelewskich, była żołnierzem Polskiej Organi-



cji Wojskowej, działaczką harcerską, osobą zaangażowaną w życie społeczne. Przede wszystkim jednak była wybitną tłumaczką literatury anglojęzycznej i pisarką. To jej zawdzięczamy najważniejsze przekłady powieści Jacka Londona.

Kiedy Ewa miała kilka lat, małżeństwo jej rodziców się rozpadło. Byli małżonkowie utrzymali jednak z sobą dobre relacje. Ewa została z matką, która w 1928 r. wyszła ponownie za mąż. Jej nowym wybrankiem został gen. Ludomil Rayski, ówczesny szef Departamentu Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych. Generał pokochał Ewę jak własną córkę. Szybko złapali z sobą dobry kontakt. Ojczym zaszczerpił w Ewie miłość do latania do tego stopnia, że ukończyła nawet kurs szybowcowy, otrzymując dyplom pilotki kategorii „C”. W nagrodę podarował jej szybowiec o nazwie „Mewa” (kilka lat później stanie się on jej pseudonimem konspiracyjnym i powstańczym). Sport był jej wielką pasją. Ewa uprawiała również turystykę górską, świetnie jeździła na nartach, grała w koszykówkę, pływała.

Angażowała się także w pracę harcerską. Podczas nauki w Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Warszawie była zastępową w 3. Warszawskiej Żeńskiej Drużynie Harcerskiej. Po rozpoczęciu w 1938 r. studiów medycznych na Uniwersytecie Warszawskim zaangażowała się w działalność społeczną. Wspólnie z koleżankami prowadziła świetlicę dla ubogich dzieci na Ochocie.

MIĘDZY MĄDROŚCIĄ A SZCZENIĘCĄ RADÓŚCIĄ

Wybuch wojny zmienił wszystko w życiu niespełna 20-letniej Ewy, która została sama z matką. Ojczym, po zdymisjonowaniu w marcu 1939 r. ze stanowiska dowódcy lotnictwa, w połowie września 1939 r. został bowiem oddelegowany do nadzoru transportu polskiego złota ewakuowanego na Zachód przez płk. Matuszewskiego. W ten sposób zarówno ojciec, jak i ojczym opuścili Polskę. Ewa już nigdy ich nie spotkała. Wraz z matką postanowiła pozostać w kraju. Podczas oblężenia Warszawy obydwie kobiety zgłosiły się do pracy w Szpitalu Dzieciątka Jezus na warszawskiej Ochocie. Ewa była pielęgniarką, a matka wykonywała prace pomocnicze.

Na początku okupacji nie miały z czego żyć. Ich dom na mokotowskim Wierzbnie podczas wrześniowych bombardowań uległ uszkodzeniu. Nie mając środków na jego wyremontowanie, kobiety postanowiły przekazać go siostrze niepokalankom, które przywróciły willę do stanu używalności i zorganizowały w niej sierociniec. One same zamieszkały u przyjaciółki, a następnie wynajęły mieszkanie w Śródmieściu przy ul. Polnej z przepięknym widokiem na Pole Mokotowskie.

Ewa zatrudniła się jako pomoc fizyczna w cukierni. Kiedy ich sytuacja nieco się poprawiła, wróciła do nauki. Ukończyła z wyróżnieniem kurs w warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa,



Ostatnie
zdjęcie Ewy



i Jej powstańcza
mogila



następnie kontynuowała tajne studia medyczne. W liście pisanym po wojnie do byłego męża matka Ewy tak opisała córkę z tego okresu: „Uczyła się, śpiewała, flirtowała, pracowała. Była najśladszym, najśliczniejszym towarzyszem życia. Połączenie powagi i mądrości ze szczenięcą radością i wdziękiem było jedyne na świecie”.

Ewa angażowała się również w działalność społeczną i konspiracyjną. Uczestniczyła m.in. w akcji ratowania dzieci z Zamojszczyzny, wspólnie z matką prowadziły sierociniec. Wkrótce też została żołnierzem Armii Krajowej w ramach elitarnego Kedywu Komendy Głównej AK. Jako żołnierz oddziału „Agat”/„Pegaz”, późniejszego legendarnego Batalionu „Parasol”, wzięła udział w dwóch akcjach bojowych oddziału. Była odpowiedzialna za dostarczenie broni z magazynu na miejsce akcji. Z czasem ze względu na swoje przygotowanie medyczne (w konspiracji ukończyła specjalny kurs sanitarny z chirurgii) powierzono jej współorganizowanie służby sanitarnej na Mokotowie. Matka Ewy również zaangażowała się w działalność konspiracyjną. Po ukończeniu kursu kwatermistrzowskiego

pod pseudonimem „Elżbieta” została rejonową gospodarczą w Obwodzie AK Mokotów.

SILNA I NIEZŁOMNA

1 sierpnia 1944 r. Ewa poszła do powstania razem z matką. Otrzymała ważne i odpowiedzialne zadanie – kierowanie patrolami sanitarnymi kompanii „O-2” Batalionu „Olza” Pułku „Baszta”. Jej matka w tej samej kompanii była komendantką plutonu gospodarczego i inspektorką kuchni żołnierskich. Punkt sanitarny Ewy mieścił się na pierwszej linii frontu przy ul. Szustra 55 (obecnie Jarosława Dąbrowskiego). Dziewczyna pracowała bez wytchnienia: rozsyłała patrole, rozdzielała pracę, robiła opatrunki, ewakuowała rannych, organizowała żywność, środki czystości, ubrania, pościel. Od dzieciństwa mieszkała na Mokotowie, dlatego też doskonale orientowała się w topografii dzielnicy, co znacznie ułatwiło jej pracę. Matka Ewy w liście z 1945 r. pisała: „W czasie powstania – a raczej już pod koniec – mnie nawaliły nerwy i serce, a ona była ciągle silna, świeża i niezłomna”. I taka pozostała do końca.

Po upadku Przyczółku Czerniakowskiego głównym celem nieprzyjaciela stał się Mokotów. 26 września rozpoczęła się dramatyczna ewakuacja kanałami obrońców Mokotowa do Śródmieścia. Po całodziennych krwawych walkach Niemcy zepchnęli oddziały powstańcze na niewielki obszar, ograniczony ulicami: Różaną, Kazimierzowską, Ursynowską i Puławską. Kiedy oddział Ewy rozpoczął ewakuację, odmówiła opuszczenia rannych. Godzinę później została rozstrzelana przez Niemców przy al. Niepodległości 117/119. Trzy tygodnie wcześniej obchodziła swoje 25. urodziny.

Nieprzyjacieli nie oszczędził również podopiecznych Ewy. Śmierć ponieśli kpr. Witold Wetta-Gorzkowski „Dzik”, kpr. Ryszard Stankiewicz „Puchacz” i st. strz. Kazimierz Barend „Barecki”.

NAJBARDZIEJ BOHATERSKA W KOMPANII

W Archiwum Historii Mówionej MPW znajduje się kilka wywiadów z byłymi żołnierzami Pułku „Baszta”, którzy wspominają odważną sanitariuszkę „Mewę”. Jeden z nich, Stanisław Kowalik „Kuba”, stwierdził, że Ewa była najbardziej bohaterską sanitariuszką w ich kompanii.

Por. Kazimierz Grzybowski „Misiowicz”, dowódca kompanii, w której służyła Ewa, po latach wspominał: „Na koniec chciałbym jeszcze powiedzieć parę słów o kobiecie, bohaterce Powstania, bohaterce mojej kompanii. To była Ewa Matuszewska. Ona za czasów konspiracji należała do Szarych Szeregów. Była studentką medycyny doktora Zatorskiego, już starszego roku. Zgubiła się w jakiś sposób, czy nie dostała wezwania w odpowiednim czasie i dołączyła do mojego punktu sanitarnego. Była naprawdę nadzwyczajną kobietą, dziewczyną. Miała już dwadzieścia cztery lata, nie była taka młoda. Była już doświadczona, w 1939 r. też brała udział w punktach sanitarnych w czasie oblężenia Warszawy. Miała taki u chłopców autorytet, że nikt nie śmiał do niej, wiecej, jak to, nie wszyscy byli inteligentami. Bardzo dużo było chłopców z zupełnie prostych rodzin, więc trudno było od nich wymagać salonowego zachowa-



nia, ale do niej się żaden nie ośmielił. Jak 26 września została ostatecznie zburzona reduta aleja Niepodległości 117/119, w piwnicach zostało jeszcze kilku rannych. Ci, którzy mogli się wycofać, wycofywali się i mówili: »Zostali tylko ciężko ranni«. Dwóch, jeden z nich miał obie nogi urwane. Żołnierze mówili: »Ewa, uciekaj z nami. Punkt już nie jest do obrony, Niemcy już podchodzą tuż, tuż. Zaraz wkroczą do tej piwnicy«. Ona powiedziała: »Nie, ja zostaję«. Została i oczywiście została zastrzelona. [...] Więc to jest taka cicha bohaterka, i zarówno moi koledzy z kompanii, jak i z Szarych Szeregów uczcili ją».

Poruszające świadectwo z ostatnich chwil istnienia punktu sanitarnego przy al. Niepodległości złożyła w 2013 r. Janina Chodorska-Łukawska, w powstaniu sanitariuszka „Nusia”. W wywiadzie udzielonym dla MPW wspominała: „W domu naszym 117, który był częściowo zniszczony, ale tylko częściowo, »Mewa«, która była komendantką naszego punktu sanitarnego, tam poszła, że tam są ranni, a mi dali kawę w termosie, żebym im zaniósła. Zaniósłam. [...] przechodziło się przez aleję Niepodległości, pod barykadą, [...] straszny był ostrzał. Zaniósłam i tam było kilku rannych. [...] Niemcy strzelali, opatrywałam któremuś kolano, wyciągałam kulki, coś straszego. Była »Mewa«, sanitariuszka i jeszcze jedna z naszych koleżanek ze mną poszła. [...] Nagle »Mewa« mówi: »Nie ma co. Zostanę, a wy przez okienko wychodźcie i biegnijcie pod 131, bo tam też są ranni«. Ja i Hanka – »Kropka« miała pseudonim

– wyszliśmy przez okienko i rowem łącznikowym, to był kawalek, pobiegliśmy. [...] Dotychczas mam wyrzuty sumienia, że ucieklam z 117, dlatego że jak myśmy z »Kropką« wybiegli, to za chwilę weszli Niemcy i wszystkich zastrzelili, z »Mewą« sanitariuszką włącznie. To jest dla mnie wspomnienie straszne. [...] mam dotychczas wyrzuty sumienia, że powinnam też tam zostać, że jak mogłam w ogóle uciec, że jak mogłam się wynieść stamtąd».

TY MNIE ZANADTO KOCHASZ, NIE WOLNO TAK KOCHAĆ

Kiedy w marcu 1945 r. odnaleziono ciało Ewy, w zaciśniętej dłoni wciąż trzymała bandaż. Pochowano ją w zbiorowej mogile powstańczej w parku Dreszera. Rok później ekshumowano szczątki i przeniesiono na Cmentarz Wojskowy na Powązkach, do kwatery Batalionu „Parasol” (kw. A24-9-1). Ojciec Ewy bardzo przeżył stratę córki. Dodatkowym ciosem była śmierć rodzzonego brata. Płk Ignacy Matuszewski zmarł nagle na zawał serca pod Nowym Jorkiem 3 sierpnia 1946 r. W 2016 r. jego prochy sprowadzono do kraju. Spoczęły zaledwie 300 m od grobu ukochanej córki.

Matka Ewy przeżyła powstanie, ale wciąż powracały do niej traumatyczne przeżycia z wojny. Najtrudniejszym doświadczeniem była śmierć ukochanej córki, o której dowiedziała się kilka miesięcy później, kiedy była już poza Warszawą. Nic nie było w stanie ukoić bólu matki po stracie jedyne dziecko. W liście skierowanym do Ignacego Ma-

tuszeńskiego pisała: „Jak zrobić, żeby nie zwariować? Nie wiedziałam, że brak snu jest straszny. Jeśli się wycalało każdy kawalek skórki, każdy włosczek, każdy paluszek nóżki, a potem obcy zgarnęli z bruku, to co zostawiły kruki i szczury. Przecież nie wiem, czy się bała, nie wiem, czy nóżki nie, wiem tylko, że pomyślała: »Mama zwariuje«. A ja byłam o sto kroków. Chciałam iść z nią na tę aleję i nie poszłam. Powiedziała mi kiedyś: »Ty mnie zanadto kochasz, nie wolno tak kochać«. Co mnie obchodzi zemsta czy zwycięstwo. Ja chcę się tylko jak najprędzej dowiedzieć, jak to było, chcę jej zapytać, czy nie bolało. Nic na świecie poza tym mnie nie obchodzi».

Swoje doświadczenia wyniesione z konspiracji i powstania opisała w poruszającym zbeletryzowanym zbiorze opowiadań „Kobiety”, który ukazał się w 1946 r. w Rzymie. Stanisława Kuszelewska-Rayska zmarła w 1966 r. na emigracji w Londynie. Jej drugi mąż zmarł w 1977 r. również w Londynie.

W powstaniu, oprócz Ewy i jej matki, walczył brat ojca – Tadeusz Matuszewski „Wąż”, znany mikrobiolog, wykładowca Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Po kapitulacji Mokotowa trafił do obozu koncentracyjnego, gdzie zmarł w lutym 1945 r. Swoją epizod powstańczy miał również ojczym Ewy – gen. Ludomił Rayski. Jako oficer Polskich Sił Powietrznych odbył kilka lotów nad okupowaną Polskę, w tym dwa nad powstańczą Warszawę, gdzie przebywały dwie najbliższe mu osoby – żona Stanisława i przybrana córka Ewa.

* * *

Za udział w walkach powstańczych Ewa Matuszewska została odznaczona Krzyżem Walecznych oraz pośmiertnie Orderem Wojennym Virtuti Militari – był to już trzeci order Virtuti w jej rodzinie. Otrzymała również pośmiertny awans na podporucznika. Bohaterską sanitariuszkę upamiętniają dwie tablice na warszawskim Mokotowie. Jedna z nich znajduje się na domu rodzinnym przy ul. Idzikowskiego 25, druga – na skwerze Stanisława Broniewskiego „Orszy”. ▀

*Autorka jest zastępcą kierownika
Działu Historycznego Muzeum
Powstania Warszawskiego*



Z jazzbandu na barykadę

Lokal był duży, dobry i drogi. Jaki zresztą miał być, skoro mieścił się na rogu Nowego Światu i Alej Jerozolimskich, czyli dokładnie w centrum Warszawy. Na dole była restauracja, a w 1926 r. dobudowano werandę i to właśnie ona podobno była prawdziwym arcydziełem. Składała się z dwóch kondygnacji – „ponad przeszkloną zimową, wzniesiono otwartą letnią” – jak pisał Jerzy S. Majewski. Dodawał, że wypełniały ją witrażowe lampy, dziwacznie powycinane lustra i delikatnie złożone sztukaterie, ale klienci tak naprawdę niewiele uwagi zwracali na architektoniczne smaczki. Do czwartej nad ranem panował tu gwar, rozlewano rzeki alkoholu, a ze sceny płynęły dźwięki dekadence jak na owe czasy jazzu. Gdyby ktoś zajrzał do Gastronomii – taką bowiem nazwę nosił ten ekskluzywny lokal – w roku 1935, z pewnością natknąłby się na występ zespołu Wiesława Wilkosza.

Ten wszechstronnie wykształcony skrzypek stworzył doskonały skład. Grali dużo standardów, bo ludzie chcieli tańczyć, ale prezentowano też wiele autorskich kompozycji, a ich wykonanie było tak dobre, że występy z Gastronomii często transmitowano w Polskim Radiu. Wzajemne relacje Wilkosza z tą instytucją sięgały zresztą głębiej i dotyczyły też poważniejszych spraw niż nocne libacje przy jazzie. To właśnie jego zespół tworzył muzyczne ilustracje do przemówień prezydenta Stefana Starzyńskiego we wrześniu 1939 r. W każdym razie ktoś, kto regularnie wpadał do Gastronomii, z pewnością trafił na jeden z dość licznych występów zespołu Wilkosza z pewnym postawnym, ciemnoskórym perkusistą. „Nigeryjczykiem zasuwanym warszawską gwarą” – jak ujęła to Aleksandra Zbroja.

Był to August Agbola O’Brown. Obywatel Nigerii, a więc Imperium Brytyjskiego. Lat 40 (ur. 1895). Żonaty (Zofia Pychówna), dwójka dzieci (Ryszard, Aleksander). Pochodzenie książęce (jak twierdził). Biegła znajomość pięciu języków (polski w stopniu doskonałym). Wzrost: wysoki. Sylwetka: szczupła. Wygląd: przystojny, elegancki. Zamieszkały: m.in. ul. Wspólna. Pobyt w Polsce: od 1922 r. Opinie: wykształcony, kulturalny, znakomity muzyk. Praca: gra w lokalach: Caveau Cau-



WOJCIECH LADA

*Polska miała szczęście
do ciemnoskórych żołnierzy.
Choć nie było ich wielu.
Afrykańscy walczyli
w Powstaniu
Wielkopolskim, wojnie
polsko-bolszewickiej.
Polski zryw 1944 r. wsparł
Nigeryjczyk
August Agbola O’Brown*

cassien (w podziemiach Filharmonii), Kakadu (pl. Dąbrowskiego 8), cukiernia Lardellego (ul. Polna 30), Gastronomia (róg Nowy Świat/Al. Jerozolimskie).

PAN OPALONY

Do Polski przyjechał na początku lat 20., ale nie bezpośrednio z Nigerii, lecz z Anglii, a następnie z Wolnego Miasta Gdańska. Musiał mieć dość burzliwą młodość i wyraźną skłonność do przygód, skoro przez kilka lat był marynarzem brytyjskiej floty handlowej, do Polski zaś trafił jako muzyk grający w rewii (możliwe też, że i tańczący w niej).

Kiedy nauczył się grać? Gdzie zetknął się z jazzem? Jeśli pochodził z południa Nigerii, mógł rozpocząć swoją jazzową karierę już tam – ten rejon europeizował się znacznie szybciej niż północ i z pewnością nowe trendy muzyczne pojawiały się w tamtejszych lokalach, w których bywali zamożni Brytyjczycy. Ale to tylko domysły. Z twardych faktów mamy jedynie to, że do Polski dotarł jako profesjonalny muzyk, który z powodzeniem włączył się w rytm nocnego życia stolicy. Musiał zresztą nieźle sobie radzić, o czym świadczy jego elegancki sposób bycia, ale także to, że zamieszkał w dość drogim centrum miasta.

„Przed samą wojną spotykałem go dosyć często, ot tak na ulicy, gdzieś na Marszałkowskiej, bliżej Ogrodu Saskiego. Zapamiętałem go jako faceta dość przystojnego, postawnego i niezwykle eleganckiego. Chodził w jasnych garniturach i kolorowym krawacie, no i oczywiście nosił stosowne kapelusze, jakieś borsalino. Bez wątpienia był człowiekiem inteligentnym i bystrym” – wspominał po latach na łamach „Jazz Magazine” fotograf Andrzej Zborski.

Ale jeśli w kosmopolitycznej Warszawie dwudziestolecia ciemnoskóry jazzman mógł się czuć całkiem swobodnie, to z chwilą wybuchu wojny musiały się pojawić problemy. Grać nie mógł już na pewno, a przynajmniej oficjalnie – żaden koncesjonowany przez okupanta lokal nie zatrudniłby muzyka tak bardzo odległego od aryjskiego kanonu urody. Były, rzecz jasna, lokale nielegalne – w ogóle w okupowanej Warszawie życie muzyczne kwitło – tam jednak nie zarobiłby pieniędzy. A trzeba pamiętać, że miał na utrzymaniu dwóch młodych chłopców, z pewnością też rzucających się w oczy z powodu ciemniejszej karnacji. Choć tu akurat pewności nie mamy. Autorka poświęconego mu audiobooka Aleksandra Zbroja cytuje ogłoszenie opublikowane w „Tajnym Detektywie”, gdzie porzucona przez O’Browna małżonka prosi czytelników o podanie adresu męża: „Tancerza, murzyna, który od kilku miesięcy pozostawił mnie zupełnie bez środków do życia wraz dwójgą dzieci”. Z drugiej jednak strony nieco później O’Brown odpowiedział na łamach, informując o swoim miejscu pracy i zadeklarował opiekę nad dziećmi... Ten wątek pozostaje więc na razie bez odpowiedzi.

Prawda jest taka, że w ogóle niewiele wiemy o tym, co Agbola robił w czasie okupacji. Istnieją wersje mówiące, że włączył się w działalność konspiracyjną, że roznosił bibułę i broń, ale to chyba tylko romantyczna legenda – gdyby nawet chciał, po prostu za bardzo rzucał się w oczy. Zdaniem Krzysztofa Karpińskiego: „Uczestniczył w obronie Warszawy we wrześniu 1939. W 1941 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. Był kolporterem prasy podziemnej i ulotek, pomagał ukrywającym się, głównie uciekinierom z getta. Utrzymywał się z nauki



języków obcych i handlu”. Możliwe. Bardziej prawdopodobna jest wersja Zborzkiego – choć dobrze pamiętać, że późniejszy mistrz obiektywu miał wówczas jakieś dziesięć lat. Według niego Agbola po prostu handlował. Co zresztą potwierdzają wywiady robione przez historyków wśród dawnych sąsiadów perkusisty.

„Było to w roku 1942 lub 1943, zdarzyło mi się wejść do sklepu elektrotechnicznego na rogu Marszałkowskiej i dawnej Piusa. Zacząłem wybierać z pudła jakieś potrzebne mi śrubki, kiedy wszedł do sklepu Mr Brown z gustowną walizką i spytał sprzedawcę, czy jest potrzebny. – Oczywiście panie opalony – odparł kupiec – daj pan. Murzyn otworzył walizkę, sprzedawca w niej pogrzebał, wyciągnął, co mu było potrzebne. A teraz chodź pan, panie opalony, do kantorki – padła propozycja sprzedawcy” – opowiadał, dodając, że z kantorki dobiegł go wkrótce szelest przeliczanej gotówki i odgłos nalewanej wódki. Czy w walizeczce był tylko sprzęt elektroniczny? A może właśnie jego czarna karnacja była najlepszym kamuflażem dla kolportażu niepodległościowej kontrabandy? Dziś nie da się już tego ustalić. Emocje patriotyczne w stosunku do Polski Agbola miał jednak z pewnością, bo kiedy tylko w 1944 r. wybuchło powstanie, zgłosił się natychmiast na ochotnika.

SZEREGOWIEC „ALI”

W pierwszych dniach sierpnia było z tym trochę zamieszania, bo w okolicach, w których Agbola mieszkał, organizacją walk powstańczych zajął się samozwańczy ppor. Jerzy Lewicki „George”. Jak wspominał ppor. Henryk Wilimczyk „Marywil”: „Z chwilą wybuchu powstania »George«, nie posiadający ani jednego karabinu, ani pistoletu, postanowił zorganizować pluton wojska, wywiesił więc własnoręcznie zrobiony plakat »Pluton George przyjmuje ochotników«. Jego relację uzupełnił kpt. Tadeusz Klimowski „Ostoja”. Według niego „George” twierdził, że posiada baon ponad tysiąc ludzi, że codziennie osobiście melduje się u Tadeusza „Bora” Komorowskiego oraz że posiada niezbędne

uzbrojenie. „Wszystkie te stwierdzenia były nieprawdą. Skupiał tylko zgłaszających się ochotników z oddziałów, do których nie dotarli lub będących poza konspiracją. Poza tym otoczył się kobietami i kradł” – wspominał „Ostoja”.

Czy również Agbolę skusił ręcznie malowany plakat i wstąpił w powstańcze szeregi już w pierwszych dniach? Czy też znalazł się w oddziale po 6 sierpnia, kiedy dowodzenie odcinkiem przejął już najzupełniej legalnie Jan Antoszewicz „Iwo” oraz jego zastępcą „Ostoja”? Nie wiemy.

„Walczył w Batalionie »Iwo« na terenie Śródmieścia Południowego, w rejonie ulic Wspólnej, Wilczej, Marszałkowskiej, Hożej, to jest tam, gdzie mieszkał jeszcze przed wojną i podczas niej” – pisał Zbigniew Osiński, który w 2008 r. „odkrył” postać Agboli

Mamy jedynie pewność, że czarnoskóry żołnierz widziany był w punkcie dowodzenia przy ul. Marszałkowskiej 74 – co potwierdzał Jan Radecki „Czarny”. Wiadomo, że miał pseudonim Ali i należał do oddziału Aleksandra Marciniaka „Łabędzia”. Ale samego jego udziału w bezpośredniej walce nie da się już prawdopodobnie zrekonstruować. Trudno zresztą zrobić to nawet w przypadku samego „Łabędzia” – choć zachowane dokumenty wskazują, że awansował bardzo szybko, aktywność dowodzonego przez niego oddziału musiała być więc przez dowództwo dostrzegana.

„Walczył w Batalionie »Iwo« na terenie Śródmieścia Południowego, w rejonie ulic Wspólnej, Wilczej, Marszałkowskiej, Hożej, to jest tam, gdzie mieszkał jeszcze przed wojną i podczas niej” – pisał Zbigniew Osiński, który w 2008 r. „odkrył” postać Agboli. Historyk skłaniał się raczej

do opinii, że jedyny ciemnoskóry powstańca nie walczył z bronią w ręku. Bardziej prawdopodobne jest to, że dostał przydział do radiostacji i przy swoich talentach językowych mógł się zajmować np. tłumaczeniem przechwytywanych meldunków.

Ale istotnie jest dość zastanawiające, dlaczego postać tak malownicza jak szeregowiec „Ali” nie zapisała się bardziej w relacjach i wspomnieniach powstańców. Da się to jednak dość łatwo wytłumaczyć samym charakterem baonów „Iwo” i „Ostoja”. Przede wszystkim

składały się niekoniecznie z ludzi znanych wcześniej w konspiracji, głównie z ochotników. Były to również jednostki bardzo duże jak na warunki powstania. Ich monograf Marek Strok wylicza, że przez cały okres walk przewinęło się przez nie ponad tysiąc żołnierzy. Były wreszcie jednostkami odwodowymi. Jak pisał Strok o baonie „Iwo”: „I dlatego nie zasłynął z samodzielnie przeprowadzanych, spektakularnych akcji zaczepnych, choć w wielu uczestniczył jako wsparcie, a powierzone mu placówki i barykady zostały utrzymane do końca powstania”.

W „PIEKIELKU”

Nie wiemy, czy szeregowiec „Ali” utrzymywał owe barykady do końca, ale jakimś sposobem uniknął

niemieckiego obozu, a zaraz po wyjściu Niemców znów był w Warszawie. Początkowo grał w ulokowanych gdzieś w scenarii rodem ze „Złego” Tyrmanda knajpach Piekielko i Huragan, ale jazz w komunistycznej Polsce musiał poczekać jeszcze kilka lat na swoje ponowne odkrycie – nawiasem mówiąc właśnie przez Tyrmanda. O’Brown musiał się więc jakoś odnaleźć w nowej rzeczywistości i udało mu się zatrudnić w Wydziale Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego. Co konkretnie tam robił – nie wiadomo. Najwyraźniej jednak praca urzędnika nie bardzo pasowała temu wciąż energicznemu człowiekowi. Był już dobrze po pięćdziesiątce, kiedy poślubił niejaką Olgę Miechowicz i w 1958 r. wyjechał z nią najpierw do Paryża, by ostatecznie osiaść w Londynie.

Mając 64 lata, został trzeci raz ojcem – urodziła mu się córka Tatiana. Zmarł, gdy miała siedemnaście lat – w 1976 r. ▀



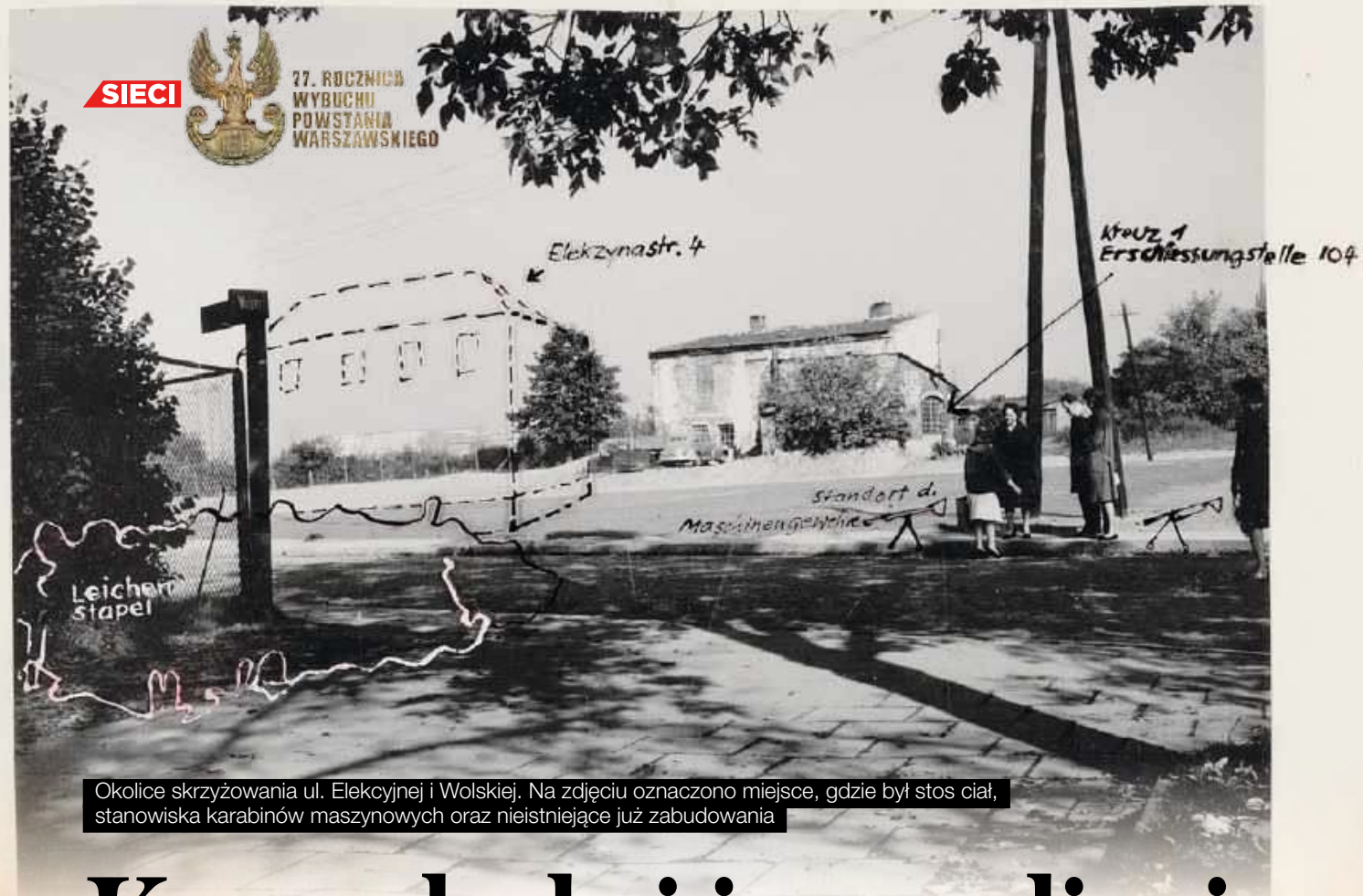
rocznica
Powstania
● Warszawskiego

PGNiG sponsor koncertu

Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki



1 sierpnia, godz. 20:30, Park Wolności,
Muzeum Powstania Warszawskiego



Okolice skrzyżowania ul. Elekcyjnej i Wolskiej. Na zdjęciu oznaczono miejsce, gdzie był stos ciał, stanowiska karabinów maszynowych oraz nieistniejące już zabudowania

Krannhals i jego zdjęcia

Ci, którzy słyszeli nazwisko Hanns von Krannhals, wiedzą zapewne, że to autor publikacji „Der Warschauer Aufstand 1944” z 1962 r. Jej polskie wydanie ukazało się w 2017 r. Książka ta jest dziś uważana za jedną z ważniejszych pozycji w niemieckiej historiografii dotyczących walki o Warszawę latem 1944 r. Mało kto jednak wie, że jej autor w 1962 r. był w Warszawie i wykonał całą serię interesujących zdjęć

Kim był Krannhals? Hans Detlef (czasem też pojawia się forma DetlefHans) Krannhals urodził się 18 września 1911 r. w Rydze w rodzinie Niemców bałtyckich. Po śmierci ojca w 1914 r. przeniósł się do Gdańska, gdzie ukończył gimnazjum i w 1931 r. wstąpił do NSDAP. Początkowo studiował malarstwo na gdańskim uniwersytecie, ale w końcu zwrócił się ku historii, geografii i germanistyce, które poznawał w Królewcu, Kilonii i Fryburgu Bryzgowijskim. W 1937 r. obronił doktorat na temat handlu wiślanego we wczesnej epoce nowożytnej. Bardzo dobrze posługiwał się językiem rosyjskim, angielskim, francuskim i jidysz. Biegłe mówił też po polsku.



RAFAŁ BRODACKI

Jeszcze w 1937 r. Krannhals rozpoczął pracę w Ostland-Institut, gdzie zaangażował się w „badania wschodnie” (niem. Ostforschung). Brał tym samym udział w działaniach deprecjonujących polskość i głoszących rewizjonistyczne hasła nawiązujące m.in. do zarzucenia postanowień wersalskich. Badacze

zwracają także uwagę na przejawiające się w jego publikacjach wątki antypolskie i antysemickie.

Po rozpoczęciu wojny został rzecznikiem prasowym gauleitera Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie Alberta Forstera. Był także publicystą czasopisma „Der Deutsche im Osten” i (od lutego 1941 r.) dyrektorem regionalnym Izby Piśmiennictwa Rzeszy w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie. 13 grudnia 1941 r. został powołany do Wehrmachtu i służył jako oficer polityczny w 142 pułku artylerii przeciwlotniczej. Oddział ten stacjonował przede wszystkim w Skandynawii. Dopiero pod koniec wojny został przerzucony do Niemiec, gdzie

wraz z oddziałem poddał się alianantom zachodnim.

Po zakończeniu wojny Krannhals kilka razy zmienił imię, ostatecznie po-przestając na Hanns, dodał też do nazwiska szlachecki predykat „von”, choć nie miał do tego prawa. Najciekawsze jest jednak to, że rozpoczął pracę w Ostdeutsche Akademie (w 1962 r. przemianowaną na Ost-Akademie) w Lüneburgu, gdzie badał m.in. związki Polski z najnowszą historią Niemiec. Szybko wyrósł na jednego z głównych znawców polskich spraw.



Kościół św. Wawrzyńca przy ul. Wolskiej, widoczna też kopuła cerkwi św. Jana Klimaka

WIZJA LOKALNA

Gdy władze RFN planowały pociągnięcie do odpowiedzialności SS-Gruppenführera Heinricha Friedricha Reinefartha (znanego jako Heinz Reinefarth), jednego z głównych katów Powstania Warszawskiego, Krannhals wyznaczono na biegłego sądowego. Otrzymał on zadanie zebrania i przeanalizowania materiałów w języku polskim, które miały posłużyć do procesu niemieckich zbrodniarzy wojennych. Do swojej pracy zabrał się bardzo pieczołowicie, gromadząc bardzo interesujący materiał ikonograficzny. Realizując zlecenie prokuratury we Flensburgu, 30 września 1962 r. przyjechał do Warszawy. W trakcie trwającego do 6 października pobytu dokonał wizji lokalnej miejsc masowych egzekucji z pierwszych dni sierpnia 1944 r. na Woli (tzw. rzeź Woli). Swoją wędrówkę rozpoczął ulicą Redutową, następnie ulicą Wolską skierował się na wschód.

Bazując na dostępnych mu źródłach, zaczął identyfikować poszczególne miejsca egzekucji z pierwszych dni sierpnia 1944 r. Odwiedził kościół św. Wawrzyńca, gdzie od 5 do 8 sierpnia 1944 r. Niemcy przeprowadzili wiele egzekucji. Zamordowali w samym kościele oraz na terenie przykościelnym



Okolice nieistniejącego obecnie zbiegu ul. Wolskiej i Gizów. Widać kamienicę przy ul. Wolskiej 151 oraz znajdującą się na tej samej posesji fabrykę rowerów Adama Kamińskiego. W głębi można dostrzec kościół św. Stanisława parafii św. Wojciecha

kilkuset Polaków. Byli to mieszkańcy okolicznych zabudowań (w tym ok. 15 piekarzy z ul. Redutowej) oraz ranni leczeni w prowizorycznym punkcie opatrunkowym znajdującym się w podziemiach kościoła.

Dalej Krannhals zaszedł w okolice cmentarza prawosławnego i cerkwi pw. św. Jana Klimaka. Doszedł do miejsca, gdzie odbyły się liczne egzekucje, podczas których zamordowano prze-

szło 1,5 tys. osób. Spalono tam także ciała kolejnych 6 tys. ofiar. Zobaczył też miejsce przy nieistniejącym obecnie skrzyżowaniu ul. Wolskiej i Gizów, gdzie Niemcy zabili nieokreśloną liczbę ludzi, wysadzając dom, w którym się ukrywali. Stojące nieopodal kamienice były niemyimi świadkami niemieckich mordów na ich mieszkańcach, do których dochodziło także na okolicznych skwerach i podwórkach.



Cały czas nie rozstając się z aparatem, dotarł w końcu do kościoła pw. św. Stanisława parafii św. Wojciecha (szerzej znanego także jako kościół św. Wojciecha). To właśnie tu Niemcy zorganizowali punkt zborny, do jakiego trafiali warszawscy cywile przed wyruszeniem w kierunku obozu przejściowego (Dulag 121) w Pruszkowie. Zanim jednak tam się udali, musieli przeżyć wiele szykan i tortur. Byli także ograbiani. Pilnujący okolicy Niemcy wyciągali z tłumu młode kobiety, które następnie gwałcili.

Przeglądając się kolejnej fotografii, można zauważyć, że Krannhals doszedł do zabudowań Fabryki Obić i Papierów Kolorowych Franaszka. Zobaczył miejsce, gdzie Niemcy wyprowadzali ludzi na miejsce kaźni i palili zwłoki. Historyk dokonał też wizji budynku szpitala wolskiego przy ul. Płockiej (ob. Instytut Gruźlicy i Chorób Płuc), a potem poszedł na ul. Chłodną w rejon kościoła pw. św. Karola Boromeusza. Tu zakończył swoją wędrówkę i dokumentowanie miejsc zbrodni.

Krannhals przyjechał do Warszawy 17 lat po wojnie. Choć w ciągu tego czasu zabudowa się zmieniła, wciąż mógł oglądać stojące nagrobki postawione przez bliskich ofiar oraz upamiętnienia w postaci krzyży i tablic w miejscach masowych egzekucji. Choć sporo już było budynków z okresu powojennego, to między nimi wciąż stały jeszcze zabudowania, które w swoich ostatnich chwilach widzieli polscy cywile mordowani przez niemieckich oprawców, a których my już zobaczyć nie możemy. Budynki te zostały bowiem wyburzone wiele lat po wojnie, a w ich miejscach stanęły osiedla mieszkaniowe i biurowce.

Zdjęcia Krannhalsa są ciekawe także z tego powodu, że wykonał on wręcz pedantyczną pracę, by pokazać topografię rozgrywającej się tragedii. Na fotografii naniósł oznaczenia ulic oraz lokalizację ważniejszych budynków. Są też adnotacje pokazujące, gdzie znajdowały się miejsca zbrodni, stanowiska niemieckich karabinów maszynowych czy stosy zwłok zamordowanych Polaków. Narysował to wszystko z ogromną dokładnością, dzięki czemu możemy spojrzeć na powstanie nieco inaczej. Ponadto zgromadzony przez Krannhalsa materiał jest doskonałym źródłem pokazującym warszawską Wolę we wczesnych latach sześćdziesiątych.



27

-FABRYK

Zabudowania Fabryki
Obić i Papierów
Kolorowych Józefa
Franaszka przy
ul. Wolskiej. Na zdjęciu
zaznaczono bramę,
przez którą Niemcy
wyprowadzali swoje
ofiary na śmierć

W spuściźnie, jaka pozostała po Krannhalsie, można znaleźć także inne zdjęcia. Wiele z nich przedstawia SS-Obergruppenführera Heinricha Friedricha Reinefartha oraz innych oficerów. W większości są to pododdziały SS i policji skierowane do tłumienia Powstania Warszawskiego. Można również dojrzeć pojedynczych żołnierzy Luftwaffe i Wehrmachtu. Trafiają się też kopie zdjęć powstańczych.

NAWRÓCONY NAZISTA

Swoją drogą, ciekawe jest to, dlaczego Krannhals z takim zapalem zabrał się do badania spraw polskich. Pewnym wytłumaczeniem może być to, że był historykiem, czyli miał przygotowanie zarówno warsztatowe, jak i merytoryczne. Niemieckich historyków mówiących po polsku i znających geografii i historię kraju nad Wisłą było w RFN niewiele. Badanie zbrodni niemieckich w Polsce wymagało zaś przynajmniej szcztakowej znajomości tych zagadnień. Ponadto Krannhals był tytanem pracy, nie dziwi więc, że zdołał zebrać takie materiały.

Nie tłumaczy to jednak tego, dlaczego był oficer polityczny niemieckiej armii, który otwarcie głosił antypolskie hasła, nagle przedzierzgnął się w badacza poloników. Gdzie leży prawda o jego przemianie? Krannhals był wytworem swoich czasów. Z pewnością zauważył, że w latach 60. ubiegłego wieku nastąpiła przemiana pokoleniowa. Do głosu zaczęli dochodzić młodzi ludzie urodzeni już po wojnie. Pomimo niechęci

władz nie dało się już zatrzymać rozrachunków z przeszłością, choć wciąż najwięksi niemieccy zbrodniarze pozostali właściwie bezkarni. Wszczynane procesy były prowadzone niemrawo i często kończyły się niskimi wyrokami. Niemcy chronili swoich.

Krannhals mógł więc podjąć się tego typu działań z trzech powodów. Prowadzenie ekspertyz na potrzeby procesów mogło stanowić źródło dodatkowego zarobku. Przede wszystkim jednak było doskonałą okazją do przeprowadzenia własnych badań. Nietrudno też zauważyć, że Krannhalsa interesowały szczególnie te zbrodnie, które zostały popełnione przez SS i policję. Nawet nie spojrzał na miejsca, gdzie podczas powstania działał Wehrmacht.

Z książki Krannhalsa, która powstała m.in. na podstawie wniosków wyciągniętych z przedstawionej wyżej wizji lokalnej, można dojść do przekonania, że stara się on uwolnić żołnierzy Wehrmachtu od odpowiedzialności za zbrodnie wojenne popełnione w okresie Powstania Warszawskiego. Stają się oni w jego oczach ludźmi, którym bliżej do rycerzy niż do ludobójców. Może więc to wszystko służyło temu, by zdjąć z nich odium zbrodniarzy?

* * *

Opisaną powyżej kolekcję fotografii będzie można niebawem obejrzeć na wystawie zorganizowanej przez Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego w Wolskim Centrum Kultury przy ul. Górczewskiej 15.



ORLEN



Wychowała nas historia

Oddajmy hołd jej bohaterom

w **77. ROCZNICĘ WYBUCHU
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO.**



1 SIERPNIA 1944

PROGRAM OBCHODÓW 77. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – WYBRANE WYDARZENIA

26 lipca • poniedziałek

godz. 17.00

Akcja muzyczna „Jednym głosem”

– premiera teledysku do utworu „Warszawskie dzieci” wykonanego przez wirtualny chór

27 lipca • wtorek

godz. 18.00

Wernisaż wystawy „Hello Helka. Nowelka na papier i wojnę” – wstęp z zaproszeniem

28 lipca • środa

godz. 11.00

Warsztaty „Papier, nożyce, miasto”. Zajęcia dla dzieci w wieku 2–7 lat towarzyszące wystawie „Hello Helka. Nowelka na papier i wojnę”

– park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego; **Ograniczona liczba uczestników**

Udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl

godz. 18.00

Premiera książki Sebastiana Pawliny „Motyl Ścibor-Rylski. 101 lat Polski, czyli opowieść o generale” – Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego; **Ograniczona liczba uczestników**

29 lipca • czwartek

godz. 18.00

Początek Złotu Harcerskiego „Nasze pojutrze...” – Udział po wcześniejszej rejestracji

30 lipca • piątek

godz. 11.00

Spotkanie Powstańców Warszawskich z prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Andrzejem Dudą i prezydentem m.st. Warszawy Rafałem Trzaskowskim, uroczystość nadania odznaczeń państwowych przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego; wstęp z zaproszeniem dla Powstańców i ich rodzin
Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

31 lipca • sobota

godz. 11.00

Rodzinna gra edukacyjna „Czym skorupka za młodu, czyli paragrafówka z bohaterami”. Gra ukazująca ciekawe fakty z dzieciństwa bohaterów „Kamieni na szaniec”, w dwóch wersjach: mobilnej i stacjonarnej – Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego; **Ograniczona liczba uczestników**; Udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl (start rejestracji 26.07, godz. 8.00)

1 sierpnia • niedziela

godz. 17.00

„Wolność łączy” – Akcja społeczna w miejscach pamięci Powstania Warszawskiego na terenie całej Warszawy
godz. 18.00

Zakończenie Złotu Harcerskiego

„Nasze pojutrze...” – Muzeum Powstania Warszawskiego
godz. 20.30

„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki” – Wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stoklosy – park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego;

Ograniczona liczba uczestników;

Obowiązuje rejestracja, szczegóły na www.1944.pl

Wydarzenie będzie transmitowane w TVP1 oraz na kanale Muzeum Powstania Warszawskiego na YouTube
godz. 24.00

Uroczysta prapremiera spektaklu teatralnego „Nazywam się Tamara Biakow i jestem legendą” w reżyserii i wykonaniu Ewy Błaszczyk – Przedstawienie jest koprodukcją Teatru Studio oraz Muzeum Powstania Warszawskiego – Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego; Wstęp z zaproszeniem

2–5 sierpnia

• **poniedziałek–czwartek**

godz. 20.00

Spektakl teatralny „Nazywam się Tamara Biakow i jestem legendą” w reżyserii i wykonaniu Ewy Błaszczyk

– Przedstawienie jest koprodukcją Teatru Studio oraz Muzeum Powstania Warszawskiego – Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego

Ograniczona liczba uczestników

Bilety do nabycia w kasie MPW oraz na bilety.1944.pl

3 sierpnia • wtorek

godz. 18.00

Premiera publikacji „Rozkazy dowództwa Powstania Warszawskiego”, Inauguracja serii „Źródła polskie do Powstania

Warszawskiego” – Audytorium im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Muzeum Powstania Warszawskiego

Ograniczona liczba uczestników

5 sierpnia • czwartek

godz. 18.00

Uroczystość w hołdzie ludności cywilnej Woli przy pomniku Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944 – Skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. „Solidarności”
godz. 19.00

Marsz Pamięci – Uroczyste przejście w kierunku cmentarza Powstańców Warszawy upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas Powstania Warszawskiego – w trakcie marszu będą wyczytywane ich nazwiska

– Start: Skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. „Solidarności”

Ograniczona liczba uczestników

Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku
godz. 20.30

Zakończenie Marszu Pamięci

– Zapalenie zniczy pod pomnikiem Polegli Niepokonani i na wystawie „Zachowajmy ich w pamięci” poświęconej ofiarom cywilnym Powstania Warszawskiego

– park Powstańców Warszawy

Ograniczona liczba uczestników

Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

7 sierpnia • sobota

godz. 17.00

Masa Powstańcza 2021 – Przejazd rowerami szlakiem powstańczych szpitali – Start: park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego

Ograniczona liczba uczestników

Udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl

(start rejestracji 16.07, godz. 18.00)

Wydarzenie transmitowane na profilu Muzeum Powstania Warszawskiego na Facebooku

CENTRUM INFORMACYJNE

Z myślą o Powstańcach Warszawskich, warszawiakach oraz turystach w dniach od 24 lipca do 2 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego będzie działało centrum obchodowe 77. rocznicy Powstania Warszawskiego.

Czynne codziennie od godz. 10.00 do 18.00 (także w soboty i niedziele). Budynek „C”, Muzeum Powstania Warszawskiego, ul. Grzybowska 79

WIELKIE CHWILE, WSPÓLNE EMOCJE



TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY

#WielkieChwile



Wpadki kandydatki

*Oskarżenia o plagiat, nieścisłości
w życiorysie, nierealne żądania.*

*Annalena Baerbock miała być
następnym kanclerzem Niemiec.
Zamiast tego stała się obciążeniem
dla Zielonych, których kampania
nie może ruszyć z miejsca*

Wystarczył jeden komentarz w lewicowym dzienniku „TAZ”, by rozpętać debatę nad losem Annaleny Baerbock w niemieckich mediach. Kandydatka Zielonych na kanclerza – sugeruje gazeta – nie jest w stanie sprostać wymogom kampanii wyborczej. Może lepiej by było, gdyby się wycofała i zrobiła miejsce dla bardziej kompetentnego polityka? Mógłby to być choćby Robert Habeck, który wraz z nią kieruje partią. Zanim nie będzie za późno i nie będzie czego zbierać. Do września i wyborów do Bundestagu przecież już całkiem niedaleko. A poparcie dla Zielonych w sondażach wciąż maleje. Wprawdzie już nie tak szybko jak jeszcze miesiąc temu, ale wystarczająco, by przyprowadzić o mdłosci partyjne prezydium oraz redaktorów gazet, które Baerbock od początku kampanii z entuzjazmem wspierały.

Szum medialny był ogromny. „Odważna, ambitna, pewna siebie i silna kobieta” – brzmiało z przekazników telewizyjnych i radiowych. Ekspert od prawa międzynarodowego i klimatu, była sportsmenka. Matka dwojki dzieci. Zdolna zmienić Niemcy na lepsze. Wy-



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

rzucić chadecję Angeli Merkel z urzędu kanclerskiego.

W końcu sama kanclerz przyznała pod koniec marca br. w jednym z wywiadów, że CDU/CSU nie mają „prenumeraty na władzę”. Sondaże zdawały się wtedy przyznawać jej rację. W maju w sondażu Deutschlandtrend telewizji ARD Zieloni mieli 26 proc. poparcia, a CDU/CSU tylko 23 proc. W sondażu instytutu Civey opublikowanym w tygodniku „Der Spiegel” ich przewaga była jeszcze większa: 29 proc. wobec 24 proc. chadecji. Urząd kanclerski wydawał się w zasięgu ręki. Po raz pierwszy – jak pisał wówczas „Frankfurter Allgemeine Zeitung” – istniała możliwość, że to Zieloni będą kierowali rządem i wysła chadecję do opozycji. Koniec ery Merkel byłby

oczywiście także końcem ery CDU/CSU, przynajmniej na kilka dobrych lat. Pandemia COVID-19, zmęczenie Niemców wielką koalicją, liczne skandale korupcyjne w chadecji (m.in. wokół zakupów chińskich maseczek) oraz spory o to, kto ma zastąpić Merkel i kandydować na kanclerza: Armin Laschet czy może premier Bawarii Markus Söder, stworzyły podatny grunt dla zielonej rewolucji. Ale to było w kwietniu.

GENDER PRZED KOMPETENCJĄ

W maju wyszło na jaw, że Baerbock zapomniała zadeklarować w Bundestagu dodatkowe dochody z lat 2018–2020. Pośpiesznie uczyniła to dopiero w marcu br. Wprawdzie dochody te były prawidłowo opodatkowane, tyle że Zieloni szli do kampanii z hasłem przejrzystości. Jak pisało wówczas „Stuttgarter Zeitung”, nie możesz ciągle oskarżać innych partii o nieuczciwość w kwestii dodatkowych dochodów, „a jednocześnie uchylać się, gdy dotyczy to ciebie”. A był to dopiero początek kłopotów kandydatki Zielonych na kanclerza. Kandydatki idealnej, sędząc po życiorysie.

Dziadkowie Baerbock przybyli w latach 50. jako późni przesiedleńcy z Dolnego Śląska do Dolnej Saksonii. Po latach trudów udało im się awans do klasy średniej. Matka kandydatki Zielonych jest pedagogiem socjalnym, ojciec inżynierem. Dorastała ona w małej miejscowości pod Hanowerem, w domu naznaczonym lewicową ideologią. Rodzice ciągli urodzoną w 1980 r. Baerbock po manifestacjach przeciwko umieraniu lasów, broni atomowej, wyścigowi zbrojeń i na rzecz pokoju. W jej pokoju dziecięcym wisi plakat Greenpeace, a ona – jak sama twierdzi – dorastała „w świadomości zbliżającej się katastrofy klimatycznej”. Obok ochrony klimatu pasjonowała się skokami na trampolinie, podczas mistrzostw Niemiec w 1994 r. zdobyła nawet brązowy medal. Baerbock jest też członkiem Kościoła ewangelicko-luterańskiego, chociaż nie wierzy w Boga. W Kościele podoba jej się „poczucie wspólnoty”. Postępowa, otwarta, właściwie zideologizowana i nie za głęboka (duchowo) kandydatka. Trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej pasującego do Zielonych niż polityk, która wychowała się na manifestacjach przeciwko zbrojeniom. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie całkowity brak doświadczenia politycznego Baerbock oraz jej gotowość, by ukryć to za wszelką cenę. Robert Habeck przyznał w jednym z wywiadów, że jego wychowanka, z którą od 2018 r. wspólnie kieruje partią, została kandydatką na kanclerza, bo „jest kobietą”. Gender przed kompetencją, ideologia zobowiązuje.

KŁAMSTWA I PLAGIAT

To złe wrażenie Baerbock usiłuje za wszelką cenę zatrzeć, z opłakanym skutkiem. Krótko po ogłoszeniu jej kandydatury wykryto błędy w jej oficjalnym życiorysie dostępnym m.in. na stronie internetowej Zielonych. Okazało się, że – by dodać jej kompetencji – został on nieco podrasowany. Tak w 2011 r. miała być współpracownikiem naukowym Brytyjskiego Instytutu Prawa Międzynarodowego i Porównawczego (BIICL). W rzeczywistości była tam zaledwie stażystką. Inaczej niż podawała – nie była też członkiem niektórych renomo-

wanych organizacji, jak choćby German Marshall Fund czy UNHCR, bo nie oferują one takich członkostw. Co gorsze, kandydatka Zielonych chętnie się także ukończeniem studiów z prawa międzynarodowego na London School of Economics, co było niezgodne z prawdą. Dziennikarze starannie przekopali się przez biografię Baerbock, przez co była ona zmieniana już kilkakrotnie. Sama zainteresowana nie widziała powodu, by wyjaśnić rozdzźwięk między swoim oficjalnym życiorysem a rzeczywistością.

Krótko po ogłoszeniu kandydatury Baerbock okazało się, że jej oficjalny życiorys został podrasowany. Nieprawdą jest np., że ukończyła studia z prawa międzynarodowego na London School of Economics

Zwalila winę na pośpiech i skondensowaną formę swojego CV. „Było to z mojej strony wielkim partactwem. Wyraźnie popełniłam tam błąd i bardzo mi z tego powodu przykro, bo w tym momencie chodzi właściwie o inne, wielkie sprawy, zwłaszcza w naszym kraju” – mówiła.

Można było sądzić, że po tej wpadce będzie miała dość kompromitacji, ale czym byłby kandydat na kanclerza bez książki, w której wyklada wszystkie swoje złote myśli. Prezydent Francji Emmanuel Macron wypuścił takie dzieło w czasie kampanii prezydenckiej w 2016 r. pod tytułem „Rewolucja”. Skoro stać na to Macrona, to czemu nie Baerbock. Pod koniec czerwca ukazała się więc książka pod tytułem „Teraz. Jak odnawiamy nasz kraj”. Jest to typowa polityczna publicystyka, okraszona ciekawostkami z osobistego życia kandydatki. Niestety, mieszkający w Austrii łowca plagiatów Stefan Weber doszukał się w książce Baerbock fragmentów z różnych innych źródeł i oskarżył ją o plagiat. Według niego kandydatka Zielonych

czerpała m.in. z publikacji niemieckiej Federalnej Centrali Kształcenia Politycznego. Teraz kontestowane fragmenty mają zostać opatrzone przypisami.

ZIELONEJ JESIENI NIE BĘDZIE

Zielonym to niewiele pomoże. Szkoda została wyrządzona. Łatwo utracić bowiem wiarygodność, a trudno ją odzyskać. Na dodatek Baerbock udało się przestraszyć bardziej konserwatywnych wyborców Zielonych – tych usytuowanych w politycznym centrum – radykalnymi pomysłami, jak likwidacja lotów krótkodystansowych i podwyżka cen benzyny. Chciała także przestawić przemysł na bardziej ekologiczny, natychmiast, bez względu na koszt. W międzyczasie nieco złagodziła swój przekaz, ale było to za mało i zbyt późno. Debata, którą te propozycje wywołały, zaszkodziła Zielonym. Niemcy, choć przychylni walce ze zmianami klimatu oraz innym ekologicznym pomysłem, nie lubią bowiem radykalizmu. Ani radykalnych zmian. Póki Zieloni wydawali się młodszą, bardziej dynamiczną chadecją, byli gotowi na nich głosować. Skoro jednak nawet Annalena Baerbock,

k która należy to pragmatycznego skrzydła Zielonych (realos), głosi takie tezy, to co dopiero będzie, gdy zaczną rządzić? Przecież mają też frakcję radykalną (fundis). A rządzić będą jako całość. W takiej sytuacji bezpieczniej stawiać na kontynuację dotychczasowego kursu, czyli na CDU/CSU i pozbawionego charyzmy Armina Lascheta.

W końcu chadecja jest również zielona. W każdym razie wystarczająco dla przeciętnego wyborcy. W konsekwencji już tylko 15 proc. Niemców widzi Baerbock w roli kanclerza. A tak w ogóle, jak pokazują badania, Niemcy woleliby, by Angela Merkel została na jeszcze jedną kadencję (37 proc.). Zielonej jesieni więc nie będzie. Wygrała polityczna rutyna. Armin Laschet, jakkolwiek byłby bezbarwny, gwarantuje trwanie dotychczasowego układu. To zawsze bezpieczniejsze od zielonej kanclerz, która nie wie, czy skończyła studia w Londynie, i nie potrafi samodzielnie napisać książki.

Biała wina

„Idee mają konsekwencje” – nauczał niegdyś słynny konserwatywny filozof polityczny Richard Weaver. Co gorsza, nawet najbardziej absurdałne idee. Choćby takie jak krytyczna teoria rasy, używana przez lewicę jak maczuga, by zdobyć władzę nad inaczej myślącymi



GORAN ANDRIJANOVIĆ

To, co się obecnie dzieje w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych, jest tego najlepszym dowodem. Oto kontrowersyjna, a jak twierdzi wielu, także niebezpieczna teoria społeczna, o której istnieniu do niedawna wiedział tylko wąski krąg naukowców, chce wejść do serc i umysłów zwłaszcza młodych Amerykanów. Chodzi o krytyczną teorię rasy (critical race theory – CRT), czyli polityczno-filozoficzny pogląd na amerykańskie społeczeństwo.

Teoria ta twierdzi, że Stany Zjednoczone zostały zbudowane nie z umiłowania wolności i indywidualnego dążenia do szczęścia, ale z potrzeby dominacji jednej rasy nad innymi. Białej rasy.

I z tego powodu, jak uważają zwolennicy CRT, amerykańska wolność ma w sobie wbudowany rasizm. Dlaczego? Bo stymuluje postęp społeczny wyłącznie białej rasy, dyskryminując wszystkie inne.

I tu już mamy odpowiedź na problemy, z jakimi borykają się Afroamerykanie i pozostała niebiała populacja USA. Uzależnienie od narkotyków, wysoka przestępczość czy po prostu bieda są konsekwencją systemu, a nie wynikiem indywidualnych decyzji niebiałych Amerykanów.

Teoretycy CRT twierdzą, że rasizm jest obecny we wszystkich działaniach amery-

kańskiego społeczeństwa. W ekonomii, w kulturze, w polityce, ale też w ustawach określających prawa obywateli.

„CRT wyjaśnia, że rasizm i rasa są wynikiem dynamiki społecznej” – powiedział kiedyś mediom Ian Haney López, profesor uniwersytetu w Berkeley i jeden z głównych autorów krytycznej teorii rasy. I dodał: „To jest kwestia rzeczywistości: społeczeństwo, a nie natura czy Bóg, stawia ludzi w pozycji bycia nad lub pod innymi grupami. CRT troszczy się zarówno o zrozumienie, jak i naprawę rasizmu jako szkody społecznej”.

JAK ODRZUCIĆ RASIZM

Zwolennicy teorii twierdzą, że metody ruchu praw obywatelskich z lat 60. ubiegłego wieku już nie wystarczają. Podejście „ślepoty na kolory” (color blind) w walce przeciwko rasizmowi (bo przecież każdy człowiek jest równy i powinien być traktowany tak samo) jest „przestarzałe”. Teraz powinna nastąpić zmiana we wszystkich dziedzinach. Jeśli system jest przesiąknięty „białą supremacją”, to biała rasa musi to zrozumieć, zaakceptować swoją winę i uklęknąć przed innymi rasami.

Jak sprytnie zauważył jeden z teoretyków CRT, system jest rasistowski, nawet jeśli wydaje się, że nie ma w nim już rasistów.

Co robić? Zwolennicy teorii twierdzą, że jeśli państwo chce przywrócić równość, musi działać dyskryminująco na białą rasę. Jak wyjaśnił Ibram X. Candy w swojej książce „Jak być antyrasistą”, dyskryminacja, która tworzy „równość”, jest antyrasistowska, znaczy pożądana.

Teoria ta, na pierwszy rzut oka wywodząca się z ideologii marksistowskiej, zaczęła coraz intensywniej się pojawiać w amerykańskich szkołach prawniczych w latach 70. i 80. ubiegłego wieku. Innym ważnym czynnikiem jest postmodernizm, a zwłaszcza jego teoria, która kwestionuje związek między mocą polityczną a językiem. Mogło się wydawać, że ogranicza się ona do dyskusji akademickich, ale wydarzeniem, które wrzuciło tę teorię w samo centrum amerykańskiego życia, była śmierć George’a Flyoda, Afroamerykanina, który zginął podczas aresztowania, a jego śmierć wywołała niepokoje w społeczeństwie. Okazało się, że ruch Black Lives Matter (BLM) całą swoją działalność zawdzięcza tej teorii i na niej opiera swoje działanie.

Protesty BLM wstrząsnęły Stanami Zjednoczonymi. To, co się dzieje ponich, to coraz bardziej niebezpieczne umacnianie się kultury unieważniania (cancel culture) i ideologii woke. Te dwa zjawiska to jakby wprowadzenie CRT w rzeczywistość.

Rozbiórka „rasistowskich” pomników, redefinicja dziedzictwa kulturowego (świetnym przykładem jest zakaz pokazywania kultowego „Przeminęło z wiatrem” w HBO, ponieważ jest to film „rasistowski”), cenzura intelektualistów i książek, ataki na tych, którzy nie zgadzają się z agresywnością CRT. Wszystko to stworzyło atmosferę strachu, który zaczyna rządzić amerykańską kulturą i polityką.

DROGA DONIKĄD

Jak mówi polska publicystka Anna Gwozdowska, Stany Zjednoczone zmieniają się na naszych oczach. „Z kraju, który



mojemu pokoleniu kojarzył się jak chyba żaden inny kraj na świecie z wolnością, Ameryka przeistacza się za sprawą cancel culture i wokeness w państwo ograniczające obywatelom wolność wypowiedzi. Według sondażu think tanku Cato Institute, z lipca 2020 r., 62 proc. Amerykanów boi się ujawniać swoje poglądy. Rugowanie z debaty inaczej myślących, zastraszanie, przeinaczanie historii, nadawanie innego znaczenia słowom. To wszystko są narzędzia używane przez lewicę”.

Główną sceną walki są teraz amerykańskie szkoły. Analitycy twierdzą, że CRT próbuje zinfiltrować programy nauczania w całych Stanach Zjednoczonych. Jednak wiele stanów (Idaho, Arizona, Oklahoma, Teksas i inne) już uchwaliło lub uchwali przepisy zakazujące stosowania metod opartych na CRT w szkołach publicznych.

W internecie pojawił się ostatnio ciekawy film. Widać na nim matkę jednego z uczniów, w którego szkole toczy się walka o wprowadzenie CRT do programu nauczania. Chinka Xi van Fleet – doroślała podczas rewolucji kulturalnej Mao, która zabiła miliony ludzi – opowiada radzie szkolnej, jak Stany Zjednoczone zaczynają przypominać jej Chiny.

„Chcecie nauczyć nasze dzieci nienawidzić swoją historię. Komuniści używali tej samej krytycznej teorii do dzielenia ludzi. Jedyną różnicą jest to, że mówili o klasie, a nie o rasie” – powiedziała, dodając, że uciekła przed komunizmem, myśląc, że zbliża się do „wolnego stanu”.

– Tak, woke culture to jedna z odmian marksizmu – mówi nam Ewa Thompson, profesor literatury porównawczej i slawistyki na Rice University w Houston. I dodaje: – Wyrzucono z klatki dla uciśnionych robotników i wpakowano tam mniejszości seksualne i rasowe. Apeluje się do poczucia sprawiedliwości w masach społeczeństwa, jednocześnie odrzucając ten fundament, na którym opiera się sprawiedliwość (prawo naturalne etc.). Z punktu widzenia polityki jest to taktyka środowisk afroamerykańskich dążących do uprzywilejowanego traktowania jako rekompensaty za niewolnictwo ich przodków. Z filozoficznego punktu widzenia jest to kolejny krok naprzód w odrzucaniu tych filozoficznych fundamentów, na których została zbudowana Europa (epistemologia grecka, filozofia chrześcijańska, prawo rzymskie). Ale nie przewiduję długiego życia tych teorii, bo niedługo na-

wet ich wyznawcy zadadzą sobie pytanie, w imię czego mamy obalać tę rasistowską kulturę? W imię sprawiedliwości? Ale sprawiedliwość w woke culture nie istnieje, bo nie istnieje prawo naturalne czy religia chrześcijańska. Bez „metafizycznej podszewki” (czy konkretniej, bez chrześcijaństwa) nie można wdrażać „sprawiedliwości”, bo takowa nie istnieje.

Tymoteusz Zych, wiceprezes zarządu Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, ostrzega również przed intelektualnymi płyciznami opisu świata stojącego za CRT.

– Critical race theory na poziomie naukowym tłumaczy złożone zjawiska jednowymiarowo, traktując bardziej skomplikowane problemy głównie jako pochodną uprzedzeń rasowych. Jego przedstawiciele proponują powszechne stosowanie mechanizmów „dyskryminacji odwrotnej”, czyli formalnego uprzywilejowania grup mniejszościowych. Na dłuższą metę nie wzmacnia ona grup wykluczonych, a u części osób buduje postawę roszczeniową. W ostatnich latach podczas demonstracji ruchu Black Lives Matter doszło do aktów przemocy, a niektórzy politycy próbowali je usprawiedliwiać jako reakcję na „strukturalną dyskryminację” – mówi Zych.

Jak zauważa, nie chodzi już o walkę z niesprawiedliwą dyskryminacją, ale o coś innego. „Poważnym problemem są jednowymiarowe nurty myśli społecznej budowane na bazie critical race theory. One sprowadzają relacje społeczne do jednego aspektu, w tym problemu płci czy skłonności seksualnych. O ile w przypadku krytyki rasowej mamy do czynienia z realnym problemem nieuzasadnionej dyskryminacji mniejszości, to krytyka feministyczna coraz szerzej traktuje jako dyskryminację nie tyle bariery kobiet w dostępie do zawodów czy nierówne obciążenia pracą w rodzinie, ile w ogóle różnice pomiędzy kobietami a mężczyznami. Inne nurty krytyczne traktują jako dyskryminację funkcjonujące od stuleci we wszystkich kulturach struktury rodziny. To już nie opis dyskryminacji, ale neomarksistowska doktryna – tłumaczy Tymoteusz Zych. ▀

Aż trudno uwierzyć, że dyplomaci z Auswärtiges Amt, brylujący w smokingach, z komandoriami najwyższych orderów na szyjach, myślą o relacjach z dużym sąsiednim państwem w kategoriach nienawiści, pogardy i chorośliwego nacjonalizmu. Doraźnym celem niemieckich działań wobec Polski jest przede wszystkim zablokowanie naszego dynamicznego rozwoju gospodarczego poprzez narzucanie na polskie firmy i przedsiębiorstwa rozmaitych ograniczeń i wyszukanych przepisów unijnych, które oczywiście Niemców nie obejmują. Nasi sąsiedzi zza Odry po prostu boją się naszej konkurencji i walczą z nią niegodziwymi metodami. Po roku 1990 RFN wykonała ogromną pracę w celu likwidacji polskich konkurencyjnych przedsiębiorstw. Niemcy skutecznie wykończyli polski przemysł elektroniczny, wiele przedsiębiorstw chemicznych, zdecydowaną większość polskich cukrowni itd. Zrobili to z inspiracji rządu federalnego i za jego pieniądze (np. tajne dotacje na wykup i likwidację polskich cukrowni). Z tym wiąże się wieloletnie traktowanie naszego kraju w duchu neokolonialnej eksploatacji, korzystanie z tańszej siły roboczej, inwestowanie nad Wisłą jedynie w gałęzie przemysłu o prostej technologii, przemycanie do Polski śmieci i podstępne przesyłanie nadwyżek energii elektrycznej.



Obrazki z niemieckiej wystawy

Niemiecka polityka wobec Polski szokuje nieprawdopodobnym prymitywizmem



WOJCIECH POLAK

Niemieckie środki masowego przekazu krzewią wizję Polaków jako cwaniaków, przestępców i prymitywów, żyjących na poziomie plemion w Kongu lub w Rwandzie. W dodatku państwo, w którym nie ma niezależnej prasy, a sądy odbierają dzieci polskim rodzicom i przekazują je do germanizacji, zarzuca nam łamanie norm demokratycznych.

Dla Niemców Polska nie jest ani „dobrym sąsiadem”, ani sojusznikiem w ramach Unii Europejskiej i NATO.

Wszelkie pozorne działania służą tylko mydleniu oczu. Prawdziwe intencje niemieckie ukazały rurociągi gazowe – Nord Stream 1 i Nord Stream 2 – budowane po dnie Morza Bałtyckiego razem z Rosją. Można je było poprowadzić lądem przez Polskę i oszczędzić ze 20 mld euro, ale wtedy nie zostałby osiągnięty główny cel tej inwestycji – możliwość szantażu energetycznego Polski, Ukrainy i krajów bałtyckich. Niemieckie poczucie winy wobec Polaków, błąkające



Obrazek pierwszy:
DOBRY DZIADEK ZE WSI
FRIXHEIM (NADRENIA
PÓŁNOCNA-WESTFALIA)

Polka Zofia Szokalska została podczas okupacji niemieckiej wysłana na przymusowe roboty do Niemiec w wieku 12 lat. Trafiła do wsi Frixheim w powiecie Grevenbroich. Tak opisywała swoje losy: „Codziennie rano, o godzinie 5 była pobudka. Potem trzeba było wydoić 4 krowy. Jako dziecko nie umiałam doić krów. Gdy jeszcze raz pomyślę, jak mnie uczono tej czynności – okrutnie przy tym bijąc – skóra na mnie cierpnie. Najpotworniejsze było to, że nie znałam niemieckiego i nie rozumiałam, co do mnie mówią. Bauerzy byli wściekli [...] Z każdej strony padały na mnie ciosy i popychania. Po wydojeniu krów trzeba było wyrzucić obornik, świniom dać jeść, a potem iść w pole. Robota ta była nie na moje dziecinne siły i ręce...” (Z. Szokalska, „Trafiłam w przekłete miejsce”, w: „Gdy byliśmy literą P. Wspomnienia wywiezionych na przymusowe roboty do III Rzeszy”, wybór i oprac. Z. Biłgorajska, W. Pietruczuk-Kurkiewiczowa, Warszawa 1968).

Dziewczynka była wycieńczona pracą i głodem: „Pewnego razu zasnąłam w schronie. Aby mnie zbudzić, rzucono mnie do wanny z zimną wodą. Do dziś pamiętam swój okrzyk przerażenia. I tak do rana musiałam stać pod ścianą, w mokrym ubraniu, wyszydzana i wyśmiewana przez Niemców. Kąpielą ciężko odchorowałam. [...] Mleko pite ukradkiem ratowało mnie przed głodem. Ale nie na długo. Pewnego bowiem dnia bauer zastał mnie pijącą mleko i dał mi taką nauczkę, że do dziś na mleko patrzeć nie mogę i nie biorę go w ogóle do ust. Najpierw mnie bardzo zbił, a potem nabrał do garnuszka gnojówki, zmuszając mnie do wypicia...” (tamże).

O ukaraniu bauera, który zmuszał polską dziewczynkę do picia gnojówki, źródła milczą. Pewnie zmarł spokojnie, otoczony wianuszkami wnucząt, które do dzisiaj wspominają swego „kochanego i dobrego dziadziusia”.

Obrazek drugi:
PROFESOR ZBRODNIARZ

Zarabunek polskich dzieł sztuki odpowiada m.in. nigdy nieukarany prof. Dagobert Frey, który jeszcze w latach 30., jako dyrektor

się po germańskich sumieniach jeszcze w latach 60., dzisiaj w ogóle zanikło.

99,9 proc. upiornych niemieckich zbrodniarzy wojennych uniknęło jakiegokolwiek odpowiedzialności. Wielu z nich prowadziło dostatnie i wygodne życie w RFN. Niemcy nie poczuwają się do żadnych reparacji ani odszkodowań wojennych dla Polaków. Nasze polskie roszczenia uważają za przedawnione i godzące w ich stopę życiową. Wizja polegająca na tym, że w wyniku reparacji przeciętny mieszkaniec Berlina czy Monachium musiałby np. zmieniać samochód raz na cztery lata, a nie raz na trzy, jest dla nich nie do zniesienia. Prawo niemieckie zostało tak „ustawione”, aby utrudnić zwrot Polsce setek tysięcy zagrabionych zabytków i skarbów kultury. A w ogóle przeciętny Niemiec, nawet jeżeli zgadza się z twierdzeniem, że III Rzesza dokonała milionów niewyobrażalnych zbrodni,

to jest przekonany, że jego dziadek na pewno nie brał w tym udziału, mało tego – był czynnym antynazistą.

Polska musi walczyć o sprawiedliwość, walczyć z kłamstwem i neokolonialnymi zapędami Niemiec. Asertywna polityka PiS przyniosła już znaczące efekty w pracy nad utemperowaniem naszego zachodniego sąsiada. Wiele jednak jeszcze pozostało do zrobienia. Ważne jest nagłaśnianie niemieckich win wobec Polski w środkach masowego przekazu w kraju i za granicą. W opisie zbrodni niemieckich dokonanych na Polsce i Polakach popełniamy jednak pewien zasadniczy błąd. Koncentrujemy się głównie na liczbach i statystyce. Tymczasem człowiek tak jest skonstruowany, że na jego wyobraźnię najmocniej działają konkretne przykłady. Zatrzymajmy się na takich trzech ważnych „obrazkach z niemieckiej wystawy”.

Fot. Jacek Dominiak/REPORTER

Instytutu Historii Sztuki Śląskiego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu, odbył wyprawę badawczą do Polski. Służyły one rozpoznaniu polskich dzieł sztuki i planowaniu przyszłych akcji rabunkowych. Dagobert Frey w listopadzie 1939 r. przyjechał do Warszawy, by swą wiedzą o zasobach polskich muzeów i bibliotek wspomóc przedstawicieli Urzędu Pełnomocnika Specjalnego do spraw Spisu i Zabezpieczenia Dziel Sztuki i Zabytków Kultury. Frey uczestniczył osobiście w grabieży dzieł sztuki m.in. z Wawelu i Zamku Warszawskiego. Po wojnie nigdy nie odpowiadził przed sądem za swoje zbrodnie. Pełnił m.in. obowiązki profesora historii sztuki na politechnice w Stuttgarcie. Zmarł w 1961 r. Znawczyni historii sztuki Zuzanna Wierus tak pisała o zrabowanym przez Freya arcydziele sztuki romańskiej – czerwinińskiej antabie, odlanej z brązu w kształcie głowy lwa: „Powszechnie wiadomo, że w czasach II wojny światowej Niemcy masowo wywozili z Polski rzeźby i obrazy. Niewiele osób wie jednak, że dokonywano także mniej oczywistych kradzieży. Okazuje się bowiem, że nasi nie oszczędzali nawet antab, czyli klasztornych koleatek. Ich lupem padła konkretnie jedna, i to nie była jaka. Kołatka, pierwotnie umocowana na bocznych drzwiach romańskiego kościółka w Czerwińsku, pochodziła z okresu między X a XIII w. Wykonano ją z brązu. Odlewy takie były wówczas prawdziwą rzadkością. Co jeszcze bardziej nietypowe dla występków dokonywanych w tamtym czasie, sprawcę tej kradzieży znamy z imienia i nazwiska. Był nim profesor historii sztuki Dagobert Frey. Ten sam, który osobiście nadzorował demontaż kominków w Zamku Królewskim w Warszawie. Romańska antaba nigdy nie wróciła do Czerwińska, a dziś prawdopodobnie znajduje się w rękach spadkobierców profesora” (Z. Wierus, „10 najcenniejszych polskich dóbr kultury, które zagrabili Niemcy i do tej pory nie oddali”, strona internetowa ciekawostkiihistoryczne.pl, 6 kwietnia 2017).

Skradziona antaba jest przechowywana prawdopodobnie w Stuttgarcie. Jej odzyskanie i oddanie bazylice w Czerwińsku nie sprawiłoby zapewne większych kłopotów rządowi RFN, który posiada prawne służby śledcze. Trudno jednak liczyć choćby na taki gest w panującej obecnie w Niemczech atmosferze pogardy wobec Polaków, pusto-

słowa i fałszywej narracji o „współpracy”, „pojednaniu” i „partnerstwie”.

Podczas tegorocznej czerwcowej wizyty w Polsce prezydent Frank-Walter Steinmeier nie zrobił ani nie powiedział nic istotnego, pomimo starań strony polskiej, która chciała od prezydenta usłyszeć jakąś konkretną deklarację w sprawie rurociągu Nord Stream 2, reparacji czy zwrotu ukradzionych przez Niemców z Polski dzieł sztuki, książek i archiwaliów. O ileż bardziej owocna byłaby wizyta prezydenta Niemiec, gdyby zamiast pustosłowa przywoził np. ukradzioną antabę i uroczystie przykręcił ją do drzwi bazyliki w Czerwińsku. No tak, ale żeby czegoś takiego dokonać, trzeba być mężem stanu...

A tak na marginesie: szacuje się, że Niemcy zrabowali z Polski 516 tys. pojedynczych dzieł sztuki o wartości przekraczającej 11 mld 140 mln dol. (wg kursu z 2001 r.).

Musimy podkreślać zawsze i wszędzie: reparacje dla Polski i zwrot zrabowanych dzieł sztuki przyniosą korzyści przede wszystkim samym Niemcom!

Obrazek trzeci: W RAMACH DOBROSĄSIEDZKICH RELACJI ZLIKWIDUJEMY WAM PRZEMYSŁ...

Kraje Europy Zachodniej, głównie Niemcy, doprowadziły do likwidacji dużej części polskiego przemysłu elektronicznego. Małgorzata Goss, opierając się na raporcie Polskiego Lobby Przemysłowego z marca 2012 r. pt. „Straty w potencjale polskiego przemysłu i jego ułomna transformacja po 1989 r. Wizja nowoczesnej reindustrializacji Polski”, pisała: „Na ogólną liczbę 81 nowych zakładów high-tech odziedziczonych po PRL aż 31 zostało po 1989 r. zlikwidowanych. »Taka skala likwidacji nie ma odpowiednika w innych dziedzinach przemysłu« – zwraca uwagę Polskie Lobby Przemysłowe. Część zakładów wysokich technologii zniknęła z mapy wskutek wrogiego przejęcia przez

zachodnią konkurencję. Taki los spotkał m.in. wrocławskie zakłady komputerowe Elwro oraz Zakłady Wytwórcze Urządzeń Telefonicznych w Warszawie, w których – po wykupieniu przez Siemens – zaawansowana technologicznie produkcja została zlikwidowana, większość załogi zwolniona, a w to miejsce utworzono centra dystrybucji produktów wytwarzanych w Niemczech” (M. Goss, „Montownia Europy”, „Nasz Dziennik”, 13 kwietnia 2012).

Zmuszono też Polskę (ogromną rolę odegrali w tym Niemcy) do likwidacji dużej części naszych cukrowni i plantacji buraków poprzez narzucenie restrykcyjnych limitów. W związku z tym wielu rolników straciło źródło dochodów z upraw buraków cukrowych. Rządy niektórych krajów Unii, przede wszystkim Niemiec, wyłożyły wielkie pieniądze na wykup polskich cukrowni z zamiarem ich likwidacji.

W ten sposób ochroniły i wzmacniały swój przemysł cukrowniczy. Jeszcze w 1997 r. w Polsce działało 76 cukrowni. W 2012 r. zostało ich 18. Resztę sprzedano inwestorom zagranicznym i zlikwidowano.

Relacji polsko-niemieckich nie naprawia puste deklaracje w stylu prezydenta Steinmeiera. Fundamentem pojednania jest prawda. A za prawdą powinny pójść konkretne czyny ze strony Niemiec. Wypłacenie reparacji i zwrot zrabowanych zabytków może być dla Niemiec pewnym wysiłkiem organizacyjnym i finansowym. Ale dzięki temu mogą oni uzyskać wiele. Skala zbrodni popełnionych przez Niemców na Polakach podczas II wojny światowej jest szokująca. Nie można o nich mówić ani pisać spokojnie. Gest w celu „zadośćuczynienia Panu Bogu i ludziom” milionom ofiar życia nie przywróci. Ale będzie ważnym aktem pokuty, która narodowi niemieckiemu bardzo jest potrzebna! Może po takim akcie pokuty zginie powszechna wśród Niemców pogarda dla narodu polskiego. Musimy podkreślać zawsze i wszędzie: reparacje dla Polski i zwrot zrabowanych dzieł sztuki przyniosą korzyści przede wszystkim samym Niemcom!

Autor jest historykiem, nauczycielem akademickim, profesorem nauk humanistycznych, profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, przewodniczącym Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej

Sami zróbmy zieloną transformację!

Wszystkie polskie ręce na pokład! Tak można najkrócej podsumować cel, jaki przyświeca powstaniu PFR Green Hub, czyli strategicznego programu Polskiego Funduszu Rozwoju, którego zadaniem jest takie wsparcie transformacji energetycznej Polski, aby wytworzona w ten sposób marża i wartości dodane podniosły kompetencje i zamożność polskich firm

Nikt nie ma już złudzeń, że przed Polską trudne lata odchodzenia od energetyki węglowej, która jeszcze dziś odpowiada za aż 70 proc. energii potrzebnej w naszym kraju. Rosnące wciąż ceny zezwoleń na emisję CO₂ będą windowały koszty energii elektrycznej. Jedynym sposobem na uzyskanie taniej energii będzie systematyczne zmniejszanie komponentu węglowego na rzecz OZE. Sam proces jest nieunikniony, ale może być on przeprowadzony dwojako. W gorszym ujęciu będziemy zmuszeni do kupowania „zielonej” technologii wytwarzania energii od krajów, które będą dysponowały jej nadwyżkami, co będzie dla nas mniej korzystne z uwagi na uzależnienie energetyczne od źródeł zewnętrznych. W lepszym scenariuszu – polskie firmy włączą się w wyścig technologiczny służący wytwarzaniu nowych rozwiązań przyjaznych środowisku, dzięki czemu będziemy w Polsce samowystarczalni.

Realizację tego drugiego, zdecydowanie bardziej korzystnego scenariusza ma przyspieszyć i ułatwić właśnie PFR Green Hub. Program ten polega nie tylko na inwestycjach przyczyniających się do zwiększenia liczby gigawatów zielonej energii w ogólnym miksie energetycznym, lecz jest także skierowany do wszystkich podmiotów, które mogą przyspieszyć zieloną transformację energetyczną w Polsce. PFR Green Hub zaprasza więc do współpracy instytucje i deweloperów, którzy szukają partnera współfinansującego dla

inwestycji w źródła energii odnawialnej. Jednak oferta nie ogranicza się tylko do wspierania inwestycji bezpośrednich. Oferta jest też skierowana do funduszy, by podjęły współpracę z PFR Ventures w ramach funduszu PFR Green Hub, który koncentruje się na inwestycjach w spółki technologiczne z obszarów: ekologii, OZE i czystych technologii. Kolejnym adresatem oferty PFR są samorządy, które potrzebują wsparcia kapitałowego i doradztwa w dziedzinie przeprowadzania inwestycji z obszarów transformacji energetycznej. Do PFR Green Hub powinny się także zgłaszać start-upy, których celem jest działalność w obszarze zielonej energii. Mogą one skorzystać z doradztwa biznesowego i nawiązać relacje biznesowe w ramach tzw. zielonego ekosystemu innowacji.

– Po 30 latach transformacji w Polsce naszą ambicją powinno być to, na ile ten cały łańcuch wartości, który powstaje przy okazji zielonej transformacji energetycznej i który będzie zasilony ogromnymi pieniędzmi, będziemy w stanie utrzymać w naszym kraju. Czy też jak duża część marży pozostanie w polskich rękach. Dlatego naszą ambicją jest doprowadzenie do sytuacji, w której beneficjentami tych wszystkich procesów będą polscy pro-



ducenci urzędów, nowych „zielonych” rozwiązań czy polscy dostawcy nowoczesnych systemów zarządzania energią. Chcemy, by beneficjentami byli ci, którzy ten cały łańcuch wartości budują, którzy mają szansę rozwijać swoje firmy, także poprzez ekspansję wymyślonych w Polsce rozwiązań na rynki zagraniczne – podkreśla wiceprezes PFR Bartłomiej Pawlak (na zdj.).

Oczywiście należy uzupełnić, że z zielonej transformacji poza przedsiębiorcami skorzystają także wszyscy mieszkańcy Polski, którzy będą mogli oddychać lepszym powietrzem i płacić niższe rachunki za prąd. Poza wdrożeniem programu PFR Green Hub Polski Fundusz Rozwoju postanowił poświęcić czwartą edycję swojego cyklu skierowanego do start-upów i młodych przedsiębiorców „Szkoła Pionierów” projektom z obszaru „zielonej gospodarki”. Najlepsze rozwiązania służące środowisku naturalnemu zostaną nagrodzone i dostaną szansę prezentacji przed przedstawicielami funduszy venture capital. Do tej pory pierwsze trzy edycje „Szkoły Pionierów” zaowocowały powstaniem 85 firm, z których 17 proc. realizuje swój biznes w sposób neutralny dla środowiska. Czwarta edycja z pewnością zwiększy ten odsetek.

BZ

Rzeczpospolita prostacka



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Cnota została utożsamiona ze zniewoleniem, zaganianiem dziewczyn do szydełkowania i oczywiście dziewictwem, które dzisiaj jest niewątpliwie kalectwem i skazą na honorze. Krytyka takiej kobiecości zbiega się z apoteozą innej, ośmiogwiazdkowej, którą poznaliśmy na zgromadzeniach tzw. Strajku Kobiet

Jeszcze słyhać rechot i towarzyszące mu komentarze rozlegające się w rozmaitych mediach tradycyjnych i internetowych po słowach doradcy ministra Przemysława Czarnka o cnotach niewieścich. To jak wynik eksperymentu naukowego, który w całej rozciągłości ukazuje współrzędne miejsca, w którym się znajdujemy. Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś złudzenia czy na-

dzieje, że jesteśmy gdzieś indziej, to teraz już nie ma do nich żadnych podstaw.

Żyjemy w Rzeczypospolitej prostackiej, państwie w którym najwięcej miejsca jest dla ludzi niedouczonej, przekonanych o swoim prawie do wyrażania opinii w imieniu wszystkich, zjadadłe nienawistnych i radośnie samozadowolonych. Osobników mówiących fatalną polszczyzną, pozbawionych elementarnych manier i bezczelnych.

* * *

Nie będę się tu wgłębiał w ów incydent z cnotami i wskażę tylko jeden jego aspekt. W mojej młodości część kumpli z podwórka dzieliła dziewczyny tylko na dwie kategorie. Na „chętne” i na „cnotki”. Do czego chętne były dziewczyny „chętne” – wyjaśniać chyba nie trzeba. Cnotki mogły być mądre, piękne, samodzielne, bogate z domu, ale przekreślało je to, że nie były „chętne”. Warte były jedynie pogardy i okrzyków w stylu: „Hej, cnotka, chcesz piwa?”. To do tego podziału, jakże prymitywnego i somatycznego, nawiązują celebrytki, pisarki i ich męscy akolici nagłaśniający swój gburowaty rechot. Są przedłużeniem, nieomal dziećmi tamtych kumpli z małego miasteczka, którym w głowie było tylko jedno, a wątplię, że tu o głowę szło. Przez grubą warstwę telewizyjno-medialno-tabloidowego pudru przebijają się nasze swojskie, przasne prostactwo. Cnota utożsamiona została ze zniewoleniem, zaganianiem dziewczyn do szydełkowania i oczywiście dziewictwem, które dzisiaj jest niewątpliwie kalectwem i skazą na honorze.

Krytyka takiej kobiecości zbiega się z apoteozą innej, ośmiogwiazdkowej, którą poznaliśmy na zgromadzeniach tzw. Strajku Kobiet, podczas których zaproponowano społeczeństwu nowy język dyskursu o płci, wolności i intymności. Tam były kobiety, które zawczasu wzgardziły wszelkimi niewieściami cnotami, rzec by niewiasty całkowicie wyzwolone. Posługując się ich mechanizmami myślenia, każda próba przywrócenia pełnego znaczenia cnoty wywoła tylko kolejny rechot, taki sam jak na wulgarnych stand-upach, których mnóstwo można znaleźć w sieci. Jedno i drugie jest żerowaniem na prostactwie własnym i cudzym. I tę walkę już przegraliśmy. To pójdzie dalej i schamiała Europa w tym nam pomoże. Już niedługo dożyjemy czasów, że zatęsknimy za ograniczonym, ale nieszkodliwym lemingiem.

Furia, jaką wywołały słowa doradcy szefa MEN, spowodowana została nieuctwem i niezrozumieniem pojęcia „cnota”, co automatycznie przerodziło się w poczucie zagrożenia dla „wyzwolonej” kobiecości. Patrząc na te wszystkie niewiasty z błyskawicą, na ich liderki, na ich politycznych sojuszników w parlamencie i mediach, trudno sobie nie zadać pytania, czy można się wyzwolić jeszcze bardziej? Jaki będzie następny krok? Kopulacja 100-płciowa w parku Łazienkowski pod ochroną policji, sex-roomy w wojsku, topless w kościele?

Starzy ludzie wspominają, że gdy „wyzwalała” ich miasta i wsie Armia Czerwona, to zgryza kacapów, nieudomowionych dzikusów rozbiegała się po okolicy i żarła, piła kradła, chlęła, co popadnie.



A gwałty były na porządku dziennym. Także i teraz nowi „wyzwoleńcy” z lubością i bez skrupulów, agresywnie i coraz agresywniej dewastują to, co budowały poprzednie pokolenia Polaków, to, za co wielu oddało życie. Tyle że teraz kacapy mają tytuły naukowe, prawa obywatelskie, swoich przedstawicieli we władzach samorządowych i tę samą nieograniczoną bezkarność.

* * *

Przegraliśmy, bo ze swoimi lśniącoymi floretami, sztuką i zasadami fechtunku nigdy nie mieliśmy szans z troglodytami uzbrojonymi w maczugi. Część pojęła to w mig i szybciotko dołączyła do błyskawic, Obywateli RP czy do KOD, wyrzucając florety w krzaki i udając, że nigdy ich nie miała. W ten sposób powstała armia strojąca prostactwo w złote szaty i nada-

jąca mu sens wręcz epicki. Z czasem manery i sposób rozmowy przeniknęły do części „nawróconych” i wystąpił „efekt Sadurskiego”. Tytuł naukowy zawarł sojusz z prostactwem, w ten sposób idealnie wpasowując się w kreowaną rzeczywistość. Opozycyjne stacje telewizyjne w sposób umiejętny to wykorzystują, eksploatując ekranowo rozmaitych tuzów nauki, o których w nauce nikt nie słyszał. To jawny przekaz: „Takich mamy profesorów”, za którym idzie zawołany przekaz: „Wszyscy profesorowie są tacy”.

Szerzące się prostactwo intelektualne, obyczajowe i językowe, niekiedy ubrane w elegancki garnitur i złotość (casus Morozowskiego), rozlewa się jak powódź, której ani wały, ani worki z piaskiem nie są w stanie powstrzymać. Jest niezwykle lepkie i klei się do wszystkiego. Mamy więc prostackich sędziów, profesorów, pisarzy, dziennikarzy i generalnie prostacką inteligencję.

Jesteśmy dziś jak Felicjan Dulski wobec swojej małżonki i całej rodziny. Tyle że nam nawet nie wolno krzyknąć: „A niech was wszyscy diabli!”, bo zaraz się okaże, że to brak tolerancji, rasizm, ksenofobia, homofobia czy mowa nienawiści. Istaniemy przed komisją dyscyplinarną.

Znakomitym kokonem do rozwoju kolejnych larw prostactwa jest telewizja publiczna ze swoim gustem rozrywkowym czy publicystycznym. Szkoda, że w swoim programie naprawczym prezes Kaczyński nie wymienił, oprócz walki z tłustymi kotami, lenistwem działaczy i nepotyzmem, zmian w telewizji publicznej. Szmirowatość propagandowa niektórych programów, teleturniejów czy programów rozrywkowych bywa porażająca. To dodatkowe kalorie dla samoreprodukującego się prostactwa.

Prostactwo osoby, która nie ma zbyt wielkiego wpływu na rzeczywistość, jest stosunkowo mało szkodliwe i najczęściej do zniesienia. Ale prostactwo osób wpływowych, niesionych falą dziwacznie skonstruowanej ordynacji wyborczej, bywa niebezpieczne. Dlaczego? Bo zwykle rychło łączą się w tercet z bezczelnością i nieuctwem. Mamy tu chociażby słynny występ posła Jońskiego, który nie znał daty Powstania Warszawskiego, ale nie przeszkodziło

mu to w wysokiej samoocenie (że nadaje się na polityka) i nieograniczonym parciu na szkło. Jego największym osiągnięciem pozostanie objazdowe kuglarstwo, którym popisuje się razem z innym gigantem intelektu – posłem Szczerbą.

Prostactwo połączone z nieposkromioną wręcz beczelnością i pewnością siebie, a także z mocno zawyżoną samooceną prezentuje inny polityk – poseł Nitras. To wręcz przykład chamstwa publicznego. Od kilku lat słyszymy, jak i co mówi Joanna Scheuring-Wielgus, absolutna mistrzyni w nieuctwie, beczelności i prostactwie. I gdy się wydawało, że gorzej być nie może, pojawiła się w Sejmie najpierw pani Hartwig, a potem Jachira. Zastanawiam się, czy przebywanie w takim towarzystwie przez cztery lata nie „uprostacza”, nie jest zaraźliwe. Ostatnie emocje marszałka Terleckiego nakazują ostrożne rozważenie tej hipotezy.

Tak się stało, że poznałem w życiu kilkanaście osób naprawdę zamierzających. Nie było wśród nich aferzystów, a jedynie osoby przedsięwzięte, pomysłowe i pracowite. Niekiedy majątek, którym dysponowali, do którego doszli, był dla mnie niewyobrażalny. Jeśli jednak czegoś nie rozumieli, to nie udawali, że rozumieją, nie pchali się na świecznik, nie zabiegali o sławę. Potrafiли słuchać i prosić o objaśnianie czegoś tam. Jedno ich však łączyło. Byli to ludzie prości, często słabo wykształceni, ale nie prostacy. Chociaż na niejedno prostactwo mogliby sobie pozwolić i nikt by im w oczy tego nie wytknął. Żaden z nich nie przypomniał Lenza, Brejzy czy Rutnickiego. Bo taka jest różnica między prostotą a prostactwem.

* * *

Tylko Rzeczpospolita prostacka mogła zarechotać na dźwięk słowa „cnota”. Tym samym pokazując, że o kobietach i kobiecości wie zgola niewiele, że nie ma zielonego pojęcia o gen. Elżbiecie Zawackiej, „Ince”, Wiktorii Ulmowej, Annie Walentynowicz, Alinie Piętkowskiej czy Danucie Kobylińskiej, Wandzie Rutkiewicz albo Krystynie Chojnowskiej, bo o nich mówił dr Skrzydlewski, wspominając o cnotach niewieścich, a nie o tych,

którym w czasie wojny podziemie gołilo głowy. Ale jak już powiedziałem – prostactwo idzie z nieuctwem pod rękę.

Wolno się naśmiewać z doradcy ministra mówiącego o cnotach, wolno publicznie nazwać prezydenta RP durniem (Iwański), debilem (Żulczyk), można go wyzywać: „Ty jełopie skończony” (Chojcecki), i nic za to nie grozi. Bo to przecież nasze codzienne, kochane prostactwo, które z pietyzmem przytulamy do serca,

Szerzące się prostactwo intelektualne, obyczajowe i językowe, niekiedy ubrane w elegancki garnitur i złotoustość, rozlewa się jak powódź, której ani wały, ani worki z piaskiem nie są w stanie powstrzymać

ludząc się, że to wolność. A gdy inny doradca ministra dr hab. Mirosław Szumiło zamieścił post (cytuje za Onet.pl): „Anglików zgubiła poprawność polityczna. Do serii rzutów karnych wystawili aż trzech czarnoskórych zawodników, z których żaden nie strzelił. Wiem, że FB zaraz uzna mnie za rasistę, ale tak to wyglądało”, i po kilku godzinach dodaje kolejne zdania: „Trener miał do wyboru bardziej doświadczonych i lepszych piłkarzy. Dlaczego wybrał akurat tych trzech? Podejrzewam, że zdecydował o tym parytet rasowy”, to natychmiast podnosi się rwetes i sypią oskarżenia o rasizm. Czytam to od lewej do prawej, od prawej do lewej, od góry do dołu i nijak w tym rasizmu nie widzę! Jeśli już, to zarzut, że Anglicy to rasiści i tylko poprawność polityczna jest ich w stanie zmusić do tego, aby w składzie zwycięzców znaleźli się czarni.

Wpisem tym zainteresowano JM Rektora UMCS (pracodawcy owego doradcy), tak jakby nie miał on innych zmartwień niż czytanie komentarzy o okolicach futbolu. Bo przecież faktem jest, że na ostatnie minuty wprowadzono trzech

czarnoskórych zawodników, i faktem jest, że żaden z nich nie strzelił bramki. Reszta to hipoteza, którą przedstawił autor tego posta. Prawdziwe piekło rozpętało się natomiast w Anglii, gdzie na portalach społecznościowych nie szczędzono po meczu wyzwisk czarnoskórej części angielskiego społeczeństwa. Zastanawiam się, jakim trzeba być nieukiem, aby tak zinterpretować przywołany wpis.

* * *

Można by jeszcze długo rozważać o Rzeczpospolitej prostackiej, bo w każdej sferze życia dotyka nas ona boleśnie.

Co nam zostało? Niewiele. Została nam rodzina i wyzwania wychowawcze daleko trudniejsze jak za komuny, bo mocno umiędzynarodowione. Musimy zadbać o nowe pokolenie, o które jeszcze jest sens walczyć, a to obecne przedszkolaki czy dzieciaki z edukacji wczesnoszkolnej. Zresztą nie wszyscy rodzice chcą podejmować trudne wyzwania. Nawet jeśli idzie o dobro ich własnych dzieci. Nie została nam szkoła, bo poziom prostactwa nauczycieli nie pozwala jej uznać za sojusznika. Wystarczy sobie przypomnieć występy słowno-muzyczne z czasu strajku nauczycieli i zapaść szkoły spowodowaną pandemią, aby się pozbyć iluzji. Zostały nam niszowe stacje telewizyjne, niszowi autorzy książek i niszowe towarzystwo najbliższych. Nasze domy, nasze mieszkania, nasze imprezy nie muszą być prostackie, nasze dzieci i wnuki też nie. Tylko musimy chcieć. Czy cokolwiek tym zwojujemy, czy zmienimy Polskę? Ależ nie! Bo nie o to już idzie gra. O co więc?

W „Tworzywie” Melchiora Wańkowi-cza jest taki fragment, w którym polski chłop, emigrant, biedny jak mysz kościelna, zabiera z sobą do Kanady mieszek polskiej pszenicy. Dostawszy ziemię „dobrą jak pierzyna”, obsiewa kawałek polskim zbożem, które wydaje niebywale obfity plon. Takż i my musimy znaleźć taki mieszek, napelnić go najlepszym ziarnem i pilnie strzec, aby nasze dzieci, wnuki i prawnuki mogły je zasiać, gdy już będą u siebie. Dbajmy o najmłodszych, o tych, którzy dopiero się urodzą, aby byli naszą nadzieją, gdy my coraz bardziej schodzimy do podziemia.



Fot. NAC

Wszyscy wszystkim proponowali sojusz...

Jednym z najbardziej zdumiewających pomysłów Krzysztofa Raka jest twierdzenie o rzekomej propozycji sojuszu, którą Piłsudski miał złożyć Stalinowi w roku 1933

Nieoczekiwanie otrzymaliśmy w ostatnim czasie dwie książki z problematyki historii dyplomacji II Rzeczypospolitej: „Polska. Niepełniony sojusznik Hitlera” (Warszawa 2019) oraz „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem” (Warszawa 2021). Ich autorem jest dr Krzysztof Rak. Obie te prace przyjmuje środowisko historyków jako coś nowego. Ci, którzy nie posiadają głębszej wiedzy o sprawach zagranicznych odrodzonej Polski, odkrywają wymienione prace jako wręcz rewelację. Ponieważ historyk nie może porzucić swojej służebnej funkcji wobec społeczeństwa, zachodzi absolutna konieczność kilku słów ze strony osób, które miały sposobność źródłowo badać zagadnienia dyplomacji polskiej w dobie międzywojennej, i to przez wiele lat. Nikt w tej roli ich nie wyręczy. Chodzi o reputację historiografii polskiej jako sprawę najwyższej wagi. Odnosimy się tu tylko do drugiej książki dr. Raka – z racji ograniczonego miejsca.

* * *

Książka „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem” jest niezmiernie obszerna. Poddanie analizie tysięcy sformułowań autora nie jest możliwe w krótkiej nocie recenzyjnej. Trzeba się ograniczyć do spraw absolutnie najważniejszych.

Omawiając wydarzenia poprzedzające przewrót majowy 1926 r., dr Rak rzuca groźne stwierdzenie, jakoby Józef Piłsudski wszedł wówczas w „konspiracyjny kontakt” z Sowietami, skądinąd nawet precyzując, że chodzi o Józefa Stalina (s. 405). To wszystko jedynie na podstawie rozmowy mjr. Kazimierza Kierzkowskiego z przywódcą Komunistycznej Partii Polski Adolfem Warskim, po której ten ostatni wysłał list do Moskwy, a dokument ten opublikowali swego czasu Bogdan Musiał i Jan Szumski w tomie „Przewrót majowy 1926 roku w oczach Kremla” (IPN, Warszawa, 2009).

Wymieniony dokument nie daje żadnych podstaw do postawienia tezy o „konspiracyjnym kontakcie”

z nieprzyjacielem, chociaż pada w nim stwierdzenie, że Piłsudski chce sojuszu z Sowietami. Nie wolno nie odróżniać w polityce międzynarodowej taktyki od strategii. Tylko zacierając tę różnicę, można mówić o „konspiracyjnym kontakcie” Piłsudski–Moskwa. Co więcej, dr Rak nie zna bądź nie rozumie istoty spraw, o których pisze. Po pierwsze, analiza dostępnych dokumentów sowie-

Polityka Piłsudskiego – pod piórem dr. Raka – nie miała żadnych niewzruszonych zasad. Sprowadzała się do „kombinowania” między Niemcami a Sowietami. A skoro tak było, to znaczy, że Polska Piłsudskiego nie miała żadnej polityki zagranicznej godnej tego miana. Oczywiście nie ma na to zgody

ckich jednoznacznie wskazuje, że rozmowa mjr. Kierzkowskiego z Warskim (1 marca 1926 r.) wywołała w Moskwie daleko posuniętą nieufność i była traktowana w kategorii prowokacji dokonanej przez stronę polską, a ściślej przez piłsudczyków. Skutkowało tym, iż Sowiety swoimi kanałami oficjalnymi oraz nieoficjalnymi próbowały wy badać prawdziwe intencje Piłsudskiego i jego otoczenia, co niespecjalnie się udało. Po wtóre, piłsudczycy poprzez Kierzkowskiego sondowali reakcję zarówno polskich komunistów, jak i kremlofskich decydentów odnośnie do ewentualności powrotu Marszałka do aktywnego udziału w polityce, bynajmniej nie tylko na drodze zamachu stanu. W zamian – dość nieprecyzyjnie – składali ofertę legalizacji partii komunistycznej w Polsce. I nic więcej. Mowy nie ma o żadnym „konspiracyjnym kontakcie” na najwyższym szczeblu, nie mówiąc już

o propozycjach czy choćby sugestii sojuszu. Po trzecie wreszcie, pisanie o nawiązaniu jeszcze przed zamachem majowym „konspiracyjnego kontaktu” między Piłsudskim a Stalinem to dowód nieznamośności dziejów sowieckiego państwa i jego elity. Wczesną wiosną 1926 r. Stalin był tylko jednym z pretendentów do objęcia schedy po Leninie. Walki frakcyjne w łonie partii bolszewickiej trwały i wcale nie było pewne, czy późniejszy generalissimus wyjdzie z nich zwycięsko. Możemy się spierać, czy Stalin był pewny swego zwycięstwa już po pokonaniu Lwa Trockiego i jego stronników pod koniec 1927 r., czy też stało się to później, a zatem w roku 1928 lub 1929, jak przyjmuje większość sowietologów, ale na pewno nie przed zamachem majowym. Nieprzypadkowo na czele powołanej w końcu marca 1926 r. przez Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) Komisji do spraw Polskich stanął Grigorij Zinowjew, zatem konkurent Stalina. Taki sposób pisania obnaża metody dr. Raka, polegające na interpretowaniu i podciąganiu faktów do apriorycznych założeń.

Trudno uchylić się od refleksji, że jeśli taki pogląd (jak powyżej) zwycięży i trafi np. do podręczników szkolnych, pozostanie już zrobić tylko mały krok do konstatacji, iż przewrót majowy był zrobiony we współpracy z bolszewikami... (Był już kiedyś pewien historyk w PRL, który w tamtym ustroju robił nawet za męża stanu, a mówił o brytyjskiej inspiracji zamachu majowego. Myślimy tu o Henryku Jabłońskim).

* * *

Jednym z najbardziej zdumiewających pomysłów Krzysztofa Raka jest twierdzenie o rzekomej propozycji sojuszu, którą Piłsudski miał złożyć Stalinowi w roku 1933. Tak oto historyk oznajmia: „Piłsudski proponuje Stalinowi sojusz przeciw Hitlerowi”. Jako dowód na rzecz tej tezy otrzymujemy tylko sprawozdanie Karola Radka z jego rozmów w Polsce (z Bogusławem Miedzińskim,

Ignacym Matuszewskim i Józefem Beckiem). Minister spraw zagranicznych – według relacji Radka – miał powiedzieć, że jeśli Sowietci dopomogą Polsce utrzymać Pomorze, to Polska wesprze ZSRR w obronie przed Niemcami, które „posuwać” się chcą w kierunku Leningradu. Otóż ta wypowiedź nie może upoważniać do twierdzenia, na które pozwala sobie dr Rak. Należy jeszcze dodać, że ów zdumiewający pomysł bazuje na nieprecyzyjnym tłumaczeniu fragmentu sprawozdania Radka, w którego usta autor omawianej książki wkłada sformułowanie o „uwzględnianiu interesów obu naszych krajów”. Tymczasem w oryginalnym tekście słów takich nie ma (s. 764).

W książce „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem” nie występuje żadne rozróżnienie tak oczywistych rzeczy dla historyka dyplomacji jak: (1) zbliżenie dwóch państw bez zobowiązań, (2) współpraca polityczna dwóch państw na podstawie jakiegoś uzgodnienia między rządami, wreszcie (3) sojusz militarny dwóch państw, który bezwzględnie wymaga umowy międzynarodowej oraz porozumienia sztabowego.

Piłsudski w roku 1933 istotnie starał się o zbliżenie bez zobowiązań z Sowietami. I to jest wszystko, co może historyk na ten temat powiedzieć. Jego postępowanie jest zresztą dobrze rozpoznane w historiografii.

Omawiając wydarzenia w stosunkach polsko-sowieckich w roku 1933, dr Rak nie dostrzega, że było coś takiego jak pakt czterech mocarstw, który podpisano 15 lipca tego roku w Rzymie. Przecież w chwili gdy układ ów podpisywano, nie można było przewidzieć, że nie będzie on ratyfikowany przez Niemcy i Francję, a więc nie wejdzie nigdy w życie. Polsce wyznaczono już rolę. Miała być pierwszym test-case skuteczności paktu czterech. W tych okolicznościach gwałtownie potrzebne było taktyczne zbliżenie z ZSRR, aby zlikwidować jeden z frontów walki i skupić wszystkie siły na oporze przeciw dyktatorowi czterech mocarstw, które w każdej chwili mogły uchwalić zabór przynajmniej Gdańska i Pomorza przez Niemcy. Tyle i tylko tyle.

Czy naprawdę marszałek Piłsudski nie pojmował, że zawierając sojusz militarny z Sowietami, uczyniłby z Polski prowincję sowiecką? To przecież było oczywiste nawet dla człowieka, który oglądał świat z gabinetu starosty powiatowego... Przecież sojusz wojskowy z Sowietami przeciw Niemcom musiał prowadzić do wpuszczenia Armii Czerwonej na terytorium Rzeczypospolitej, bo inaczej nie mogłaby ona w ogóle wejść w kontakt bojowy z niemieckimi siłami zbrojnymi. Czy Piłsudski, który Moskwie nigdy nie ufał, nagle porzucił te wszystkie przekonania? Wreszcie: czy polski przywódca był tak naiwny, że ludził się tym, iż żołnierz sowiecki będzie się bił o to, aby Polska posiadała Pomorze, a Gdańsk pozostał wolnym miastem? Dlaczego Piłsudski miałby szukać aliansu z dyktatorem sowieckim, skoro w r. 1934 nie poszedł nawet

Celowanie w pseudonaukowe efekciarstwo poprzez wyczytywanie ze źródeł tego, co chce się z nich wyczytać, selektywny dobór literatury i odrzucanie lekką ręką ustaleń poprzedników musi prowadzić na manowce

* * *

Bardzo znamiennej metodą Krzysztofa Raka jest niewchodzenie w polemikę z historykami, którzy wcześniej od niego zajmowali się danym zagadnieniem, a doszli do innych wniosków. Wydaje się, że nie powinno być to zasadą

pracy historyka. Autor raczej „dekoruje” przypisy niektórymi nazwiskami – nie odnosząc się do poprzedników.

Dwa przykłady unikania dyskusji.

Jak wiadomo, Piotr Wandycz – bezspornie najwybitniejszy polski historyk dyplomacji – jest autorem książki: „Z Piłsudskim i Sikorskim. August Zaleski, minister spraw zagranicznych w latach 1926–1932 i 1939–1941” (Warszawa 1999). Cały swój przewód myślowy o dyplomacji Augusta Zaleskiego po zamachu majowym rozpoczyna autor tej książki od wprowadzenia dwóch „kanonów” polityki polskiej w ujęciu marszałka Piłsudskiego. Stanowiły one fundament polityki równowagi. Kanon pierwszy to starania o poprawę stosunków z wielkimi sąsiadami. Kanon drugi – utrzymanie sojuszków z Francją i Rumunią. Krzysztof Rak nie odnosi się do tego wszystkiego, a książki najpewniej nie zna albo z rozmysłem ją pominął.

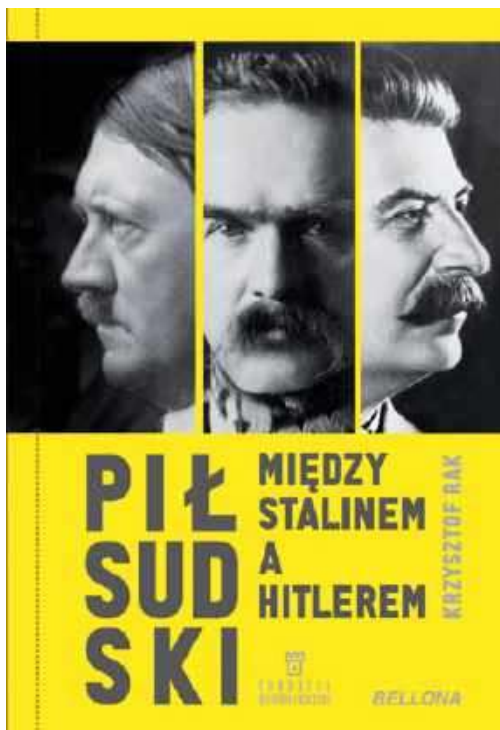
Szwajcarski historyk Jean-François Fayet jest autorem gruntownej monografii „Karl Radek (1885–1939). Biographie politique” (Bern, Peter Lang 2004), która liczy 813 stron. Fayet jako Szwajcar przeprowadził rozległą kwerendę w archiwach moskiewskich i otrzymał od Rosjan z pewnością dużo więcej dokumentów niż każdy Polak, który znalazłby się na jego miejscu. I nie doszukał się oferty sojuszniczej złożonej przez Piłsudskiego Stalinowi. Niestety i ta książka została potraktowana per non est.

Polityka Piłsudskiego – pod piórem dr. Raka – nie miała żadnych niewzruszonych zasad. Sprowadzała się do „kombinowania” między Niemcami a Sowietami. A skoro tak było, to znaczy, że Polska Piłsudskiego nie miała żadnej polityki zagranicznej godnej tego miana. Oczywiście nie ma na to zgody. Piłsudski nie miał innej wizji Polski w stosunkach międzynarodowych jak tylko takiej, która próbuje odgrywać rolę trzeciej siły między Niemcami a Związkiem Sowieckim i nie może zaciągnąć zobowiązań na rzecz jednego z tych mocarstw przeciw drugiemu. Takie zobowiązania byłyby sprzeczne z polską racją stanu,

pojmowaną przecież nie tylko przez Piłsudskiego, lecz i zdecydowaną większość, jeśli nie całość polskich elit. Trzymając się tezy o złożonej Radkowi przez Marszałka propozycji sojuszu militarnego ze Związkiem Sowieckim, określanej zresztą jako „jeden z najbardziej błyskotliwych manewrów dyplomatycznych” w wykonaniu Piłsudskiego, autor brnie dalej. Sam sobie odpowiada na pytanie, dlaczego w spisanych później relacjach ludzie tacy jak Bogusław Miedziński czy Józef Beck fakt ten ukrywali i „mijali się z prawdą”, bo przecież na pewno nie zawiodła ich pamięć: „Być może chodziło o to, że dla antysowiecko i antykomunistycznie nastawionych Polaków na emigracji byłoby szokiem, że Józef Piłsudski układał się z wielkim wrogiem Polski, Józefem Stalinem” (s. 780–781). W taki oto kuriozalny sposób można rewidować historię, spychając na margines źródła niepasujące do założonej tezy, a podciągając pod nią inne przekazy. Całe to twierdzenie jest tylko śmieszne.

Inny czytelny zabieg dr. Raka to usiłowanie, aby przeciwstawić „dobrego Piłsudskiego złemu Beckowi” – który nieopatrznie wpędził Polskę w katastrofę już cztery lata po śmierci swego mistrza. Także tu nie ma na to zgody. Beck prowadził swoją politykę według tych samych założeń i w oparciu o tę samą szkołę myślenia co Piłsudski.

Praca Krzysztofa Raka traktuje głównie o polityce Piłsudskiego, ale do roli antybohatera polskiej historii wybrał autor Aleksandra Skrzyńskiego, ministra spraw zagranicznych i premiera rządu Polski „przedmajowej”. Skrzyński rzekomo straszliwie zawinił, bo na konferencji w Locarno Polska poniosła klęskę. Przyjęto pakt reński jako umowę gwarancyjną, na mocy której Niemcy dobrowolnie i uroczyście potwierdziły, że uznają granicę z Francją i Belgią za ostateczną, tak jak została ona wytyczona traktatem wersalskim. Dr Rak nie odczuwa najwidoczniej potrzeby, aby postawić sobie pytanie, co mógł zrobić polski minister spraw zagranicznych, kiedy główne mocarstwa (Francja, Wielka Brytania, Wło-



chy i Niemcy) dogadały się zaocznie, a była to uгода kosztem interesów Polski. Co należało zrobić? Tego się nie dowiadujemy. Można oczywiście poddawać krytyce taktykę Skrzyńskiego, który do końca informował rząd i Sejm o dobrym położeniu spraw Polski, tłumacząc przy tym, że samo Locarno jest w sumie korzystne, gdyż reński układ gwarancyjny stanowi preludium systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie, który kiedyś powstanie, a Polska będzie jego beneficjentem. Ale to już inna sprawa. Jak łatwo jest ferować oceny, kiedy to nic nie kosztuje, a nawet przynosi poklask...

* * *

Chcemy tu podkreślić bardzo ważną kwestię. Otóż nie chodzi nam o interpretację historyczne. Krzysztof Rak, czy ktokolwiek na jego miejscu, ma prawo sądzić, że Polska powinna była zawrzeć sojusz z Sowiecami w roku 1933 albo np. wejść w porozumienie antysowieckie z Niemcami po roku 1934. Ma prawo uważać, iż dotychczas o Józefie Becku nikt niczego istotnego nie powiedział i temat leży odłogiem. Ma też prawo mówić (w tym wypadku nawet

śluszenie), że postęp historiografii sprowadza się w dużej mierze do rewizji poglądów tych, którzy przed nami danym zagadnieniem się zajmowali. O to nie mamy pretensji. Chodzi nam jedynie o fakty, które w ocenianej przez nas książce rzekomo zostały ustalone, podczas gdy w rzeczywistości ich nie było.

Wszystkie te uwagi prowadzą do jednej zasadniczej refleksji. Chodzi o problem odpowiedzialności za słowo. To ma rozstrzygające znaczenie. W tym zakresie niezbędna jest dyscyplina. Celowanie w pseudonaukowe efekciarstwo poprzez wyczytywanie ze źródeł tego, co chce się z nich wyczytać, selektywny dobór literatury i odrzucanie lekką ręką ustaleń poprzedników musi prowadzić na manowce.

Gdyby wyciągnąć z książki Raka to, co jest jej esencją – wszystko układa się w prostą narrację: Piłsudski proponował sojusz Sowiecom, Hitler – Polakom, Stalin – Niemcom, Niemcy Francuzom itd. Se non è vero, è molto ben trovato... (Z tego powodu taki, a nie inny tytuł niniejszych uwag).

Uwagi niniejsze nie mają na celu zwalczania innych – konkurencyjnych w stosunku do naszych – poglądów na dyplomację i politykę II Rzeczypospolitej. Że tak nie jest – daliśmy jednoznaczny dowód w ubiegłym roku. Kiedy dr Rak zwrócił się do nas o udostępnienie przed drukiem dokumentów zebranych do publikacji dokumentów do stosunków polsko-sowieckich 1918–1945 (wówczas już opracowanych, złożonych w Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, ale jeszcze niewydanych), udostępniliśmy je mu, bez żadnych wahań, wyraźnie wykraczając poza ogólnie przyjęte praktyki w środowisku akademickim. Świadczy to z pewnością o najlepszej woli. W ocenie książki „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem” przyświeca nam jedynie troska o wiarygodność i wizerunek historiografii polskiej. Dzisiaj o przeszłości można powiedzieć wszystko. No może prawie wszystko. Otóż nie ma na to zgody. Nie idźmy tą drogą. Tak nie wolno.

Marek Kornat
Mariusz Wołos

K

ULTURY

*Tegoroczne
festiwalowe
Cannes wpisało się
w nieokiełznany,
czasem szokujący
efektami klimat
trwającego właśnie
lata. Uwolniło żywioły,
podniosło temperaturę
nie tylko filmowych
sporów. Gorąco
było również na
czerwonym dywanie*

Z siłą żywiołu

Julia Ducournau
i Sharon Stone



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Gdyby nie przesunięty o dwa miesiące festiwal, wakacyjne „ogórki” – jeszcze w postcovidowym osłabieniu – byłyby w tym roku bardzo mdłe. A tak amerykańskie gwiazdy, ich dzieci, a nawet... psy mogły zabłysnąć na europejskim czerwonym dywanie, a wyrosłemu z niezależnego kina hollywoodzkiemu reżyserowi Spike'owi Lee, jako przewodniczącemu jury głównego konkursu, udało się popełnić spektakularną gafę podczas finałowej gali.

Przedwcześnie zdradzając, kto dostanie Złotą Palmę, przyćmił sukces Julii Ducournau. Najmłodszej, 37-letniej, twórczyni startującej w głównej rywalizacji, reżyserki budzącego w Cannes najwięcej kontrowersji filmu „Titane”, przede wszystkim jednak drugiej w historii imprezy kobiety nagrodzonej najważniejszą nagrodą festiwalu (szlak



Tahar Rahim, Spike Lee, Melanie Laurent i Song Kang-ho

przetarła w 1993 r. Jane Campion i jej „Fortepian”).

TAJFUN POD CZASZKĄ

Ducournau wyzwoliła w Cannes siłę niszczycielskich żywiołów. Powiedzieć, że wprowadziła na ekran morderczynię (pozbawiając życia za pomocą szpilki do włosów i uprawiając seks z samochodami), to nie powiedzieć nic.

„Żadne streszczenie nie unaoczni rozmiarów tajfunu, który szaleje pod czaszką Ducournau” – napisał jeden z polskich

krytyków. Inny nazwał film Francuzki „połączeniem kiczu, taniego SF, horrorów klasy B zmieszanych z ideologią LGBT oraz doprowadzoną do absurdu filozofią gender”, zaznaczając jednocześnie, że ta obrazoburcza produkcja jest w przewrotny sposób... pochwałą tradycyjnych wartości. Natomiast brytyjski „The Guardian” napisał, że „Titane” to film „głupi i niepotrzebny”.

Czas pokaże, czy odsądzeni od czci i wiary przez znaczną część odbiorców zarówno obraz, jak i jego twórcy przejdą do historii kina tak, jak choćby bulwersujące widzów Cannes w 1994 r., a mimo to nagrodzone Złotą Palmą „Pulp Fiction” Quentina Tarantino czy wyróżniona tym najważniejszym trofeum cztery lata wcześniej „Dzikość serca” Davida Lyncha.

CZAS MONSTRUM

Julia Ducournau – wizerunkowo skrajnie różna od szalonych wizji, jakie zaprezentowała na ekranie – już w tytule poniekąd oceniła świat swojej bohaterki i ją samą. Czy także przewidziała przyszłość – ich i filmu? W końcu mocarni greccy prabogowie, do których się odniosła, po spektakularnym buncie zostali strąceni przez Zeusa do Tartaru, by cierpieć wiecznie w najmroczniejszej krainie podziemia. Przywołanie ich w nazwie niezniszczalnego ponoć statku też nie okazało się dobrą wróżbą.

Jednak podczas ceremonii zamknięcia 74. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes przede wszystkim święciła swój triumf. Odebrawszy nagrodę



Pedro Almodóvar i Jodie Foster

z rąk hollywoodzkiej gwiazdy Sharon Stone, stwierdziła: „Ten wieczór jest niesamowity. To wręcz surrealistyczne przeżycie”. Wspomniła też, że canneńskie ceremonie oglądała od dziecka. „Myślałam wtedy, że wszystkie nagrodzone filmy są idealne. Mój taki nie jest. Dziękuję członkom jury, że chcą oglądać na ekranie również inny świat, doceniają różnorodność kina i nie boją się nawet monstrów” – dodała.

KIEDY W POLSCIE

„Titane” Julii Ducournau oraz „Memorii” Apichatponga Weerasethakula, laureata Nagrody Jury, mają już dystrybutora (Stowarzyszenie Nowe Horyzonty). Nie wyznaczył on jednak daty ich polskiej premiery. Najszybciej, bo już 20 sierpnia, trafi na nasze ekrany nagrodzona za reżyserię (dla Leosa Caraxa) „Annette” z Adamem Driverem i Marion Cotillard. Gutek Film wprowadzi też do kin: uhonorowanego Grand Prix (ex aequo z „Compartiment N°6” Juho Kuosmanena) „Bohatera” irańskiego twórcy Asghara Farhadiego, a także obrazy: „Nitram” (nagroda dla najlepszego aktora – Caleba Landry’ego Jonesa) oraz „Drive My Car” – adaptację opowiadania Harukiego Murakamiego (nagroda za najlepszy scenariusz). Nie ma jeszcze polskiego dystrybutora filmu „Najgorszy człowiek na świecie” Joachima Triera (z najlepszą żeńską rolą Renate Reinsve).

W BLASKU FLESZY

Oczywiście Cannes to nie tylko filmy. Tegoroczny festiwal – co podkreślały w relacjach kolorowe media – ewidentnie „odbijał” sobie czas pandemicznego zamknięcia i edycję odwołaną w ubiegłym sezonie. Gwiazdy i gwiazdki starały się, jak mogły, zabłysnąć na czerwonym dywanie.

Jedne przyciągały uwagę wyszukаныmi kreacjami (zachwyty wzbudzała m.in. Sharon Stone – zarówno w podkreślającej sylwetkę wersji „cała na białe”, jak i błękitnej tiulowej kreacji „obsadzonej” kwiatami, czy wystylizowana na grecką boginię modelka Georgina Rodriguez, partnerka Cristiana Ronaldo), inne... brakiem pruderii. Wyjątkowo dużo odsłaniały wędrujące przed fotorepor-

terami celebrytki. Zupełnie inaczej niż Tilda Swinton, która postawiła na elegancką wersję koszuli i spodni oversize czy asymetryczny garnitur. Z kolei Andie MacDowell z klasą obnosiła wyraźnie zaznaczający się w tym roku trend – siwiejące włosy, nieukrywane pod koloryzacją. Białe pasemka można było też dostrzec we fryzurze Stone.

CÓRKI I PUPILE

Swoje pięć minut na czerwonym dywanie miały w Cannes córki Jude’a Lawa, Tildy Swinton, Julii Roberts oraz Seana Penna. Oprócz znanych powszechnie wyróżnień przyznano także nagrody, jak się okazuje, obecne na imprezie od 20 lat. Chodzi o tzw. Palm Dog – dla najlepszego psiego aktora na dużym ekranie. Stylowa czerwona obroża trafiła tym razem do trzech psów rasy springer spaniel angielski, pupili Tildy Swinton. Snowbear, Dora i Rosy wystąpiły u jej boku w filmie Joanny Hogg „Pamiętka: Część 2”.

„Wyczekiwałyśmy tej nagrody od lat” – stwierdziła aktorka, której w Cannes towarzyszyła córka (również występująca we wspomnianym filmie). Wędrując na galę, Honor Swinton Byrne skupiła uwagę fotoreporterów na... swoim udzie.

Niczym podwiązkę, zgrabnie umieściła na nim elegancką minitorebkę.

ZŁOTO PALMY I LWA

W zupełnie innym klimacie Honorową Złotą Palmę za całokształt twórczości – poza włoskim reżyserem, scenarzystą i producentem Marco Bellocchiem – odebrała na Lazurowym Wybrzeżu Jodie Foster, która pierwszy raz pojawiła się w Cannes jako 13-latka. Było to w maju 1976 r., gdy najważniejszą nagrodę festiwalu przyznano „Taksówkarzowi” Martina Scorsese’go.

Teraz statuetkę otrzymała z rąk Pedra Almodóvara. Gościem specjalnym wieczoru był również Bong Joon-ho, zdobywca Oscara i laureat Złotej Palmy z 2019 r. za „Parasite”.

Obaj reżyserzy pojawiają się już niedługo na innej ważnej filmowej imprezie. Bong Joon-ho stanie na czele jury konkursu głównego, a najnowsze dzieło Almodóvara – „Madres paralelas”, w którym główną rolę gra wieloletnia muza reżysera Penélope Cruz – otworzy 78. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji. Powalczy też o Złotego Lwa w konkursie głównym imprezy, która potrwa od 1 do 11 września.



Marion Cotillard i Adam Driver

„Rojst 97” - smutek transformacji

Czekalem na serial „Rojst 97” na Netflixie. Poprzedni, bezprzymiotnikowy „Rojst” zrobił na mnie duże wrażenie. Recenzję zatytułowałem wtedy „Smutek PRL”.

Jan Holoubek, syn pary sławnych aktorów, był w 1984 r. dzieckiem i nie oglądał PRL z perspektywy prowincji. A jednak coś uchwycił. I z klimatu przemocy wyzieraającej zza szarych brzydkich blokowisk otoczonych lasem. I z bezradności ludzi próbujących w takich klimatach żyć przyzwoicie.

Tu mamy rok 1997. To samo miasto na Ziemiach Odzyskanych jest nadal brzydkie, co potęgują jeszcze plenery powodziowe, bo śledztwo w sprawie śmierci 12-letniego chłopca toczy się w środku autentycznego kataklizmu. Rządzą wciąż ci sami ludzie. Policja i prokuratura są nastawione na to, aby niczego nie wyjaśnić. W tle mamy gorzką refleksję na temat wczesnej transformacji. Nadal bieda i nadal bezwzględne, chociaż już sprywatyzowane interesy.

Mało mamy takich obrazów niedawnej przeszłości. Znowu ogarnia nas bezbrzeżny smutek, zwłaszcza że w absurdalnych okolicznościach ofiarą staje się – jak w części pierwszej – dziecko. Na dokładkę Holoubek, także współautor scenariusza (z Kacprem Bajonem), jest rzadkim mistrzem błyskawicznej obserwacji, dygresji, chwytania drugiego planu – bez tego filmowe opowieści stają się sztuczne. Tu jest tego pod dostatkiem.

Czy nie mam wątpliwości? Dobrze, że zmieszczono to w sześciu odcinkach, a nie rozciągano sztucznie jak inne tego typu seriale. Pozostało wszakże kilka momentów niejasnych lub naciąganych.

Z rzeczy ważniejszych: mroczną tajemnicą miasta mają być tragiczne losy tutejszych Niemców, przecież jeden z głównych bohaterów, dziennikarz Wandycz (Andrzej Seweryn), kochał się w młodej Niemce. Są oni ofiarami głównie Sowietów, a jednak ów mrok w scenach retrospektywnych, pokazany bez dostatecznych historycznych tłumaczeń, chyba niespecjalnie pomaga młodym zrozumieć fenomen drugiej wojny światowej.

Pcha mnie i do polemik z wątkami współczesnymi. Tym razem mamy lesbijską miłość, ciekawe, na ile wątek wsadzono tu z przekonania twórców,

a na ile z powodu misji cywilizacyjnej Netflixu. Kończy się to puentą chyba zbyt progresywną jak na rok 1997. Na dokładkę Holoubek zdaje się przekonywać, że uczucie usprawiedliwia rozbicie rodziny, w której ważną rolę odgrywa dziecko. Choć tu, prawda, nie stawia kropki nad i.

Wspaniale są role. Andrzej Seweryn tym razem nieco schowany, choć nadal świetny. Dawid Ogrodnik, jako młodszy z dziennikarzy, tworzy postać bogatą, odrobinę przerysowaną, ale w dobrym stylu. Sugestywna jest Magdalena Rózczyńska jako przyjezdna policjantka, ale wszystkich przyćmiewa Łukasz Simlat jako nieudaczny, pełen zahamowań policjant Mika. To prawdziwa kreacja.

Umiejętności Holoubka to precyzyjne wykorzystanie aktorów drugoplanowych. Mariusza Jakusa jako Jaszczura, byłego milicjanta, Artura Dziurmana jako groteskowego komendanta policji, Ireneusza Czopa jako mrocznego prokuratora Wareckiego czy Łukasza Lewandowskiego jako pozbawionego empatii lidera tutejszych Świadków Jehowy. Jedyń w swoim rodzaju gwiazdą jest przewijający się w kilku scenach Piotr Fronczewski, nadal kierownik hotelu Centrum. Show kradnie w pewnym



momencie Piotr Trojan jako niestabilny psychicznie Dario. Reżyser chwycił go jako Tomka Komendę i już nie puścił.

Michał Pawlik (policjant Dzik) czy Cezary Kołacz (Barman) – niby te nazwiska nic nie mówią, a przecież Pawlik zabłysnął już jako młody policjant w filmie „Supernova”, Kołacz zagrał świetnie Natana w „Sędziach” w Teatrze Ludowym w Krakowie. Nawet postaci pokazane przez moment niosą jakąś prawdę o człowieku. Za to podziękowania!

Piotr Zaremba

Kupuję lokalnie – nie marnuję żywności

Polacy stają się coraz bardziej świadomymi konsumentami. Według badania przeprowadzonego w ramach kampanii Wybieram Lokalne blisko trzech na czterech Polaków twierdzi, że robi świadome zakupy. Tym wyborem przyczyniają się również do zmniejszenia marnowania żywności

Swiadome zakupy to nie tylko przemysłowa lista i nie uleganie impulsom zakupowym. To przede wszystkim zwracanie uwagi na jakość i pochodzenie produktów, które wkładamy do sklepowych koszyków. Polacy chętnie wybierają produkty od polskich lokalnych producentów z przekonaniem, że w ten sposób nie tylko wybierają świeżość i dobry smak, lecz również wspierają rozwój lokalnej gospodarki, przyczyniają się do ochrony środowiska i czynią starania, aby przeciwdziałać marnowaniu żywności. Nie do przecenienia jest również to, że kupowanie lokalnej żywności istotnie zmniejsza tzw. ślad węglowy, czyli ilość całkowitej emisji gazów cieplarnianych podczas pełnego cyklu życia produktu (przedsiębiorstwa).

PATRIOTYZM GOSPODARCZY

Najnowsze badania pokazują ważny trend: w oczach konsumentów coraz bardziej istotna staje się jakość produktów i dodatkowe korzyści, jakie wynikają z takiego wyboru. Kluczowa jest świeżość – tak wskazuje ponad 64 proc. Polaków oraz długi termin ważności – na który zwraca uwagę jedna trzecia rodaków. Liczy się również to, aby kupowany produkt pochodził z Polski – deklaruje 32 proc. respondentów, najlepiej od lokalnego lub regionalnego dostawcy – mówi co czwarty Polak. Jak widać, patriotyzm gospodarczy cenimy znacznie wyżej niż modę: znana marka produktu jest ważna przy zakupach jedynie dla 17, 6 proc. Polaków.

W zeszłym tygodniu premier Mateusz Morawiecki gościł w gospodarstwie w Marianowie Brodowskim. Podczas zorganizowanej tam konferencji prasowej podkreślał zakupową świadomość Polaków sprawdzających, czy wkładają do koszyków żywność polskiego pochodzenia.

– Ten trend rośnie. Coraz częściej patrzymy, czy to jest polskie, czy to jest zdrowe, czy to jest ekologiczne. Mogę powiedzieć: jak jest polskie, to zawsze jest najzdrowsze, najsmaczniejsze, najbardziej ekologiczne – zapewniał szef polskiego rządu.

Premier zapowiedział rozwiązania w Polskim Ładzie wspierające rolników. Sprzedaż produktów z gospodarstw rolnych na terenie całej Polski ma być nieopodatkowana do 100 tys. zł.

– To możliwość skrócenia tej drogi od pola do stołu, po to, żeby ta marża, ten zysk dla polskiego rolnika – nie dla pośredników, często zagranicznych – był największy. O to się bijemy, o to się bijemy też na polu międzynarodowym – podkreślił premier.

LOKALNOŚĆ W WALCE Z MARNOTRAWSTWEM

Trzeba przyznać, że wzajemne wsparcie podczas pandemii zdało egzamin. Polacy zaczęli wybierać lokalne, małe sklepy, blisko ich miejsca zamieszkania, które oferują dobre jakościowo produkty pochodzące z regionu. To, co dobre dla rolnika, jest też dobre dla konsumenta i korzystne dla gospodarki, m.in. w obszarze marnowania żywności. To właśnie lokalne produkty mają według Polaków mnóstwo zalet. Ponad 57 proc. z nas wskazuje, że produkty pochodzenia lokalnego są świeższe, a dla niemal 42 proc. – smaczniejsze. Bardzo doceniamy fakt, że często zawierają one mniej środków konserwujących, gdyż ich droga na nasz stół jest znacząco krótsza i nie wymaga wielodniowego transportu – co potwierdza 30,8 proc. wskazań. Lubimy też ich cenę – jedna trzecia Polaków uważa, że jest ona korzystna. Odgrywa to ważną rolę w przypadku owoców i warzyw, po które to właśnie teraz, w sezonie letnim, najchętniej sięgają Polacy. Świeższe, pozbawione konserwantów produkty smakują inaczej. Kupujemy je też w ilości potrzebnej na najbliższe godziny – jutro będzie przecież dostawa zebranych tego dnia rano warzyw i owoców. Kupując lokalnie, wiemy, że nawet niedoskonały kształt jest dziełem natury, a nie efektem zgniecenia w ładowni podczas transportu. Z nadmiaru pachnących zbiorów robimy przetwory, mrożonki. To wszystko sprawia, że odpadów kuchennych jest bardzo mało, a my nie przykładamy ręki do marnotrawstwa żywności.

Takie podejście pomaga rozwijać także Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki, wspierając budowę infrastruktury technicznej służącej pozyskiwaniu, magazynowaniu oraz dystrybucji niespożytych/niesprzedanych artykułów żywnościowych. Beneficjentami programu są organizacje non profit posiadające osobowość prawną, status opp oraz pełniące funkcję banków żywności.

W ramach dotychczasowych naborów NFOŚiGW podpisał 80 umów na dofinansowanie przedsięwzięć wspierających prace banków żywności na kwotę ok. 75,7 mln zł.

Wolność i Radość w pakiecie

Olgę Boznańską molestował ojciec. Dziecko, broniąc się, wydoskonalilo zdolność czytania mowy ciała. Dziewczynka potrafiła zauważyć i zareagować na mikronowy ruch brwi oprawcy. Czytała najlżejszy gest tak, że jej wczucie, jej empatia mogły wydawać się nadprzyrodzone. Dorosła, na namalowanie portretu poświęcała kilkanaście, nawet kilkadziesiąt sesji. Wchodziła z portretowaną osobą w relację i gdy już czytała w jej duszy jak w zeszytce w trzy linie, tworzyła tej duszy portret. Mówiła: malowanie zaczyna się od oczu. Popatrzenie na uwiecznionych przez nią ludzi. Na nadmysłową niemal prawdę tych nieśmiertelnych portretów.

Magda po sposobie naciśnięcia dzwonka wiedziała, czy matka wraca pijana, czy trzeźwa.

Ania, Kaszubka, była bita jako dziecko. Dziś pomaga kilkunastu fundacjom opiekującym się psami. Bierze do swojego gospodarstwa zwierzęta agresywne i najczęściej duże. Takie, z którymi nikt inny sobie nie radzi. Część z nich prostuje wewnętrznie, odbudowuje, więc znajdują nowych właścicieli. Te, które mimo ciężkiej pracy wchodzi w zdrową relację jedynie z nią, zatrzymuje w swoim domu na górze nad jeziorem. Uspiała w ciągu kilkunastu lat pracy tylko jednego zwierzęcia. To była sprawa neurologiczna, nieodwracalne, głębokie zmiany: trzy miesiące bez jakiegokolwiek kontaktu psa z jakimkolwiek człowiekiem i agresja w momentach absolutnie nieprzewidywalnych.

– Powiedziała pani, żeby zostawił piłkę. Natychmiast napiął się i pochylił na szerzej rozstawionych nogach. Jego ciało mówi: „Zrobię, co zechcę. To moja piłka, a ty, kobieto, jesteś moim zasobem” – wyjaśnia komunikat, który nadaje potężny, stusześciokilowy biały mastif angielski właścicielce, która zmuszona była go od-

dać, ponieważ pogryzł jej dziecko. Ania widzi i wie, jak to wykorzystać. Rozumie agresję, była jej ofiarą.

Olga Boznańska miała potwornie potrzaskane życie. Została poraniona przez ojca tak, że nie była w stanie wejść w normalną relację z mężczyzną. Skończyła jako samotna dziwaczka, której dobre serce i naiwność wykorzystywały sępy. Ale zostawiła po sobie nieskończone piękno. Jej genialne portrety świadczą, że wykorzystała swoje zranienie, by stworzyć nieobjęte sercem piękno.

Są ludzie, którzy mają szczęście i nieporanieni pomnażają dary Boże swoją pracą. Święta Kinga była staromodną dziewczicą i najsukuteczniejszym menedżerem w XIII-wiecznej Polsce. Postawiła na nowoczesny biznes solny. Z zysków fundowała kościoły i szpitale. Lokowała miasta i wsie. Miała tak szerokie serce, że po ponad 700 latach jest dalej w pamięci górników i mieszkańców południa naszego przepięknego kraju.

Inni mają mniej szczęścia. Ale wiem z doświadczenia, że można dzięki łasce wyprowadzić dobro, piękno i prawdę z najgorszego grzechu, swojego czy z cudzego, z potworności, które nas zniszczyły, do głębi istoty poraniły. Można przekuć na dobro, najbardziej perfidne zło, które nas dotknęło albo którym niszczyliśmy innych.

Można też zginąć pod ciężarem cierpienia. Siostra Olgi Boznańskiej, Izabela, popełniła samobójstwo, wcześniej do cna niszcząc sobie życie narkotykami i alkoholem.

Nie wiem, dlaczego umierają w męczarniach niewinne trzymiesięczne czy trzydniowe dzieci. Wiem, że najgorsze zranienie, najbardziej rozdzierające cierpienie można przekuć na dobro. Tajemnicą tej przemiany jest konieczność codziennej współpracy z łaską. Bóg szanuje wolną wolę człowieka, ale szlocha,



ROBERT TEKIELI

współcierpi z krzywdzonymi. Pomaga im, jeśli zechcą nadać cierpieniu sens. Tylko tyle. Aż tyle.

Jak dzięki łasce wyprowadzić dobro, piękno i prawdę z najgorszego grzechu, z potworności, które nas zniszczyły? Odpowiem z doświadczenia mojego pomagania ludziom. Rafał uwolnił się od nadopiekuńczej matki i wziął odpowiedzialność za siebie, a potem za kobietę i wreszcie za dziecko. Karolina podniosła się z ran, które zadał jej i kilkudziesięciu innym dziewczynom pedofil prowadzący znany w południowej Polsce muzyczny zespół dziecięcy. Choć do dziś dwudziestopięcioletnia dziewczyna jeszcze nie odbudowała się całkowicie, bo nie jest gotowa stanąć przed prokuratorem i opowiedzieć o swojej krzywdzie. „Bawiąca się” tarotem i dobrze z tego żyjąca przez jakiś czas Beata wydobyla się z konsekwencji otwarcia się na złego ducha poprzez medytowanie okultystycznych symboli na kartach. Dzięki współpracy z łaską uwolniła się od ciągu nieprawdopodobnej statystycznie liczby negatywnych wydarzeń w życiu.

Jak przebaczyć nieobecnemu ojcu. Albo przemocowemu, który nawet na łożu śmierci skłócał brata z dwiema siostrami? Jak czterdziestolatek może pogodzić się z nadopiekuńczą matką, która zabierała mu w dzieciństwie wolność, nie delegując kolejnych porcji odpowiedzialności? Zapraszam na rekolekcje „Dwa Serca”. Dębowiec, 29 września–2 października tego roku. Więcej informacji: tekieli@tlen.pl

Warte

Książd postmodernista przyjeżdża z Watykanu spacyfikować klasztor, cel pielgrzymek z całego świata, gdzie odprawiane są msze trydenckie. Zbliża się bowiem światowy ekumeniczny kongres katolików z buddystami. I ten kapłan powołuje się na posłuszeństwo! Oto streszczenie filmu z 1973 r. Niesamowite.

Ukazano w nim Kościół przyszłości: zamknięto Lourdes, zakazano spowiedzi indywidualnej, a celem Watykanu jest rewolucja społeczna. Ten wart obejrzenia obraz nosi tytuł „*Katolicy*”, wyreżyserował go Jack Gold, a gra m.in. młodziutki Martin Sheen.

Daleko mi do tradycjonalistów. Gdy przesadzali w krytyce Kościoła czy papieża, dyskusje z nimi kończyłem pytaniem: czy w takim razie Duch Święty dalej jest w Kościele? Ale większość z nich to ludzie blisko Serca Jezusa. Nie będę się rozwoził nad zarządzeniem papieża Franciszka, które ma utrudnić dostęp wiernych do mszy odprawianej półtysiąclecia. Przyjmę w posłuszeństwie i z radością każde rozstrzygnięcie papieża ex cathedra w łączności z Magisterium Kościoła. Ten dokument jednak nie wymaga posłuszeństwa w sensie ścisłym. Przytoczę za to opinię kapłana, który od wielu lat mieszka w Watykanie: „Decyzja tyleż autorytarna, ileż niemądra, gorzej – złośliwa. W Kongregacji ds. Kultu Bożego w ogóle się tym nie zajmowali. Nikt ich o zdanie nie pytał. Ale to typowe dla tego pontyfikatu. Sądzę, że coraz więcej ludzi dostrzeże, iż to całe gadanie o kulturze spotkania, dialogu, decentralizacji, synodalności, to zasłona dymna, by popychać kolanem zmiany w duchu liberalno-lewicowym. Niektórzy tradycjoniści dali Watykanowi kij do ręki w postaci swoich agresywnych wypowiedzi negujących nie tylko mszę posoborową, lecz cały Sobór Watykański II. To rzeczywisty problem. Tyle że zastosowano lekarstwo gorsze od choroby”. Zderzenie dwóch wizji Kościoła? Modernizm walczył z wiarą. Postmodernizm walczy z wiarą. Papolatria jest herezją. Tak samo sedewakantyzm.

Warte

Godziwa rozrywka? Może coś więcej. Siadając przed telewizorem, szukamy odprężenia, odmóżdżenia, oderwania się od spraw. I raczej myśleć będziemy, że kino, że film ma szansę być dziełem kultury. Taka „Ziemia obiecana” czy „Siedmiu wspaniałych”. Ale telenowela? Czymś więcej niż popkultura?

Zrobiony dla BBC serial „*Ripper Street: Tajemnica Kuby Rozpruwacza*” od początku był czymś więcej. I, zgodnie z popkulturową zasadą, im głupiej, tym lepiej, skończyłby swój żywot po drugim sezonie. Jednak fani, mimo spadającej oglądalności, wymusili kontynuację produkcji. Zmienił się producent, ale jakość została. Jak mówi Dariusz Sz., „*Ripper Street*” robi różnicę.

Próbowały się dobrać doń feministki, bo zbyt uproszczone postaci kobiece. No ale ludzie, co skomplikowanego jest



w ucieczkowej dziewczynce skrzywdzonej przez Piotrusia Pana lub słabosilnego Dartha Vadera – przemocowego ojczaszka? By stać się kobietą, potrzebuje miłości, jak każdy.

W „*Ripper Street*” mamy genialnie oddaną atmosferę wiktoriańskiego Londynu. Całkowicie egzotyczny dla nas świat, w którym dziecko może umrzeć z głodu. Bo alternatywą

jest złodziejstwo albo prostytuowanie się, a do tego nie każdy ma talent. Co odcinek, to nowa zagadka kryminalna. Jest mocny inspektor, wyrazisty sierżant i kurwa o złotym sercu. Jest i lekarz – naukowiec.

Mamy sławnego na cały świat, nigdy nieschwytanego seryjnego mordercę. Może to następca brytyjskiego tronu, a może polski emigrant żydowskiego pochodzenia. Jest więc wszystko, o czym plotkujemy na pogrzebie znajomego, u pedikurzystki, barbera czy w maglu.

W serialu grają, świetni, Jerome Flynn, Matthew Macfadyen, MyAnna Buring. Ale Adam Rothenberg, Joseph Mawle i, szczególnie, Amanda Hale też dają radę.

Wyrafinowanie, jakość, fabuła, obsada, muzyka, zdjęcia! Serial został nagrodzony irlandzkimi Oscarami, m.in. za genialną charakterystykę i scenografię. Dzięki nim wierzymy w realność świata wykreowanego w dawnych koszarach wojskowych Clancy Barracks w Dublinie. Kryminalne zagadki są wciągające, psychologiczna nić plecie się dobrze. Nawet oglądany tysięczny raz romans policjanta z prostytutką poprowadzony jest w sposób, który nie bardzo nudzi.

„*Ripper Street*” został napisany i wyreżyserowany przez Richarda Warlowa. W latach 2012–2016 doczekał się pięciu sezonów. Po polsku można było go oglądać m.in. na platformie Showmax. Dziś jednak serialu nie grają najpopularniejsze platformy VOD w Polsce: Netflix, HBO GO, Amazon Prime Video, Chili, Cineman, Ipla, Rakuten, iTunes, Player, VOD.pl, TVP VOD, Apple TV+, PLAY NOW, Canal+. Nie ma go też CDA Premium, Ninateka, E-Kino Pod Baranami, MOJEKINO, Nowe Horyzonty, Pięć Smaków, VOD.MDAG.PL, Outfilm. Ktoś, coś? Pyta zainteresowany powtórką z rozrywki

Robert Tekieli, Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Czapski - Hermes

Ta książka to doskonała praca z zakresu historii kultury. Lecz i coś znacznie więcej: wykraczająca poza determinanty polityki koncepcja rozmawiania z Rosją

Józef Czapski należy do tych obecnych jakoś w pamięci i wyobraźni zbiorowej: „jakoś” jest tu jednak, niestety, słowem nieuchronnym. Najczęściej obecny jest w wylizankach: tych poświęconych „Kulturze” („współzałożyciel, członek redakcji...”), Katyniowi („cudem ocalony, Gruzowiec, »Na nieludzkiej ziemi«”), ewentualnie malarstwu („ka-piści...”). Czasem jeszcze zajmą się o nim historycy ziemiaństwa, czasem specjaliści od „białej” Rosji czy „Dzienników” Dąbrowskiej lub admiratorzy eseistyki Wojciecha Karpińskiego. Jego miękkość, nieraz na granicy nieporadności (miękkość życiowa – i miękkość podbródka), fakt, że większość dziś żyjących czytała o Czapskim jako o starcu, po wielokroć przywołującym dawne zachwycenia, utrudnia dostrzeżenie, że był jedną z osiowych postaci kultury polskiej XX w.: tyleż przez swoje dokonania, ileż wielość spraw, ludzi, redakcji, książek, które przywoływał i nagłaśniał. Monarcha (jak chciał Zagajewski w wierszu poświęconym jego pamięci), ale i Hermes: niestrudzony pośrednik, pomocnik i poszukiwacz.

Jego „Dzienniki”, niemal nieczytelne, od wielu lat odcyfrowywane przez Janusza i Marię Nowaków, mają szansę stać się – mimo niemałej przecież konkurencji – najwybitniejszym dziełem polskiej diarystyki. Jeśli się tak stanie, to za sprawą przedziału czasu, jaki obejmują, wielości tropów i języków, ale też – niepowtarzalnej zdolności Czapskiego (czasem pobłażliwie i myl-

nie określanej mianem „bycia wiecznie młodym”) do odkrywania i zachwytu, jego wolności od zastygnięcia w dostojnej pozie. „Był sobą, choć doszedł do tego z trudem” – od tych słów rozpoczyna się książka Piotra Mitznera, ukazująca, w jak wielkim stopniu częścią tego stawiania się było dla Czapskiego doświadczenie Rosji.

Niekoniecznie musiało się tak stać. Nauki w petersburskim gimnazjum, Korpus Paziów – to nic takiego, to zdawało się tysiącom paniczków z dobrych, kresowych domów, dając im znajomość języka, lektur, obyczajów, lecz pozostawiając Rosję w funkcji tła, rzeczywistości nie swojej, nawet jeśli znajomej. Podobnie (dokonując skoku w czasie i w biografii Czapskiego) doświadczenie Rosji już nie srebrnego wieku, lecz sowieckiej, nieludzkiej – dane było setkom tysięcy Polaków, rodząc w nich najczęściej lęk

i odrazę, w najlepszym razie – solidarność z rosyjskimi ofiarami komunizmu.

Tyle że w przypadku Czapskiego jest inaczej: ci, którzy trochę bodaj obcowali z jego spuścizną, zdają sobie sprawę, że Rosjanie towarzyszyli mu w jego poszukiwaniach duchowych, byli mu w nich przewodnikami. Można oczywiście spekulować, co by się stało, gdyby wchodzenie w dorosłość człowieka o wrażliwości Czapskiego dokonywało się w jakimś szczęśliwszym i spokojniejszym kraju (choć niełatwo było w Europie o spokój w roku 1918). Ale to gdybanie: to w rewolucyjnym Piotrogradzie usiłował założyć tołstojowski, ewangeliczny falanster. To tam w dniach grozy i głodu trafił na Dymitra Mereżkowskiego, który z Tolstoja „leczyć” go będzie Dostojewskim, Nietzschem i Rozanowem. Przezeń zaś – na Dymitra Filosofova, najwybitniejszego wśród „białych” Rosjan czynnych w II RP, którego po latach uznał również za swego najważniejszego przewodnika religijnego.

„Ludzie z nieludzkiej ziemi” to mistrzowska warsztatowo rekonstrukcja spotkań, korespondencji i rozmów Józefa Czapskiego z dziesiątkami Rosjan. Spotkań najbardziej znanych, emblematicznych (Filosofów, Achmatowa, Remizow, Heller), ale i takich, o których dowiadujemy się dopiero z tej książki. To panorama relacji z emigracją rosyjską dwudziestolecia, działań Czapskiego podczas andersowskiego „interludium” w Taszkencie, kontaktów z emigrantami powojennej, drugiej i trzeciej fali, zakonspirowanych kon-



Piotr Mitzner, „Ludzie z nieludzkiej ziemi. Rosyjski krąg Józefa Czapskiego”, PIW, Wydawnictwo Naukowe UKSW, 2021

taktów z moskiewskimi dysydentami. Od szerokości tej panoramy ważniejsza jest intensywność kontaktów: Józef Czapski nigdy nie był politykiem ani redaktorem, niemal każde świadectwo tych relacji mówi o spotkaniu z nim jako o doświadczeniu duchowym.

A zarazem – chcę to mocno podkreślić – praca ta nie jest jedynie świetnym dokonaniem badacza archiwów i hermeneutyka, katalogiem kontaktów. Ukazuje ona Czapskiego jako praktyka szczególnej (czy możliwej do naśladowania?) rozmowy z Rosją.

Cudem ocalały więzień Gruzowca, dwukrotnie świadek masakry bliskich

(na ćwierć wieku przed Katyniem, w 1918, poszukiwał kolegów z pułku Ułanów Krechowieckich, rozstrzelanych pod Archangielskiem) był Czapski immunizowany na tanią, sentymentalną rusofilię, zdarzającą się Polakom (zazwyczaj nie bez dyskretnego wsparcia) na podłożu a to podszytego panslawizmem poczucia wspólnoty kulturowej, a to lęków przed „straszynem Zachodem”. Zarazem – był doskonale wolny od żywiącej się pogardą wobec „kacapów” rusofobii. Rosja, której doświadczył niezwykle szeroko (od apokaliptycznego Piotrogradu po salony Taszkientu, od suchotnicznych redakcji emigracyj-

nych tygodników po więzienne nary), była dla niego faktem („Nie chodzi o to, czy Kocham Rosję, czy jej nienawidzę. Chodzi o to, że wykreślić jej z historii żaden Polak nie zdoła”) – i spotkaniem, i zadaniem. Zadaniem w znaczeniu politycznym (powtarzana przezeń norwidska formuła o „polskiej partii”, której musimy się w Rosji dorobić!) i dialogicznym – w tym sensie, że ten szczególny zbiór krzywd i bliskości, jakim są relacje polsko-rosyjskie, wymaga zrozumienia, jednakowo wolnego od kapitulancstwa i od tanich wzruszeń. Taka była „droga Czapskiego” – odtworzona i wytyczona po latach. ▶

Archipelagi wysp i gwiazd

Brakuje w Polsce – w sytuacji gdy zbyt rzadko mamy przyjemność czytać nowe eseje pana Andrzeja Dobosza, a pamięć zwischenrufów doktora Niegłowicza dana jest już tylko nielicznym – tekstów pisanych z żartobliwą powagą. Dlatego tak cenny okazuje się szkic Pierre’a Bayarda: francuski literaturoznawca, znany już w Polsce za sprawą perelki „Jak rozmawiać o książkach, których się nie czytało” (PIW, 2008) pisze cum grano salis – a nawet uznać można, że hojniej jeszcze przechyla solniczkę, dowodząc, że fizyczna obecność w miejscach, które się opisuje, nie tylko w wielu przypadkach okazuje się uciążliwa, nie tylko NIE jest niezbędna, lecz wręcz bywa szkodliwa i niepotrzebna!

Patronów tego paradoksalnego przedsięwzięcia ma Bayard niebyle jakich: rozróżniając sposoby niepodróżowania, bierze na warsztat (nie) dokonania m.in. Marco Polo, Chateaubrianda czy Margaret Mead, uprzejmie i bezlitośnie demaskując ich zmyślenia. Dodać trzeba, że o ile Marco Polo już dawno wybaczone uroczce kompilacje o jednorożcach, o tyle to, że pierwsza dama XX-wiecznej antropologii w ramach rewolty lat 60. bezkrytycznie kopiowała fantazje dziewcząt z Samoa (i własne), rzuca na nią nieco nowego światła. Bayard jednak nie jest demaskatorem – cieszy go żart, jakim jest klasyfikowanie różnych rodzajów niepodróżu, zjawiska metafizycznie dość podobnego składom przyszłej wieprzowiny w „Świecie Dysku” Pratchetta. Wypada zresztą przyznać mu rację – arbitralny obraz całości, jeśli wyszedł spod pióra geniusza, jest prawdziwszy od stosów pocztówek, kwitów i nudnych relacji, czego koronnym dowodem ostatni z opisanych w książce niepodróżników – Cendrars i jego „Proza kolei transsyberyjskiej”: porównajcie ją z propagitkami o BAM-ie!

Jeśli jednak ktoś chce czytać o podróży prawdziwych (a kto nie chce, po półtorarocznym lockdownie?), tyle że z pozycji podróżnika gabinetowego, jedną z ciekawszych pozycji jest panorama „Wyp

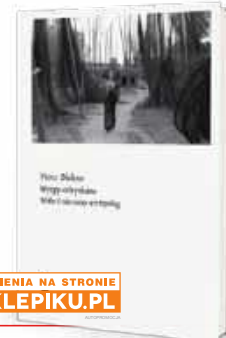
odzyskanych” pióra Piotra Oleksego. Nieznany niemal fakt, że Polska ma w swych granicach archipeląg złożony z ponad 40 wysp, może wbić w słuszną dumę narodową, nieumniejszoną faktem, że zamieszkane są cztery z nich, reszta zaś – od Wielkiego i Małego Krzeku po te bezimienne – służy wypasowi krów lub gniazdowaniu ptaków.

Zbiór szkiców poświęconych wypsom u ujścia Odry jest niejednoznaczny i niejednorodny: historyk z UAM przygląda się archipelagowi pod różnymi kątami, odtwarzając zarówno tużpowojenną epokę „prawa i pięści”, jak i czas stalinizmu, badając dokonania miejscowych pisarzy regionalistów i losy Niemców, którzy zdecydowali się zostać po 1945. Najmniej może dowiemy się z portretu legendarnego świnoujścianina Lechosława Goździka – on już przez Hannę Krall opisany, przyznam, że chętniej poznałbym historię tajemniczego Edmunda Bałuki, lidera strajku w Stoczni Szczecińskiej w grudniu 1970. Cała książka jednak dobrze przybliży ziemie – wbrew tytułowi – wciąż nieodzyskane do końca, przynajmniej przez polską wyobraźnię. ▶



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Pierre Bayard, „Jak mówić o miejscach, w których się nie było?”, Aletheia, 2021



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Piotr Oleksy, „Wyspy odzyskane. Wolin i niezany archipeląg”, Czarne, 2021

Przeciwko długiemu cieniowi folwarku. O polskim neoliberalnym kapitalizmie



*Polski folwark szlachecki złamał I Rzeczpospolitą, za co cenę
płacimy do dziś. Liberalna narracja w stosunku do beneficjentów
500+ jest mocno kulturowo zakorzeniona w deprecjonującym
stosunku dworu szlacheckiego do pracowników folwarku*

Wielu napisano o upadku I Rzeczypospolitej i przypadająca w przyszłym roku 250. rocznica pierwszego rozbioru zapewne powiększy liczbę polemik szukających odpowiedzi na pytanie, jak to było możliwe, że jedno z największych państw nowożytnej Europy przestało istnieć. Z perspektywy ekonomicznej wydaje się, że to stworzenie polskiego folwarku w ramach przywilejów szlacheckich, by zapewnić polskiej szlachcie darmową siłę roboczą, zniszczyło najpierw ekonomiczny dobrobyt Rzeczypospolitej, a później same polityczne struktury państwa, które go tworzyło. Folwark szlachecki zdeprawował polską szlachtę, która wykorzystwała swoją pozycję polityczną, by przyblokować rozwój miast i zapewnić sobie ekonomiczny wyzysk chłopów. Zaprawdę krótki okres ekonomicznej prosperity folwarku między XVI a początkiem XVII w., skorelowany z popytem na polskie zboże na Zachodzie, stworzył mentalność antyrozwojową tak

silną, że nawet absolutna tragedia potopu szwedzkiego, która zostawiła kraj w ruinie, była niedostateczna, by zreformować państwo mimo usilnych nalegań króla Jana Kazimierza.

Nieodłączną częścią mentalności folwarczno-szlacheckiej była pogarda dla innych stanów, a zwłaszcza chłopów. „Liber Chamorum” Waleriana Trepki, tropiącego fałszywych szlachciców, jest znakomitą przykładem pogardy stanowej i nieśmiertelnym symbolem degrengolady moralnej i umysłowej polskiej kultury szlacheckiej.

Z prac wielkiego francuskiego historyka Fernanda Braudela wiemy, że w życiu społecznym i ekonomicznym istnieje coś takiego, jak instytucjonalne długie trwanie. Jak pokazują badania wielu socjologów, polski folwark przeżył upadek I RP, rozbiory i dwa totalitaryzmy, odradzając się w życiu społeczno-ekonomicznym III RP i – co ciekawsze – płynnie wchodząc w symbiozę z postkomunistycznym

neoliberalizmem. Polski kapitalistyczny neofolwarczny liberalizm III RP trzymał Polskę w stanie przyblokowanego rozwoju, opóźniając polską konwergencję gospodarczą z zachodnią Europą.

Wśród cech konstytutywnych neofolwarcznego liberalizmu III RP był relatywnie niski poziom płac w PKB. Poziom nierówności społecznych w III RP szybko wrócił do czasów przedwojennych. Beneficjentami wzrostu wolnej Polski byli w stopniu największym najzamożniejsi, którzy cieszyli równocześnie największymi przywilejami podatkowymi. Bardzo zamożni warszawscy prawnicy byli obciążeni mniejszym klinem podatkowym od pracowników fizycznych w Suwałkach. Według badań OECD Polska była anomalią w zakresie klina podatkowego i jego rozłożenia wśród grup dochodowych. Co więcej – mamy ogromny poziom płacenia pod stołem. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Skala płacenia pod stołem”

1,4 mln pracowników otrzymuje część wynagrodzenia pod stołem i aż 31 proc. pracowników w mikrofirmach zatrudniających do dziewięciu pracowników. Z perspektywy sektora finansów publicznych to ubytek aż 17 mld zł dochodów, a z perspektywy pracowników dużo mniejszy poziom zabezpieczenia społecznego. Umowy śmieciowe są dziś utrapieniem wielu młodych Polaków, którym pracodawcy narzucają tę formę zatrudnienia.

Kolejnym elementem neofolwarcznego liberalizmu jest skrajna niechęć do długu publicznego, mimo że jest on wielkim wehikułem rozwoju, jeśli służy zwiększającym produktywność inwestycjom publicznym. Niedorozwój infrastrukturalny polskiej prowincji jest głęboko sprzeczny z ekonomiczną racjonalnością, zmniejszając polski PKB z powodów ideologicznych. I Rzeczypospolita nie skorzystała z możliwości stworzenia giełdy w jednym ze swoich największych miast i skorzystania z ambitnego długu publicznego, by sfinansować rozwój kraju, jak Wielka Brytania po „chwalebnej rewolucji”. Obrońcy liberalizmu III RP, uważający się za gwarantów polskiego rozwoju, nie różnili się wiele od najbardziej antyrozwojowych szlacheckich umysłów nowożytnej Rzeczypospolitej w zakresie podejścia do inwestycyjnego długu publicznego. Zresztą obsługa takiego długu nie jest problemem, gdy zamyka się luki podatkowe, ale tu znowuż tolerancja luk podatkowych łączy „prorozwojowych” polskich liberałów z antyrozwojową polską szlachtą. A czym innym są luki podatkowe jak brakiem sprawiedliwego opodatkowania?

Niski poziom innowacji i inwestycji polskich firm, których biznesowy model jest oparty na taniej sile roboczej, niestety kontynuuje niechlubne tradycje polskiego folwarku opartego na pańszczyźnie, który trwał w najlepsze, gdy Zachód inwestował w manufaktury i zwiększał produktywność swojego rolnictwa. Zmiany klimatyczne i wyższa produktywność zachodniego rolnictwa w drugiej połowie XVII wieku uczyniły polski model polityczno-ekonomiczny kompletnie anachronicznym. Niestety szlachecka ideologia polskiego republikanizmu okazała się niezdolna do reform, kiedy można było

je zrobić, będąc suwerennym państwem. Zachwycając się przygodami bohaterów Trylogii, nie możemy zapominać, że to właśnie pokolenie Skrzetuskiego, Kmicica i pana Wołodyjowskiego rzuciło Rzeczpospolitą w przepaść, z której się już nie zdołała podnieść, nie chcąc zreformować państwa po potopie szwedzkim i złamać polskiego folwarku.

Ideologia polskiego liberalizmu reaguje histerycznie na stworzenie podatkowych zasad fair play w stosunku do klina podatkowego, poziomu opodatkowania jednostek osobowych działalności gospodarczych czy ograniczania luk podatkowych, jak było w wypadku spółek komandytowych.

Wśród cech konstytutywnych neofolwarcznego liberalizmu III RP był relatywnie niski poziom płac w PKB

Polski Ład nie jest przeciwnikiem polskich przedsiębiorców, wręcz odwrotnie, jest on wielką szansą rozwojową dla polskich firm na prawdziwą „złotą dekadę” poprzez stworzenie proinnowacyjnego, proinwestycyjnego systemu podatkowego, który ma ułatwiać globalną ekspansję. Dla mniejszych firm chcących się skupiać na lokalnym rynku oferujemy jak najmniej zbiurokratyzowaną przyszłość i racjonalny poziom obciążeń podatkowych. Dążymy do tego, by Polska stała się europejską, a nawet globalną stolicą start-upów, a Polacy mogli inwestować w jak największą liczbę debiutujących na polskiej giełdzie spółek, zwiększając i poziom swojej zamożności, i szanse rozwojowe polskich firm. Polska giełda powinna być naszą perłą w koronie, ale stanie się to możliwe tylko wtedy, gdy pokonamy długie folwarku i zbudujemy oparty na wiedzy kapitalizm dobrobytu dla wszystkich, który tworzy równość szans rozwoju niezależnie od pochodzenia społecznego czy miejsca zamieszkania, by każdy, kto ma potencjał, mógł go zrealizować. Urodziłem się w Białej Podlaskiej, wychowałem w Radomiu, a studiowałem w Lublinie,

doskonale wiem, jak wielki potencjał tkwi w każdym z tych miejsc i ludziach, którzy w nich żyją, ale wiem również, że bez zmiany paradygmatu polityki ekonomicznej, jaką niesie z sobą Polski Ład, marzenia o lepszym jutrze będą tylko pustymi słowami dla tych miejsc.

Ministerstwo Finansów uznaje za swoją misję reformę polskiego systemu podatkowego i publicznej polityki inwestycyjnej, by rozwój służył wszystkim, a nie nielicznym.

Politycznym non possumus polskiej prawicy jest refeudalizacja III RP, w której poszczególne korporacje zawodowe tworzą struktury niemal oligarchiczne czy sytuacja, gdy władza centralna jest bezradna wobec tzw. lokalnych układów zamkniętych, które zaprzeczają szanse rozwojowe polskiej prowincji. A jest rzeczą niemal zupełnie groteskową, gdy przeciwstawia się dobry samorząd złemu rządowi, ponieważ nawet najlepszy prezydent miasta czy wójt nie będzie w stanie w pełni wykorzystać potencjału swojej miejscowości bez odpowiedniego inwestycyjnego wsparcia państwa. Co więcej, refeudalizacja polskich firm, w których można łamać prawa pracownicze i dokonywać przestępstw podatkowych, jest naszą kolejną czerwoną nieprzekraczalną linią. Polski folwark szlachecki złamał I Rzeczypospolitą, za co cenę płacimy do dzisiaj. Liberalna narracja w stosunku do beneficjentów 500+ jest mocno kulturowo zakorzeniona w deprecjonującym stosunku dworu szlacheckiego do pracowników folwarku. Niechęć do płacenia sprawiedliwych podatków i długu publicznego też łączy III RP z folwarkiem szlacheckim I RP.

Porażka projektu I Rzeczypospolitej w kontekście nadchodzącej rocznicy pierwszego rozbioru powinna być dla nas wszystkich ważną lekcją w dyskusjach nad Polskim Ładem. Prorozwojowe i sprawiedliwe podatkowo państwo opłaca się nam wszystkim, nawet najgłośniejszym krzykom obrońcom tego specyficznego mariażu polskiego neoliberalnego postkomunizmu z antyrozwojową tradycją szlacheckiego folwarku.

Piotr Patkowski

Autor jest wiceministrem finansów

Hit tygodnia

Ostatni spalinowy Lotus. Lotus Emira



W brytyjskiej firmie Lotus Cars Limited szykują się zmiany, można by rzec, rewolucyjne. Dla samej marki z pewnością, choć wpisują się one w ogólny trend na świecie, czyli odejście od samochodów spalinowych. Ostatnim modelem tego typu będzie Lotus Emira, którego należy się spodziewać na wiosnę przyszłego roku. Biorąc pod uwagę cenę – nie więcej niż 60 tys. funtów – możemy mieć do czynienia z hitem w swojej klasie.

A co ma oferować Emira? Przede wszystkim do wyboru silnik: AMG lub Toyoty. 2-litrowy 4-cylindrowy AMG A35 (ponad 360 KM) lub 3,5-litrowy V6 (360–400 KM). Wymiary Emiry to: 4412 mm długości, 1895 mm szerokości i 1225 mm wysokości, waga – 1405 kg.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Nowa hybrydowa Honda HR-V e:HEV pod koniec 2021 r. trafi do pierwszych polskich klientów. Stworzony od podstaw przez Hondę układ i-MMD zapewni najnowszemu SUV-owi marki charakterystykę jazdy zbliżoną do aut elektrycznych i niespotykaną dotychczas oszczędność paliwa. System sprawdzi się w szczególności w warunkach miejskich. W nowej Hondzie HR-V e:HEV dwa kompaktowe, wydajne silniki elektryczne współpracują z 1,5-litrową jednostką benzynową i-VTEC. Moc układu to 96 kW (131 KM). Maksymalny moment obrotowy silnika elektrycznego wynosi 253 Nm. Pod względem ekonomiki hybryda typu i-MMD oferuje najwięcej korzyści podczas jazdy miejskiej. Na krótkich trasach w mieście silnik elektryczny może być używany bez udziału jednostki benzynowej nawet przez ponad 80 proc. czasu.

Na początku lipca ponownie zrobiło się głośno o słowackiej firmie Klein Vision, a to za sprawą pierwszego udanego lotu. Tak, lotu, gdyż Klein Vision pracuje nad autem mogącym latać, które nazywa się – nomen omen



– AirCar Prototype 1. Pojazd uniósł się na wysokość blisko 2,5 km i rozwinął prędkość 160 km/h. Za kierownicą (za sterami?) AirCarą zasiadł sam twórca – Stefan Klein. Trasa miała blisko 100 km (z Nitry do Bratysławy). Latający samochód pokonał ją w 35 min, czyli około dwa razy szybciej, niż gdyby jechał. AirCar ma 160-konny silnik BMW, śmigło, wysuwany ogon i chowane skrzydła. W środku jest miejsce dla dwóch osób. W planach jest budowa AirCar Prototype 2, który będzie wyposażony w silnik o mocy 300 KM. Ma osiągać prędkość przelotową 300 km/h i mieć zasięg 1000 km. Na razie jest je-

den mały minus, AirCar do startu i lądowania potrzebuje pasa startowego.

Jakaś ploteczka ze świata superaut, i to taka, która się sprawdziła? Otóż Bugatti i Rimac łączą siły – powstanie spółka joint venture Bugatti-Rimac. A zgadną państwo, kto kogo przejął? To chorwacki Rimac jest teraz właścicielem legendarnej marki Bugatti (w szczególności wygląda to tak: Rimac Group ma 55 proc. udziałów spółki Bugatti-Rimac, pozostałe 45 proc. ma Porsche, dotychczasowy właściciel Bugatti).

Przygotował Paweł Gadaczek

DODATEK EDUKACYJNY

*przygotowany we współpracy
z Bankiem Gospodarstwa Krajowego*

- Ostatnie dni na składanie wniosków o wsparcie z Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych
- Samorządy mogą zyskać do 95 proc. dofinansowania inwestycji
- Na co zwrócić uwagę, składając wniosek w Banku Gospodarstwa Krajowego
- Eksperti wyjaśniają – co warto wiedzieć

SIECI



Czas na Polski Ład

– CZAS NA INWESTYCJE



JAK WSZYSCY MOŻEMY SKORZYSTAĆ Z RZĄDOWEGO FUNDUSZU POLSKI ŁAD: PROGRAMU INWESTYCJI STRATEGICZNYCH?

Ostatnie dni na pozyskanie wsparcia dla lokalnych inwestycji

Tylko do 30 lipca samorządy i ich związki mogą składać do aplikacji Banku Gospodarstwa Krajowego wnioski o dofinansowanie swoich inwestycji z Rządowego Funduszu Polski Ład: Programu Inwestycji Strategicznych. To pierwszy tak mocny akcent Polskiego Ładu. W pierwszej edycji programu do wykorzystania jest 20 mld zł, a samorządy mogą otrzymać nawet do 95 proc. bezzwrotnego dofinansowania na inwestycje

Na podstawie zapisów ustawowych jesteśmy upoważnieni, by na inwestycje objęte dofinansowaniem wystawić promesy. To jest de facto przyrzeczenie banku, że po spełnieniu określonych warunków ta inwestycja będzie zrefinansowana. Do czasu uzyskania środków z programu inwestycja będzie musiała mieć finansowanie pomostowe. Oczekujemy, że będzie ono realizowane przez firmy wykonawcze. To znaczy, że najpierw jest promesa, potem przetarg czyli wybór wykonawcy, potem wystawiana jest promesa inwestycyjna na kwotę zweryfikowaną w przetargu (nie wyższą niż ta, na jaką opiewa promesa wstępna). Kiedy inwestycja się zakończy – wypłacane są środki na rzecz wnioskodawcy – tłumaczy działanie programu Michał Baj, dyrektor zarządzający Pionem Programów Mieszkaniowych w Banku Gospodarstwa Krajowego.

W przypadku inwestycji, których realizacja będzie trwała 12 miesięcy lub krócej, BGK wypłaci środki z programu po zakończeniu realizacji inwestycji. W przypadku inwestycji, których realizacja będzie trwała dłużej niż 12 miesięcy, samorząd otrzyma środki w dwóch-trzech transzach, zgodnie z harmonogramem realizacji inwestycji (po zrealizowaniu kolejnych jej etapów).

PRZEJRZYSTY SCHEMAT

Proces przystąpienia do programu został zaprojektowany tak, by jak najbardziej usprawnić składanie wniosków, i przebiega w pełni elektronicznie. Jednostki samorządu terytorialnego i ich związki mogą składać wnioski o dofinansowanie w specjalnie przygotowanej Aplikacji Polski Ład. Wcześniej za pośrednictwem platformy e-PUAP składają wnioski o nadanie dostępu do tej aplikacji.

– Mieliśmy sporo pytań co do procesu na samym początku. Z naszej perspektywy realizacja przebiega sprawnie. Zachęcam, by odwiedzić stronę www.bgk.pl. Tam jest duży banner, który odsyła do wszystkich informacji



na temat Programu Inwestycji Strategicznych. Zamieściliśmy tam też filmy instruktażowe. Pozwalają zobaczyć, w jaki sposób należy złożyć wniosek o dostęp aplikacji. Bo to jest pierwszy etap procesu. Dzięki tej aplikacji będziemy mieli możliwość komunikowania się z naszymi wnioskodawcami. Jednostki samorządu terytorialnego będą mogły składać wnioski tylko i wyłącznie elektronicznie. Ten proces jest prosty i przyjazny dla użytkownika. Mamy pozytywne sygnały. W tym naborze pilotażowym, który właśnie trwa, chcemy zebrać doświadczenia naszych wnioskodawców i nauczyć się też, jak go prowadzić na stałe – twierdzi Baj.

CO BĘDZIE SFINANSOWANE?

Celem programu jest głównie zrównoważony rozwój, inwestycje priorytetowe obejmują gospodarkę niskoemisyjną, efektywną energetykę, ekologiczny transport, cyfryzację oraz inwestycje infrastrukturalne.

Środki będzie można przeznaczyć na inwestycje m.in. w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, modernizację źródeł ciepła na zeroemisyjne i gospodarowanie odpadami. Skorzystają również przedsiębiorcy, ponieważ realizacja wielu inwestycji przypadnie lokalnym firmom.

– Podczas wypełniania wniosku należy wskazać jeden z 35 obszarów inwestycyjnych. Każdy obszar mieści się w jednym z czterech priorytetów o różnej wadze. W pierwszym – pilotażowym – naborze największą wagę, a tym samym szansę na dofinansowanie mają m.in. inwestycje w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, infrastrukturę drogową, modernizację źródeł ciepła na zeroemisyjne czy w gospodarowanie odpadami – mówi Baj.

W Programie Inwestycji Strategicznych jednostki samorządu terytorialnego oraz ich związki mogą wnioskować o dofinansowanie inwestycji z następujących obszarów:

Priorytet 1:

- budowa lub modernizacja infrastruktury drogowej
- budowa lub modernizacja infrastruktury wodno-kanalizacyjnej, w tym oczyszczalni
- budowa lub modernizacja źródeł ciepła sieciowego zeroemisyjnego
- budowa lub modernizacja indywidualnych źródeł ciepła zeroemisyjnego
- budowa lub modernizacja infrastruktury gospodarki odpadami, w tym spalarnie, przetwarzanie biologiczne, segregacja
- odnawialne źródła energii

Priorytet 2:

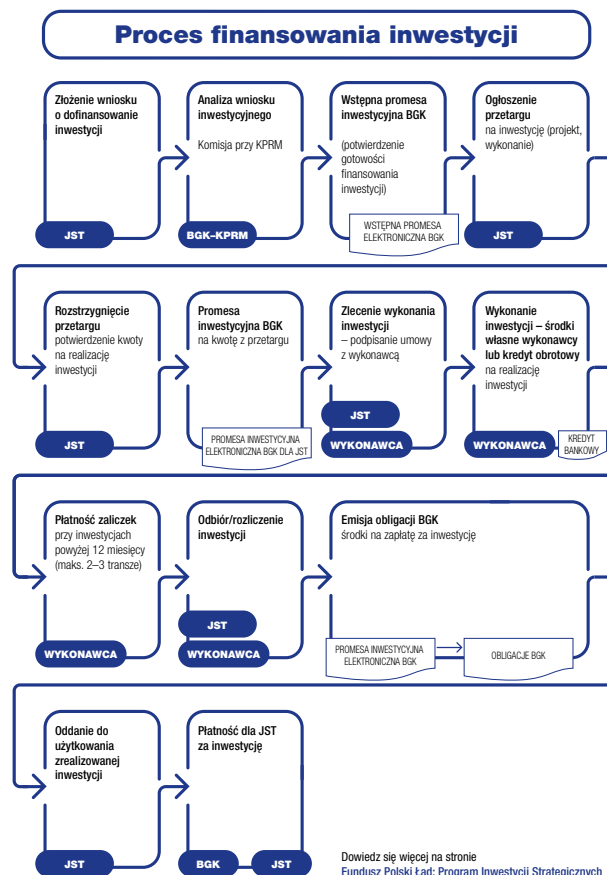
- tabor z napędem zeroemisyjnym
- budowa lub modernizacja źródeł ciepła sieciowego niskoemisyjnego
- budowa lub modernizacja sieci ciepłowniczej
- budowa lub modernizacja infrastruktury elektroenergetycznej, w tym oświetleniowej
- cyfryzacja usług publicznych i komunalnych
- poprawa efektywności energetycznej budynków i instalacji publicznych
- innowacyjne rozwiązania w elektroenergetyce
- rewitalizacja obszarów miejskich
- budowa lub modernizacja infrastruktury kulturalnej i turystycznej
- budowa lub modernizacja infrastruktury sportowej

Priorytet 3:

- budowa lub modernizacja infrastruktury technicznej drogowej
- budowa lub modernizacja infrastruktury tramwajowej, w tym zajezdni
- budowa lub modernizacja infrastruktury kolejowej, w tym stacji utrzymaniowo-naprawczej
- budowa lub modernizacja infrastruktury transportu wodnego
- tabor transportu kolejowego
- tabor transportu tramwajowego
- tabor z napędem niskoemisyjnym
- budowa lub modernizacja kanalizacji deszczowej
- gospodarka wodna, w tym melioracja, retencja, osuszanie
- budowa lub modernizacja indywidualnych źródeł ciepła niskoemisyjnego
- budowa i modernizacja infrastruktury społecznej
- budowa lub modernizacja infrastruktury edukacyjnej
- rewitalizacja obszarów i/lub budynków zdegradowanych i/lub przemysłowych

Priorytet 4:

- tabor zbiorowego transportu drogowego
- tabor zbiorowego transportu wodnego
- budowa lub modernizacja infrastruktury telekomunikacyjnej
- budowa i organizacja inkubatorów przedsiębiorczości



- budowa i organizacja parków naukowo-technologicznych

Baj przypomina, że można składać wnioski z oznaczeniem więcej niż jednego obszaru.

– W sytuacji, w której te zaznaczone obszary będą klasyfikować się do różnych priorytetów, wówczas przyjmujemy ten z najwyższym i najkorzystniejszym dla wnioskodawcy – podkreśla dyrektor zarządzający Pionu Programów Mieszkaniowych w Banku Gospodarstwa Krajowego. – To nasza rola, żeby lukę rynkową wypełnić wartością, która przyniesie samorządom i społecznościom trwały wzrost produktywności, polepszenie warunków inwestycyjnych i życia. Cieszę się, że możemy to zrobić w synergii z sektorem bankowym. Także będzie zaangażowany w ten proces i będzie ważnym elementem wspierającym wykonawców – podsumowuje Baj.

Bank Gospodarstwa Krajowego przyjmuje wnioski o dofinansowanie, a po zakończeniu naboru przekaże zbiorczy raport do komisji przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Komisja ta przygotuje rekomendację, na podstawie której prezes Rady Ministrów zdecyduje o przyznaniu dofinansowania. Informację o przyznaniu dofinansowania samorząd otrzyma w aplikacji, za której pośrednictwem złożył wniosek.

Kamil Gieroba

Rządowy Fundusz Polski Ład wspiera samorządowe inwestycje. Wnioski przyjmuje BGK do 30 lipca

Samorządy w Polsce inwestują, by zapewnić nam – obywatelom – odpowiedni, pożądany poziom życia lokalnego, stąd w obszarze zainteresowania jednostek samorządu terytorialnego wciąż są drogi, kanalizacje, szkoły, przedszkola i obiekty sportowe. Poziom realizacji inwestycji samorządowych z powodu pandemii spadł w ujęciu nominalnym w ubiegłym roku o 4,2 proc., a w pierwszym kwartale tego roku był o 18,3 proc. mniejszy niż rok wcześniej i to powoduje, że jest potrzeba wsparcia samorządowych inwestycji



Rządowy Fundusz Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych to nowa forma wsparcia inwestycji realizowanych przez samorządy. Ma wspomóc m.in. rozwój przedsiębiorstw i poprawić zróżnicowane regionalnie warunki życia Polaków. Istotnym elementem wspieranych inwestycji jest też transformacja energetyczna i ekologia.

WNIOSKI I PROCEDURA

Do 30 lipca samorządy mogą składać do Banku Gospodarstwa Krajowego wnioski o dofinansowanie swoich inwestycji z Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych. Wsparcie finansowe ma za zadanie przyspieszyć inwestycje rozwojowe w regionach w całej Polsce. Samorządy dostaną nawet do 95 proc. bezwrotnego dofinansowania na inwestycje, m.in. w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, modernizację źródeł ciepła na zeroemisyjne i w gospodarowanie odpadami.

– To właśnie inwestycje, których waga jest mocno podkreślona w Programie Inwestycji Strategicznych Polski Ład, pozwolą powrócić regionom na ścieżkę rozwoju po pandemii – mówi nam Mateusz Walewski, główny ekonomista Banku Gospodarstwa Krajowego, dyrektor Biura Badań i Analiz.

Cała procedura składania przez jednostki samorządu terytorialnego (JST) i ich związki wniosków o dofinansowanie inwestycji z Rządowego Funduszu Polski Ład: Programu Inwestycji Strategicznych będzie się odbywała w pełni elektronicznie – w specjalnie przygotowanej aplikacji programu.

Bank Gospodarstwa Krajowego będzie przyjmował wnioski o dofinansowanie i weryfikował je formalnie. Po zakończeniu naboru przekaże zbiorczy raport do komisji przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Komisja ta przygotuje rekomendację, na podstawie której Prezes Rady Ministrów zdecyduje o przyznaniu dofinansowania. Informację o przyznaniu dofinansowania samorząd otrzyma w aplikacji, za której pośrednictwem złożył wniosek.

Program jest realizowany poprzez wystawianie promes przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Aby JST mogła uruchomić przetarg, otrzyma od Banku Gospodarstwa Krajowego wstępną promesę, a po zakończeniu przetargu promesę inwestycyjną. Promesa inwestycyjna jest równoznaczna z przyrzeczeniem wypłaty kwoty, na którą opiewa.

Jednostki samorządu terytorialnego mogą składać wnioski o dofinansowanie w specjalnie przygotowanej aplikacji Polski Ład. Wcześniej za pośrednictwem platformy ePUAP składają wniosek o nadanie dostępu do tej aplikacji. Informacje o tym, jak to zrobić, są dostępne na stronie Rządowego Funduszu Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych (bgk.pl/polski-lad).

Każda jednostka może złożyć trzy wnioski o dofinansowanie według następujących wytycznych:

- jeden wniosek bez kwotowego ograniczenia,
- jeden wniosek, którego wartość dofinansowania nie może przekroczyć 30 mln zł,
- jeden wniosek, którego wartość dofinansowania nie może przekroczyć 5 mln zł.

W pierwszym – pilotażowym – naborze największą wagę, a tym samym szansę na dofinansowanie mają m.in. inwestycje w infrastrukturę wodno-kanalizacyjną, infrastrukturę drogową, modernizację źródeł ciepła na zeroemisyjne czy w gospodarowanie odpadami.

Podczas wypełniania wniosku należy wskazać jeden z 35 obszarów inwestycyjnych. Każdy obszar mieści się w jednym z czterech priorytetów o różnej wadze. Wnioski, które mieszczą się w pierwszym priorytecie, mogą dostać dofinansowanie w wysokości nawet do 95 proc. wartości inwestycji, wnioski w drugim priorytecie mogą liczyć nawet na 90 proc. dofinansowania, w trzecim nawet na 85 proc. i w czwartym nawet 80 proc.

W przypadku inwestycji, których realizacja będzie trwała 12 miesięcy lub krócej, Bank Gospodarstwa Krajowego wypłaci środki z programu po zakończeniu realizacji inwestycji. W przypadku inwestycji, których realizacja będzie trwała dłużej niż 12 miesięcy, samorząd otrzyma środki w dwóch-trzech transzach, zgodnie z harmonogramem realizacji inwestycji (po zrealizowaniu kolejnych jej etapów).

– Samorządy nie dostaną gotówki do ręki. W ramach tego projektu dostaną promesę, czyli obietnicę zapłaty za zakończoną inwestycję. I te pieniądze wpłyną na konta samorządów dopiero wtedy, gdy ta inwestycja będzie zrealizowana, chyba że trwa powyżej 12 miesięcy, to wtedy będą wypłaty w transzach. To znaczy, że najpierw jest promesa, potem przetarg, czyli wybór wykonawcy, potem wystawiana jest promesa inwestycyjna na kwotę zweryfikowaną w przetargu (nie wyższą niż ta, na jaką opiewa promesa wstępna). Kiedy inwestycja się zakończy, wypłacane są środki.

KORZYŚCI DLA REGIONÓW

O sytuacji finansowej samorządów świadczy nadwyżka operacyjna. To ona pokazuje, czy jednostki samorządu terytorialnego będą w przyszłości w stanie inwestować. W ubiegłym roku nadwyżka ta spadła o ponad 11 proc. Samorządy zredukowały nakłady inwestycyjne o ponad 4 proc. Tak więc pieniądze z nowego programu pomogą samorządom zrealizować inwestycje potrzebne lokalnym społecznościom i odbudować gospodarkę.

– Drogi, przedszkola, kanalizacja i inne inwestycje są potrzebne we wszystkich regionach Polski, ale samorządom brakuje pieniędzy na ich sfinansowanie. Rządowy Fundusz Polski Ład: Program Inwestycji Strategicznych jest odpowiedzią na potrzeby inwestycyjne samorządów. Korzyści z tego programu będzie czerpać społeczeństwo i cała gospodarka – mówi Beata Daszyńska-Muzyczka, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego.

Korzyści z Rządowego Funduszu Polski Łąd: Program Inwestycji Strategicznych



WKŁAD WŁASNY SAMORZĄDÓW

W pierwszej edycji programu do wykorzystania jest 20 mld zł. Dofinansowanie jest wysokie, jednak trzeba pamiętać o tym, że jest ono uzależnione od priorytetu obszaru obejmowanego inwestycją.

Wkład własny samorządów jest deklarowany na etapie składania wniosku. Jeżeli np. samorząd otrzyma promesę na 95 proc. wartości inwestycji, to te 5 proc. musi pokryć z własnych środków. Mówiąc obrazowo – inwestycja ma wartość 1 mln zł, czyli samorząd musi zapewnić 50 tys. zł, a na resztę, czyli na 950 tys. zł, BGK wystawia promesę, czyli obiecuje, że samorząd otrzyma taką kwotę na zapłatę wykonawcy. Wykonawca otrzymuje zapłatę za wykonanie inwestycji dopiero po jej zakończeniu na podstawie promesy wystawionej przez BGK.

WYRÓWNYWANIE RÓŻNIC ROZWOJOWYCH

Na programie skorzystają też przedsiębiorcy. Realizacja wielu inwestycji przypadnie lokalnym firmom. Rządowy program pomoże im w rozwoju biznesu, będzie też stymulował powstawanie nowych miejsc pracy.

Jak mówi Radosław Kwiecień, członek zarządu BGK, program wsparcia inwestycji lokalnych uruchomi pieniądze zgromadzone w bankach, które nie są wykorzystane. Projekt będzie finansowany przez wykonawców, z ich środków własnych lub z kredytu na realizację danego kontraktu.

– Rozliczanie inwestycji następuje z dołu – powiedział podczas spotkania z podlaskimi samorządowcami Radosław Kwiecień. Planuje się, że pierwsze przetargi na inwestycje zostaną ogłoszone we wrześniu.

W programie nie ma limitów wartości inwestycji. Oznacza to, że można z niego sfinansować zarówno budowę chodnika, żłobka, jak i kanalizacji czy nowej drogi.

– Celem programu jest głównie zrównoważony rozwój. Program będzie wehikułem inwestycyjnym, który pozwoli wyrównywać różnice rozwojowe, skracać dystans pomiędzy słabszymi i mocniejszymi regionami nie tylko w Polsce, lecz i w Europie – mówił Radosław Kwiecień.

– Ten program pozwoli nam zwiększyć intensywność działań samorządów w zakresie inwestycji.

Rozwój społeczno-gospodarczy Polski lokalnej musi nabrać większej dynamiki. Wychodzimy wreszcie z tego załamania spowodowanego pandemią, które również wywarło wpływ na tempo inwestycji samorządowych – powiedział Bohdan Paszkowski, wojewoda podlaski.

Jak powiedziała Beata Daszyńska-Muzyczka w rozmowie z ISBnews, dofinansowanie z Rządowego Funduszu Polski Łąd: Programu Inwestycji Strategicznych może wynieść 40–50 proc. rocznych wydatków inwestycyjnych samorządów.

– Wnioski powinny uwzględniać priorytety Funduszu Polski Łąd, czyli w pierwszej kolejności inwestycje w drogi, wodę, kanalizację, gospodarkę odpadami, oczyszczalnie ścieków czy OZE. W tym roku zaplanowano dwa nabory łącznie na 30 mld zł, a pamiętać trzeba, że całość inwestycji, w ujęciu rocznym, to 50–60 mld zł. To oznacza, że ogłaszamy nabór na 40–50 proc. tego, co samorządy rocznie wydają – wyjaśniała Beata Daszyńska-Muzyczka.

Jej zdaniem program powinien trwać 10–15 lat, aby poprawiła się jakość życia mieszkańców.

– Misją Banku Gospodarstwa Krajowego jest wspieranie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Jesteśmy dumni, że zrealizujemy program, który pomoże gospodarce, lokalnym społecznościom, a wiele z dofinansowanych inwestycji przyczyni się do budowania bardziej zrównoważonej gospodarki – mówiła Beata Daszyńska-Muzyczka.

Jak podkreśla Radosław Kwiecień, inwestycje priorytetowe obejmują gospodarkę niskoemisyjną, efektywną energetykę, ekologiczny transport, cyfryzację, inwestycje infrastrukturalne.

– Lokalne potrzeby inwestycyjne są zróżnicowane, jednak program ten pokrywa wszystkie obszary – stwierdził Radosław Kwiecień.

– Niedawno zaczęliśmy zbierać wnioski, a widzimy już w systemie kilkaset zgłoszeń. Tak więc widać spore zainteresowanie tym programem – mówi Mateusz Walewski.

Pełna lista priorytetów i obszarów inwestycyjnych jest dostępna na stronie internetowej www.bgk.pl/polski-lad.



Zagłosuj
na najlepsze
projekty
historyczne
2020 roku

Termin głosowania:
1 lipca - 31 sierpnia 2021
www.wtr.muzhp.pl

14. Wydarzenie
Historyczne
Roku



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa

Organizacja Partnerzy

Stowarzyszenie Historyków
Sztuki i Literatury
Kulturalna, Edukacyjna
i Artystyczna

Partnerzy

HISTORIA

Partnerzy

POLSKA
KASIO

TVP

PPK

d

PPK

STECI

ISTORIA

0000

ZESTAW KIBICA



stop
cafe

Promocja trwa od 1.07.2021 r. do 31.08.2021 r. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji dostępne są na www.stopcafe.pl

eprasa.pl ca89bcc357

ZWYCIĘSKIE POŁĄCZENIE



SPONSOR STRATEGICZNY

Nie ma jak knedle ze śliwkami

tyku (zaproponowane na stronie „PnŚ” 15 lipca). Wystarczą dwie duże garście świeżej mięty, 100 ml śmietanki 30 proc., 50 ml mleka 1,5 proc., podwie łyżki serka mascarpone i soku z cytryny, cztery łyżki jogurtu greckiego, dwie łyżki miodu. Na koniec, opcjonalnie: pokruszona czekolada, najlepiej gorzka. Składniki trzeba zblendować na jednolitą masę, potem dosypać do niej pokruszoną czekoladę, przełożyć do foremek na lody i włożyć do zamrażarki na około cztery godziny.

Taki przepis zapewne spodobałby się Katarzynie Cichopek, która w rozmowie z Katarzyną Gubałą przyznała, że sama gotuje nieczęsto, ale chętnie spotyka się w kuchni ze swoimi pociechami. Własnoręcznie przygotowane lody byłyby znakomitą dodatką do słodkości, które prezenterka uwielbia piec z dziećmi. Przy czym najciekawsze okazują się rozwałkowanie ciasta, wycinanie ciasteczek czy dekorowanie pierniczków. – Moją córkę mocno ciągnie do kuchni. Śmieję się, że ten zapal bardziej odziedziczyła po mojej mamie niż po mnie. Czuje się dumna, gdy wyjdzie jej jajecznicą czy naleśnikami. Wspieram ją w tych zamięowaniach – dodaje aktorka.

Sama – przyznaje – postawiła na dietę pudełkową. Zbilansowaną i regularną. W sam raz dla kogoś, u kogo – przy 158 cm wzrostu – podwójnie widać każdy nadprogramowy kilogram.

Jej ulubiona potrawa? Nawiązuje do smaków dzieciństwa. To knedle ze śliwkami i okrasa z bulki tartej, autorstwa mamy. Na drugim miejscu jest, przygotowywana również przez mamę, pomidorowa. – Nawet nauczyłam się ją robić dokładnie w ten sam sposób i... nigdy nie smakuje tak samo – stwierdza prezenterka.

W kuchni chińskiej ceni lekkość, a jednocześnie pożywność. Włoska smakuje jej również dobrze, ale o liczeniu kalorii zdaje się zapominać jedynie przy potrawach zsykowanych z dziećmi i dla dzieci.

Jolanta Gajda-Zadzworna

Crumble z truskawek z migdałową kruszonką

(przepis z „Albumu kulinarnego. PnŚ”, autor: Jolanta Naklicka-Kleser)

Składniki: 2 szklanki truskawek, ½ szklanki mielonych migdałów, 1 szklanka płatków owsianych górskich, pół szklanki ekspandowanego amarantusa, 2–3 łyżki roztopionego masła klarowanego, syrop klonowy lub miód do podania

Wykonanie: Pokrojone truskawki mieszamy w misce z mielonymi migdałami. Potrząsamy miską, by nadmiar migdałów pozostał na jej dnie. Oprószone owoce przekładamy do naczynia żaroodpornego. Do miski, w której pozostała reszta mielonych migdałów, wysypujemy płatki owsiane, ekspandowany amarantus, dodajemy roztopione klarowane masło. Łączymy wszystkie składniki, aby uzyskać kruszonkę. Jeśli jest zbyt sucha, dodajemy jeszcze trochę masła. Posypujemy nią owoce i wstawiamy crumble do piekarnika nagrzanego do temperatury 180 st. na ok. 20 min. Wyjmujemy, gdy owoce puszczą sok, a kruszonka ładnie się zezłoci. Podajemy ciepłe, polane miodem lub syropem klonowym ewentualnie jogurtem lub lodami.



Fot. Kurnikowski/AFPA, Shutterstock

Wakacje trwają w najlepsze. Poranny program „Pytanie na śniadanie” towarzyszy w nich swoim widzom (bez urlopu), serwując – poza ciekawymi tematami i takimi gośćmi – pomysły na smakowite dania. Jak potrafią być one kuszące, zgodnym chórem potwierdzają prowadzący, przepytani swego czasu przez Katarzynę Gubałę.

Rozmowy, zdjęcia z planu i przepisy znalazły się w urodzinowym – wydanym z okazji 18 lat programu – „Albumie kulinarnym. Pytanie na śniadanie”. Wydawnictwo cały czas jest dostępne na stronie internetowej „PnŚ”. Tam też znaleźć można przepisy na potrawy prezentowane w programie.

W upalny czas, spędzany zwłaszcza z dziećmi, przydatny może się okazać pomysł na miętowe domowe lody na pa-



SŁODKO-SŁONY

Lepsze niż cytryna

ANNA MONICKA

Nigdy nie przepadałam za pelargoniami. Ale w tym roku skusiłam się na odmiany, które nie kwitną, tylko pachną. Mają listki delikatne jak aksamit, które nawet przy lekkim ruchu powietrza roztaczają wokół cudowny cytrusowy aromat.

Obstawiłam doniczkami cały taras i teraz właśnie mam geraniowe żniwa. Część zasuszę i zrobię z nich pachnące woreczki do bieliźniarki. Długo trzymają zapach, a każde otwieranie szafki będzie mi przypominać o lecie. Część posiekam i zaleję oliwą – można ją dodawać do kąpeli, można wklepywać w wilgotne ciało. Masaż dłoni i stóp jest bardzo przyjemny, poza tym działa przeciwbólowo – olejki eteryczne pachnącej pelargonii pomagają przy chorych stawach, a okłady ze świeżych liści łagodzą bóle reumatyczne. Kiedy męczy katar, można kilkoma kroplami nasączać chusteczki do nosa.

Kilka garści posiekam i zaleję wódką. Nalewką trzeba codziennie potrząsać, ale tylko przez dwa tygodnie – robi się szybko. Jesienią działa jak perfumy, a poza tym można nią nacierać zmarzniete stopy, bolące stawy. Kilka kropelek dodanych do herbaty rozgrzewa nie gorzej niż rum.

Resztę będę zaparzać codziennie jak zwykłe ziołko. Delikatny napar działa orzeźwiająco i świetnie gasi pragnienie. Pomaga, gdy ciąży głowa, rozjaśnia umysł, gdy trzeba dłużej popracować albo poczytać w nocy. Mocniejszy, bardziej esencjonalny, dezynfekuje gardło i inhaluje zatłoczony nos. Dodany do kąpeli działa rozluźniająco przed snem. Jest genialną płukanką do włosów, zwłaszcza takich, które szybko się przetłuszczają.

Posiekanymi listkami można aromatyzować dżemy, kremy, podkręcać smak szarlotek. Polecam napój miodowo-geraniowy. Zalewamy pokrojone liście kilkoma łyżkami delikatnej patoki, a po kilku godzinach letnią wodą z imbirem. Doprawiamy do smaku limonką i letni hit gotowy. Taka lemoniada nie tylko gasi pragnienie, lecz i delikatnie uspokaja.

Po solidnym ścięciu warto powybierać odbijające od lodygi nowe listki i ukorzenie je w wodzie, a potem przesadzić do doniczek. Tych roślin w domu nigdy dosyć. 



WILCZYM OKIEM

Przyprawa przypraw

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy usłyszałem po raz pierwszy – a było to na wykładzie z botaniki leśnej – o kwiecie *Bellis perennis*, który kwitł był właśnie w środku zimy w krakowskim ogrodzie botanicznym, wzbudziło to u mnie natychmiast chęć zobaczenia niezwyklej rośliny. Niezwyklej, bo nie była mieszkanką szklarni, lecz miała kwitnąć masowo na trawnikach (zima była akurat dość łagodna). Rozważałem nawet zakradnięcie się do zamkniętego o tej porze roku ogrodu.

Drugi raz podobne odczucie zetknięcia się z botaniczną tajemnicą wzbudziła u mnie przypadkowo napotkana informacja o przyprawie roślinnej, nazywanej przez Anglików *allspice*, czyli łączącej w sobie właściwości wszystkich innych: goździków, galki muszkatołowej i cynamonu (Hiszpanie, którzy poznali ją jako pierwsi Europejczycy, dorzucili do tego jeszcze pieprz, do którego istotnie wykazuje podobieństwo i z którym wciąż bywa mylona).

Do ogrodu botanicznego się nie zakradłem, ponieważ okazało się, że tajemnicza, kwitnąca zimą *Bellis perennis* to stokrotka polna, nazywana też trwałą. Nie byłem wcale zawiedziony, raczej zdziwiony, że sam nie zwróciłem wcześniej uwagi na zdolności stokrotki. Od tego też czasu patrzę na nią zupełnie inaczej, nie jak na zwykły kwiatek z trawnika lub łąki, lecz jedną z tajemnic przyrody.

Allspice okazało się owocem drzewa korzennika lekarskiego *Pimenta dioica*, czyli ziołem angielskim. Cóż – jeżeli spojrzeć na ziele angielskie jako na prozaiczne kulki pływające w zupie, na które trzeba uważać, żeby przypadkiem ich nie rozgryźć, rozwiązanie wygląda dość nudno.

Podobnie jednak jak w przypadku stokrotki wcale nie poczułem zawodu, wręcz przeciwnie. Czy uczucie zawodu mogłaby wzbudzić historia indiańskiej przyprawy przywiezionej do Europy przez Kolumba, która trafiła do kuchni całego świata? Jej zastosowanie w kuchni polskiej jest tylko jednym z możliwych, w rzeczywistości opcji jest bardzo wiele. Tajowie dodają ją do zup, np. krewetkowych – ale zmieloną. W Niemczech przygotowuje się kielbasy i ciasta bożonarodzeniowe. W Danii doprawia się nią kanapki z ciemnego chleba nazywane *smørrebrød*. W Hondurasie dodaje się do kawy, a czasem pije napar z liści. A w Wenezueli trafia do lokalnych dań – głównie słodkich. 



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Amerykańskie biznesy i polskie prawo medialne

Chaos informacyjny, jaki od początku towarzyszy sprawie przedłużenia koncesji dla TVN24, jest nieprawdopodobny. W głowach polityków opozycji, mediów i dziennikarzy antyrządowych teorie spiskowe legną się jak króliki. Po co Prawu i Sprawiedliwości „Lex TVN”? – krzyczą zgodnym chórem.

Czy już prezes Obajtek przygotował się do odkupienia kanału? To inne pytanie rozhisteryzowanych dziennikarek biegających ławą po Sejmie. Komercyjne stacje i rozgłoszenie antyrządowe – te o kapitale zewnętrznym i rodzimym – od rana do nocy przedstawiają audycje z publicystami głowiącymi się nad tym, co knuje prezes PiS Jarosław Kaczyński, tym razem w sprawie TVN.

KSIĘŻYCOWE SCENARIUSZE

Można usłyszeć najbardziej księżycowe scenariusze. Nie wiem, czy ktoś wpadłby na takie stwierdzenie poza dziennikarzem postkomunistycznej „Polityki” Jackiem Żakowskim na falach Tok FM: „PiS zaatakował Stany Zjednoczone”. Słowem, dowiadujemy się, że w kraju trwa wojna z USA. Słyszymy,

że jeśli włos spadnie z głowy stacji amerykańskiej w Polsce, to Ameryka niebawem pozamyka u nas swoje bazy wojskowe, nie sprzeda Polsce rakiet, zatrzyma dostawy gazu, zamrozi stosunki dyplomatyczne itp.

Lobby, jakie ujawniło się przy okazji tej sprawy, jest niebywale. Kiedy kilka dni później się okazało, że Polska kupuje od Amerykanów 250 Abramsów – chodzi o bardzo nowoczesne amerykańskie czołgi – czołowy publicysta „Gazety Wyborczej”, jedna z najbardziej tęgich głów redakcji przy ul. Czerskiej, uznał, że to ma być haracz zapłacony Amerykanom za uziemienie TVN24. Inny analityk, profesor medioznawca, pociesza zagubionych w spekulacjach, że założenie, iż kto ma media, ten ma władzę, może się okazać błędne. Nieraz było tak, że „kto mam media, ten traci władzę”. Wywód godny profesora z Agory...

A SPRAWA JEST PROSTA

Banalnie prosta. W Polsce istnieje – bardzo liberalna, pisana jeszcze przez rząd liberalów – ustawa o mediach, dokładniej Ustawa o radiofonii i telewizji z 29 grudnia 1992 r. I to ona reguluje

funkcjonowanie polskiego rynku mediów elektronicznych. W ustawie tej, w obszernym artykule 35, jest zapis m.in. o tym, że „koncesja może być również udzielona osobie zagranicznej lub spółce zależnej [...] których siedziba lub stałe miejsce zamieszkania znajduje się w państwie członkowskim Europejskiego Obszaru Gospodarczego”.

I tu jest pies pogrzebany, gdyż grupa TVN od sześciu lat jest podmiotem amerykańskim, choć zarządza stacją za pośrednictwem spółki Polish Television Holding BV, zarejestrowanej w Holandii. Ale, jak odkryli dziennikarze telewizji publicznej (bo chyba raczej nie TVN...), spółka ta jest fikcyjna. To firma krzak, z wirtualnym biurem na lotnisku w Amsterdamie. Przykrywką wykreowana do obejścia prawa.

Trzeba przyznać, że Amerykanie czują się wyjątkowo pewnie w swoich polskich biznesach, nie dbając o żadne pozory. Traktując rynek mediów w Polsce i ludzi w nim zatrudnionych bardzo lekko, nie zadając sobie nawet trudu wczytania się w ustawy regulujące rynek, na którym działają. Ale skoro do tej pory te wszystkie numery przechodziły...

PULAPKA...

Ale to nie wszystko. Artykuł 35 Ustawy o radiofonii i telewizji w kolejnym akapicie, w punkcie 2, powiada: „Koncesja dla spółki z udziałem osób zagranicznych może być udzielona, jeżeli: udział kapitałowy osób zagranicznych w spółce lub udział osób zagranicznych w kapitale zakładowym spółki nie przekracza 49 proc.”. I tu mamy kolejny problem.

W marcu 2015 r. nadawcę od Mariusza Waltera kupił amerykański holding Scripps Networks Interactive, w roku 2018 zaś grupa z rąk Scripps została sprzedana innym Amerykanom z koncernu Discovery. Obecnie Grupa TVN to w 100 proc. kapitał amerykański i choćby nie wiadomo, jak liczyć, z jak wielką życzliwością patrzeć na amerykański biznes, to 100 proc. nie da się uznać za ustawowe 49 proc., stojące jak wół w polskiej Ustawie o radiofonii i telewizji. Zresztą procent bardzo wysoki, bo w krajach Unii Europejskiej jest to przeważnie 20 proc.

Cóż grupa TVN wpadła w pułapkę. Pułapką okazała się nadmierna życzliwość urzędników KRRiT – chodzi o rok 2015 i pierwszą sprzedaż TVN. KRRiT przewodniczył wówczas Jan Dworak. Czy może dziwić, że obecnie Dworak i Juliusz Braun stoją w pierwszym szeregu chóru domagającego się przedłużenia koncesji dla stacji? A przecież wystarczyło czytać ze zrozumieniem ustawę medialną. Różnica między 49 proc. a 100 proc. jest chyba zauważalna? Gdyby TVN nie zmienił właścicieli na taką skalę, gdyby Mariusz Walter nie pozbył się swojego dziecka i dalej nim rządził, wszystko byłoby, jak było...

ODZYSKANIE INFOSFERY

Generalnie przed nami jeszcze odzyskanie całych polaci strategicznej dla każdego państwa infosfery. Bo to ona decyduje o kształcie rynku medialnego, bezpieczeństwie informacyjnym państwa i jego obywateli. Dlatego w każdym suwerennym kraju rynek medialny jest pod szczególnym nadzorem, zwłaszcza gdy chodzi o podmioty i wpływy zewnętrzne. Nie tylko w Niemczech rynek informacyjny i opiniotwórczy jest

całkowicie zamknięty dla podmiotów zewnętrznych. Nawet tych z Europejskiego Obszaru Gospodarczego.

Podstawowym zadaniem mediów i pracy dziennikarzy jest dostarczanie odbiorcom informacji. Bez nich nadawcom mediów trudno byłoby przetrwać, ponadto informacja nie może być tworzona prywatnie ani nawet indywidualnie. To instytucja medialna zapewnia środki jej dystrybucji, wiarygodność i autorytatywność.

W demokracjach komunikacja społeczna, dostęp do informacji są podstawowym warunkiem egzystencji, stanowią filar wielu procesów decyzyjnych człowieka. Są kryterium jakości życia, a nawet

Gdyby TVN nie zmienił właścicieli na taką skalę, gdyby Mariusz Walter nie pozbył się swojego dziecka i dalej nim kierował, wszystko byłoby, jak było...

w niektórych sytuacjach mogą decydować o przeżyciu. Zatem od prawidłowej i pełnej informacji we współczesnym społeczeństwie zależy to, czy człowiek będzie w stanie podejmować właściwe dla siebie decyzje, zarówno w życiu zawodowym, społecznym, jak i prywatnym.

PRESJA I NACISKI

Wolność słowa, jako jedna z najważniejszych wartości w demokratycznym społeczeństwie, jest emanacją wolności wyrażającą istotę i jedną z podstawowych funkcji państwa prawnego. Nie oznacza to, że z wolności – w tym z wolności słowa – można korzystać w sposób nieograniczony. Jednakże jeśli uwzględnimy to, że wolność słowa warunkuje wszelki rozwój, to zasadne jest postawienie pytania o granice wolności mediów w demokracji i jej ograniczenia. Media w demokracji poddawane są wielorakiej presji. Presji płynącej z wewnątrz instytucji medial-

nych, jak i z zewnątrz. Presja i naciski zewnętrzne przybierają różny charakter i zawsze w sposób mniej lub bardziej zauważalny wpływają na efekty pracy poszczególnych podmiotów medialnych.

Pozyskiwanie informacji z różnych źródeł wymaga wielu zabiegów redakcyjnych, a sam przekaz jest coraz częściej wytworem zbiorowym, a to komplikuje określenie rzeczywistego nadawcy przekazu. Wyznaczenie granic zespołu nadawcy przekazu nie jest sprawą prostą. Chodzi nie tylko o dziennikarzy zatrudnionych w instytucjach komunikowania masowego, lecz także pracowników odpowiedzialnych za rezultat końcowy pracy. Podejmują oni decyzje w procesie tworzenia i upowszechniania przekazów. Pozostają pod wpływem oddziaływania instytucji, w której pracują, i odbiorców, do których kierują przekazy.

Dlatego tak szczególnie istotne jest to, by media, uznawane za rodzaj czwartej władzy, choć w sensie formalnym i prawnym władzą nie są (nie posiadają władzy politycznej, ekonomicznej ani środków przymusu, to jednak korzystając ze swej siły symbolicznej, oddziałują na umysły i świadomość obywateli, kreują system wartości, preferencje, oczekiwania i zainteresowania), działały wedle zasad stanowiących w państwie prawa. I zgodnie z tymi zasadami wpływały na możliwość formułowania sądów i kształtowania szerokiej opinii publicznej i publicznego dyskursu.

Media silnie oddziałują na odbiorcę. Mogą to robić w sposób pozytywny, ale mogą także niszczyć życie wspólnotowe, rozpowszechniając oszczerstwa, pomówienia, instrumentalizując życie polityczno-społeczne, bardzo często dezinformują i manipulują. To przykre, ale nie słyszałam, by któryś z dziennikarzy lub któraś ze stacji tak silnie lobbujących na rzecz amerykańskiego podmiotu medialnego w Polsce przywołali wspomnianą wcześniej polską Ustawę o radiofonii i telewizji, powołali się na obowiązujące w Polsce prawo medialne. To wielce znaczące i symboliczne, jak dziennikarze tych redakcji traktują prawo kraju, na którego rzecz pracują.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Lato

Wydawaloby się, że piękna letnia pogoda, przyroda, dużo słońca, błękitne niebo, że wszystko to złagodzi obyczaje jak dobra muzyka. Jednak tak nie jest. Agresję nasila człowiek, który postanowił zagrać vabank na zasadzie – najlepszą obroną jest atak. Jeździ po naszym kraju, spotyka się z ludźmi, agresywny, pełen zła, bez żadnego programu ekonomiczno-gospodarczego, bo po prostu na niczym się nie zna. Potwierdzają to fachowcy. Kłamie, oskarża, zaciska pięści, wymachuje rękami i w taki sposób ma podobno przynieść sobie i swoim kumpłom powrót do władzy. Zamiast odpowiedzialności przed sądem za to, co zrobił, wolno mu wszystko. To byłoby niemożliwe w przedwojennej Polsce, jak mówią świadkowie i znawcy II RP. Przecież już syn Tuska powiedział przed sądem: „My z ojcem od początku wiedzieliśmy, że to jest lipa”. Te słowa są jak uderzenie w twarz. Znaczą wiedzą, że jest lipa, a to robią, czyli kpią z nas wszystkich, okradają ludzi, państwo polskie. I są bezkarni!

My, zwykli ludzie, oczekujemy uczciwych procesów sądowych, odpowiedzialności Tuska i jego współników będących wówczas przy władzy za Smoleńsk, największą naszą tragedię narodową. Poza tym poważnych procesów i osądzenia tego wszystkiego, co zostało ujawnione w nagraniach restauracyjnych, tych wszystkich haniebnych postępowań na szkodę nas, obywateli, całego naszego kraju. Oczekujemy właściwego osądzenia wszystkich afer, kradzieży ponad 150 mld z oszczędności na funduszach emerytalny OFE! To przecież wtedy jeden z ministrów Tuska kpiąco powiedział, że „Polska istnieje już tylko teoretycznie”. Ludzie nieprzygotowani pod żadnym względem do rządzenia krajem niszczyli, rozkradali i beczelnie szydzili, obracając w żart sprawy najważniejsze, święte dla Polaków.

Tusk i jego zwolennicy uważają, że nas wszystkich ogarnęła amnezja narodowa, że nic nie pamiętamy! Dla niego „polskość to nienormalność”, nic dziwnego, przecież powszechnie znane są niemieckie korzenie rodziny Tuska. Wystarczy, będąc na wakacjach, porozmawiać na Kaszubach ze starszymi mieszkańcami. Ale skoro są wakacje, najlepiej, aby nasze media odrzuciły tematykę Tuska, po prostu jakby go nie było, niech ludzie spokojnie odpoczywają, a rząd niech robi swoje. Na Wydziale Dziennikarstwa UW był przedmiot propaganda. Uczyli nas, że najlepszą metodą zwalczania kogoś jest niemówienie o nim, absolutne milczenie. Proponuję więc wakacyjny wyjazd do swoich rodzinnych miejsc, bo przecież – jak śpiewał Jonasz Kofta – „stamtąd przyszliśmy”.

Piękne lato, dni pełne słońca, zieleni, zapachów traw, ziół i lasów, żadnych samochodów, tylko dźwięk pracowitych pszczół i im podobnych skrzydlatych cudaków zatrzymuje i odmienia każdego, wyrzuca z serca złość i wszelką nienawiść. Wystarczy tylko uciec tam, gdzie „pola zielone słońcem



**Alina
Czerniakowska**

malowane na złoto, kwiatów i kłosów niepojętym ściegiem utkane” – jak pisał piewca polskiej ziemi Leopold Staff. Warto rzucić nasze ważne sprawy, telefony, komputery, telewizory, grille, rozkręcone głośniki, zostawić wszystko, co stworzył człowiek, a zasłuchać się, zapatrzyć w dzieło Boże.

Pojechałam do mojego rodzinnego starego domu, z drewnianego bala, pobielanego, z małym gankiem i ledwie widoczną znamionną datą – 1920. Wokoło ogromne przestrzenie pól, lasów, łąk przeciętych wijącym się strumykiem porośniętych niezapominajkami, leśnymi malinami, jeżynami i przeróżnymi trawami, krzewami. Z dwu stron łąki okalającej szemrzący potok ciągną się szeregi starych olch, przeplatane wiśniami i ogromnymi gruszkami, pamiętającymi jeszcze czasy świetności niegdyś wielkiego, zamożnego gospodarstwa. Pamiętam, jak różne szaleństwa przychodziły nam do głowy, licznej dzieciarni przebywającej na wakacjach u naszych dziadków, rodziców mojego ojca, dumnego ich następcy.

Ambicją każdego dzieciaka było wejście na wszystkie drzewa tak, by nie schodząc, przeskakiwać na kolejne, rozhuśtując młode, giętkie czubki. Zdarzały się upadki, ale na szczęście niegroźne, kończące się zwykłymi otarciami, stłuczeniami. Nad wszystkim czuwała babcia, Maria Czerniakowska, niezwykła kobieta, którą doktorostwo Zarębscy z Warszawy witali, przyklękając w podzięce za niesamowitą gościnność, trwającą po wszystkie czasy, nawet te bardzo trudne.

Dzisiaj tu głucho i pusto, niszczeje prawie stuletni dom, ale pozostała piękna przyroda, stare drzewa w sadzie, mimo pni rozpękanych na ćwierci, nadal rodzą owoce, nieskażone żadną chemią i nawet całkiem dorodne. Dają dowód, że silne drzewa nie umierają tak łatwo, samoistnie trwają na podziw niedowiarkom. Staram się, by ta rodzinna ziemia ocalona z grabieży komunistycznych była uprawiona, w tym roku jak okiem sięgnąć kłosa różnych zbóż, pełne szumu pracowitych pszczół.

Wszędzie cisza i spokój, jakby czas się zatrzymał, tylko brakuje gospodarzy, którzy tę ziemię kochali ponad życie i walczyli o nią od pokoleń, by nie zmarnować, nie sprzedać, nie oddać, a zadbać, jak można było najlepiej. Objężdżam rowerem wszystkie moje miejsca, smucę się, gdy w oddalonym naszym lesie ktoś znowu powycinał stuletnie sosny, żalę się Matce Bożej w przydrożnej figurce mojej babci, do której zabierała mnie w majowe dni. A gdy już uda mi się dojechać zarośniętą miedzą pod górkę w kierunku rzeki Wkry, zza drzew zaczyna się odkrywać ogromna przestrzeń pól aż po horyzont i taka jasność bije, jakby słońce dotykało ziemi, że chciałoby się wołać: „Chwilo, trwaj, jesteś piękna!”

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Wielkie podzielenie

Główne podziały w Polsce przebiegały dotąd według klucza politycznego (prawica–lewica, konserwatyści–liberałowie etc.) bądź religijno-etycznego (wierzący–niewierzący, heteroseksualni–nienormatywni). Czas pandemii podzielił nas bardzo radykalnie na tych zaszczepionych (czytaj: „odpowiedzialnych”, „świadomych”, „prospołecznych”) i niezaszczepionych (czyli „płaskoziemców”, „egoistów”, „potencjalnych morderców”). Rozłam ten często idzie w poprzek zwalczających się do tej pory polskich „plemion”. O dziwo – w sprawie masowych wyszczepień rząd gra w jednej drużynie z totalną opozycją (!?). Jedyna różnica polega na tym, że rządzący przekonują nas do przyjęcia eksperymentalnego preparatu metodą marchewki (perswazje, loterie i ułatwienia), a zapatrzeni w zachodnie wzorce „totalsi” nie bawiliby się w takie subtelności. Gdyby tylko mieli władzę – od razu użyliby kija!

Dlaczego przyjęcie ratującej zdrowie/życie substancji (zwanej umownie szczepionką) wywołuje w nas tak skrajne



**Lech
Makowiecki**

emocje? Wielu ludzi ma racjonalne powody, by nie ufać nastawionym na szybki zysk koncernom farmaceutycznym. Mnożą się liczne znaki zapytania. Dlaczego nie przeprowadzono wszystkich faz badań? Dlaczego nikt nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne powikłania poszczepienne? Dlaczego nie ma jeszcze skutecznego leku na COVID-19? Itp., itd. Zdrowie mamy tylko jedno, to o nim swego czasu pisał poeta: „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił...”. Pośpiech i strach są złymi doradcami. Primum non nocere.

A co stanie się, gdy raz wprowadzone do organizmu modyfikacje okażą się nieodwracalne i szkodliwe? Czy nieskażony ludzki genotyp przetrwa tylko u brazylijskich Indian w amazońskiej głuszy? Człowiek bawił się już wielokrotnie w Pana Boga, nigdy jednak na taką skalę!

PS Ziemia jest kulą. Kopernik udowodnił to naukowo, wbrew wszystkiemu i wszystkim. Dzisiejsze stygmatyzowanie i obrażanie ludzi za dociekanie prawdy pachnie mi inkwizycją.

Udeptana ziemia

Ale się zeźlił! To on porzucił intratną fuchę w Brukseli i specjalnie tu przyjechał, a prezes go lekceważy. Więc on, Donald Tusk, apeluje, cytując wiernie: „Zwróć się do funkcjonariuszki telewizji pisowskiej, rządowej, ja nie będę odpowiadał na pytania tych, którzy zaangażowali się w nagonkę, bo ja wam serdecznie współczuję, ale ja mogę ewentualnie debatować i rozmawiać z mocodawcą, znaczy, z prezesem Kaczyńskim, proszę przekazać mu ode mnie ten sygnał, czekam od wczoraj, dziś, i będę czekał każdego dnia”. Od wczoraj, czyli od chwili, gdy on, Donald Tusk, wezwał z Gdańska prezesa PiS na „udeptaną ziemię”, a na koniec krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!”

Myślałem, że się przesłyszałem: oto polski hymn przywołuje ten, który wywodził, że „polskość to nienormalność”. Ten, który na początku kariery „liczył głosy”, by obalić pierwszy, demokratycznie wybrany rząd w Polsce, a na koniec wypiął się na tę Polskę dla lukratywnej posady w Brukseli, łącząc uprzednio do mikrofonów, jakim jest zaszczytem dla niego bycie premierem Polski i że nigdzie się nie wybiera. Ten, który rozpętał wojnę polsko-polską, uruchomił przemysł pogardy, który zrobił z Polski państwo atrapę, „chdikk...”, który pogrążył Polskę w bagnie afer i skandali... – ten właśnie Donald



**Piotr
Cywiński**

Tusk przyjeżdża i rozprawia teraz o... „pisowskim jadzie”, o „łajdactwie” i o „ruskim ładzie”, ten, którego w Moskwie nazywano „naszym człowiekiem w Warszawie”, który „przybił żółwika” z prezydentem Putinem na miejscu smoleńskiej tragedii, gdzie dopalał się samolot i walały się jeszcze strzepy zwłok prezydenckiej delegacji...

Jak beczelnym typem trzeba być, by po tym wszystkim wycierać sobie gębę słowem „Polska”?! By perorować o wolności mediów, gdy to jego funkcjonariusze wylali z TVP 400 osób na umowy śmieciowe, gdy to jego stójkowy Tomasz Lis wywalil na bruk całe zespoły tygodników „Wprost” i „Newsweeka”, gdy za jego rządów dokonano czystek w „Rzeczpospolitej”, w „Uważam Rze”, a nawet dogadano zwolnienie przez spółkę Ringier Axel Springer szefa polskojęzycznego „Faktu”?

Prowokować, polaryzować i kłamać na każdym kroku... – w tym on, Donald Tusk, jest mistrzem. I dziś „daje sygnał”, po to przyjechał, „tysiącom żołnierzy uśpionej armii”: „podnieśmy wszyscy głowy!”, i czeka na prezesa na „udeptanej ziemi”. Prezes musiałby totalnie zgłupieć, by uszlachcać łacha konwentem, a polskie społeczeństwo zidiociec, żeby raz jeszcze dopuścić go, wraz z jego kamarylą, do władzy.



JAN POSPIESZAŃSKI

Od kilku dni towarzyszą mi dźwięki fortepianu. Dzięki radiowej Dwójce śledzę eliminacje do XVIII Konkursu Chopinowskiego. W tych nutach, choć często wychodzą spod palców Azjatów, obok lepszej czy gorszej interpretacji, zakłęta jest... polskość. Narodowy idiom w kulturze w pierwszym odruchu oznaczał dla mnie muzykę Chopina. Do wczoraj. Teraz z radością uświadamiam sobie, że obok Chopina, Kurpińskiego, Moniuszki, Karłowicza, Szymanowskiego hasło „polski styl narodowy” oznaczać dla mnie będzie uniwersum, w którym swoje miejsce mają m.in. Stanisław Witkiewicz, Leon Wyczółkowski, Stanisław Wyspiański, Wojciech Brzega i inni twórcy, których prace mogłem podziwiać na wystawie „Polskie style narodowe 1890–1918”.

Muzeum Narodowe w Krakowie eksponuje pierwszą z serii wystaw „4 x nowoczesność”. Ta fantastyczna ekspozycja nie ogranicza się do prezentacji sztuk pięknych. Tym, co mnie osobiście zachwyca i co niewątpliwie stanowi ogromny walor ekspozycji, to kolekcja mebli, kilimów, porcelany, czyli przedmiotów sztuki użytkowej. Ale nie tylko. Twórcy wystawy zadbali, by nie zabrakło architektury, a także strojów. Wystawa pozwala też dostrzec, jak bardzo hasło nowoczes-

Polskość jest piękna

Nasza nowoczesność nie stoi w opozycji do patriotyzmu, tradycji ani dziedzictwa

ności włączone jest w nurt naszej myśli patriotycznej i niepodległościowej. Wszak prezentowany okres to czas zaborów i lata pierwszej wojny. Fascynacja Podhalem, życiem górali nie była prostym przejawem modnej wówczas chłopomanii. Stanisław Witkiewicz i bliscy mu artyści w Zakopanem odnajdują prawzorę polskiego stylu. Górali, izolowanych nieco, żyjących jakby na uboczu, z ich niezależnością, gwarą, wzornictwem, architekturą, muzyką, postrzegają jako depozytariuszy zahibernowanej najczystszej formy polskości. Stąd biorą się udane próby tworzenia inspirowanych sztuką podhalańską autorskich projektów domów, willi, rezydencji, pensjonatów, ale też mebli czy zastawy stołowej, a nawet strojów i sprzętów liturgicznych.

Odczytuję to jako świadectwo, bowiem dla ówczesnych twórców relacja człowieka do Boga, wiara, nie były sprawą prywatną, jakimś dodatkiem do życia. Religia i liturgia są esencją naszej egzystencji, zatem narodowa sztuka, która nas stanowi, ma w niej swoje odbicie. Na wystawie znalazły się też ornaty uszyte ze szlacheckich pasów kontuszowych. Żywe wspomnienie powstania styczniowego sprawia, że w stroju manifestują się uczucia patriotyczne. Także w szatach celebransa przy ołtarzu. Użycie tkaniny z sarmackich strojów z lat potęgi Rzeczypospolitej Obojga Narodów – czasów świetności polskiego oręza – było wymownym sygnałem podnoszącym narodowego ducha.

Poszukiwanie i tworzenie polskiego stylu narodowego w warunkach nieistniejącego państwa i rozdartego narodu (rozumianego także szerzej,

bo obejmującego przecież kilka etnicznie różnych grup) miało na celu potwierdzenie kulturowej odrębności i pielęgnowanie naszej tożsamości wobec zaborców. Wściekle akcje wynaradawiania – rusyfikacja i pruski Kulturkampf – przez wprowadzane obostrzenia zwalczały wszelkie formy manifestowania polskości. Potwierdzona w sztuce historyczność narodu, pielęgnacja swojskości, rdzenności budowały silną tożsamość. Tak oto kultura, sztuka, ale też przedmioty codziennego użytku stawały się komponentem patriotycznej postawy i instrumentem oporu.

Wystawa w Muzeum Narodowym w Krakowie pokazuje, że polska nowoczesność (choć termin ten pojawia się dopiero w latach 30.) ukształtowała własną drogę. Kwestionuje to pokutujący nadal stereotyp, jakoby modernizacja tzw. peryferii (a tak rozumiano ziemie polskie) możliwa była tylko przez naśladowanie mitycznego centrum. Twórcy wystawy fałsyfikują tezę, że istnieje jakiś jeden obowiązujący wzorzec nowoczesności. Nasza nowoczesność, związana ściśle z ideą niepodległości i społecznym rozwojem, nie stoi w opozycji do patriotyzmu, tradycji ani dziedzictwa. Wręcz przeciwnie – żywi się i inspiruje nie tylko romantyczną historią, lecz afirmując swojskość, podnosi i przyznaje obywatelskość wszystkim członkom wspólnoty.

Po poprzedniej wystawie zdjęć św. Jana Pawła II, autorstwa Adama Bujaka, gazeta, której nie jest wszystko jedno, napisała że Muzeum Narodowe w Krakowie uległo „zjanopawleniu”. Czy teraz napiszą coś o nacjonalizmie? 

Michał Korsun prezentuje:
Flota „okazji” z Niemiec zbliża się do Polski



Kolář, Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Dwutygodnik „Kobieta w Świecie i Domu” datowany na 15 sierpnia 1938 r. proponował czytelnikom przepisy na cały tydzień. Może i dzisiaj ktoś znajdzie w tych podpowiedziach kulinarną inspirację?

Poniedziałek: Zupa pomidorowa czysta, kluseczki lane. Kotlety wieprzowe, młoda kapusta na prażsno. Śliwki duszone w winie.

Wtorek (dzień bezmięsy): Zupa kalafiorowa. Pomidory nadziewane ryżem z jajami. Jabłka w szlafrokach.

Środa: Czernina z kaczki, kluseczki krajane. Klops z cielęciny, kaszka sypka krakowska, sałata z cytryną i oliwą. Surówka z gruszek.

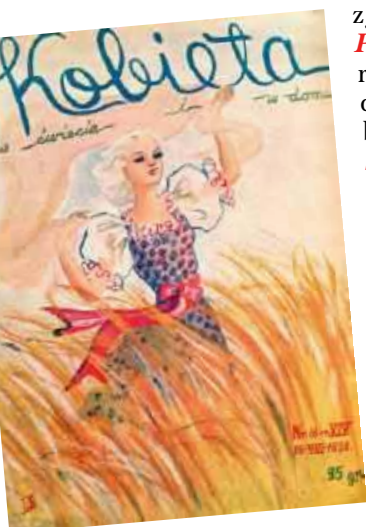
Czwartek: Zsiadłe mleko z kartoflami. Kaczki pieczone z jabłkami. Sago na winie.

Piątek: Jarzyny sezonowe na parze, masło śmietankowe. Pyzy nadziewane cebulą. Zupa wiśniowa, biszkopciki.

Sobota: Rosół z cielęciny, kluseczki z koperkiem. Ogórki nadziewane cielęciną, sos śmietankowy. Gruszki w śmietance.

Niedziela: Barszczyk czysty w filiżankach, chesterki. Prosię pieczone, nadzienie pasztetowe, mizeria. Lody z melona.

(mk)



W tej sytuacji...

Sobie samemu na urodziny



Leszek Długosz

Zapukała w okienko laptopa

Fotka

Ktoś mi tu przysłał

Skąd, mój Boże

Z jakiego „świata – zaświata”

Tamtego chłopca?

Patrzę – nie poznaję, poznaję

Stoję

Ja?

– Kochany, rozmawiamy

– Aleś się zapuścił

I tamte za tobą ściany?

Skąd to przywiało

Razem z klasą całą?

– Marysia przy Józiu, Darek, Zosia

Pani Stryjecka

– Na ścianach dekoracje

Galązki jedliny, ścienna gazetka

Na gazetce przyjaźń polsko-radziecka...

– Rany, aż takie odstające uszy?

Śmieszysz mnie i wzruszasz

Dziecko...

A jednak ty i ja, to j e d n o

Złączone losu tą samą nitczką

– Coś my wspólnego ze sobą jeszcze mamy?

– Tożsamość?

Pamięć, co wciąż pamięta

Choć tyle stąd umknęło, przeszło

– Grupa krwi, gatunek łzy?

– I skurcz i rytm tego samego serca?

I w sumie dalej – ja i ty

To nikt, a tylko my?

Zapukała w okienko laptopa fotka...

Ktoś mi tu przysłał – mnie

Z tamtej klasy chłopca

– Uśmiech

– Wzruszenie ramion

I to pytanie

Nieprzedawione dla obydwu wciąż:

– Gdzie, po co, dalej

Tobie i mnie

Przyjdzie niebawem razem stąd pójść?

– Któryś z nas więcej

Lepiej wie?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

Stan po burzy

W świecie konkurencji o klikalność często już tylko krotchwila się liczy. I niestety dotyczy to wszystkich stron barykady dziennikarskiej

ODCINEK 98

Wśród jezior słucham odcinka z 17 lipca 2021 r. Oto jego główne wątki:

„Plan polityczny Donalda Tuska na pobicie PiS”.

Uwaga rodacy, PiS znów podnosi podatki, „co pozwoli obozowi władzy na kolejne programy socjalne przed wyborami”.

Cd. afery mailowej Michała Dworczyka.

Istny lament nad tym, że „w otoczeniu premiera nade wszystkim liczy się reklama, promocja i lans”.

Krytyka prezydenta Dudy, że nic nie robi.

„Dziwna” nominacja Bogny Janke.

Złośliwości wokół Krzysztofa Szczerskiego, który „zasłynął z czystek w pałacu”, a „kończy jako ambasador Polski przy ONZ” i „na odchodne wymusił nominację dla swego człowieka, by zachować kontrolę nad Kancelarią Prezydenta”.

Podsumowując: jednak niesmak.

Misja czwartej władzy czy choćby gorzka ironia, o którą pewnie chodzi Burzyńskiej i Stankiewiczowi, ginie po prostu w morzu niedobrych emocji. Plotki polityczne (z punktu widzenia obywatela niektóre niepokojące) ukazują jakieś małostkowe zacietrzewienie, osobiste zgorzknienie dziennikarzy, których władza (żadna?) – tak się składa – niedoceniła.

W psychoanalizę nie chcę się wikłać, choć w ludzkich zachowaniach zawsze nurtują mnie ich ukryte motywy. Jakże wiele z tego, co robimy, to jednak odruchy stadne, automatyczne, bez namysłu. W gromadzie motywów dla natury ludzkiej uniwersalnych znajdziemy chęć zdobycia władzy, pieniędzy, prestiżu. Nie wiem, czym kierują się w swym dziennikarskim fachu Burzyńska i Stankiewicz, ale można przypuszczać, że chcą być postrzegani jako profesjonaliści.

Czy jednak sami uczciwie powiedzieli sobie, co takiego ma wnieść w przestrzeń publiczną ich polityczne słuchowisko? Jaką wartość mają sygnały, które chcą przekazać? Co dobrego dla nas, Polaków, dla kraju, ba, nawet dla stałych słuchaczy ta podcastowa misja dziennikarska ma przynieść? Wiem, naiwne jest takie stawianie sprawy. W świecie konkurencji o klikalność często już tylko krotchwila się liczy. I niestety dotyczy to wszystkich stron barykady dziennikarskiej.

MYŚLĄ WYŁĄCZNIE O POLSCE!

Krotchwila, nie krotchwila, coś jednak wybrzmiewa. Stankiewicz zarzuca premierowi, że lansując się, „myśli wyłącznie o krajowym rynku”. Czyżby – zapytać wolno – raczej nie powinien przypodobać się Niemcom?

Burzyńska ze swadą strofuje Dudę, że w „lenistwie pobija Komorowskiego”. A jak to ustaliła? Porównała liczbę wyjazdów zagranicznych, inicjatyw, spotkań, interwencji etc.? Ale po co. Twarde dane nie wywołają ekscytacji jak nazwisko „Janke”. Ważne, że słuchacz pojmie, że „Duda nic nie robi, tylko nominuje dziwnych ludzi”. Bo zastrzeżenia budzi nawet Jakub Kumoch. Pierwsza wada jest taka, że to były dziennikarz. To zdaje się szczególnie Stankiewiczowi boli. Ale gorsze jest to, że „Kumoch tak zbudował swoją pozycję w tym obozie, że tam, gdzie jeździł [...], to zawsze zajmował się wynajdowaniem takich historii, które miały pokazać, że polscy dyplomaci [...] ratowali Żydów podczas II wojny światowej”. A gdyby tropił parszywych polskich pogromców... Niemiecki „rynek” by się cieszył, żadna tam polska prowincja.

Katarzyna Zybertowicz



Nawet w Niemczech burze tego lata jawią się wyjątkowo złowieszczo. Najwyraźniej destabilizacja klimatu daje o sobie znać.

Ale ja nie o klimacie ani nie o przyrodniczych nawałnicach... choć kto wie.

STAN I BURZA

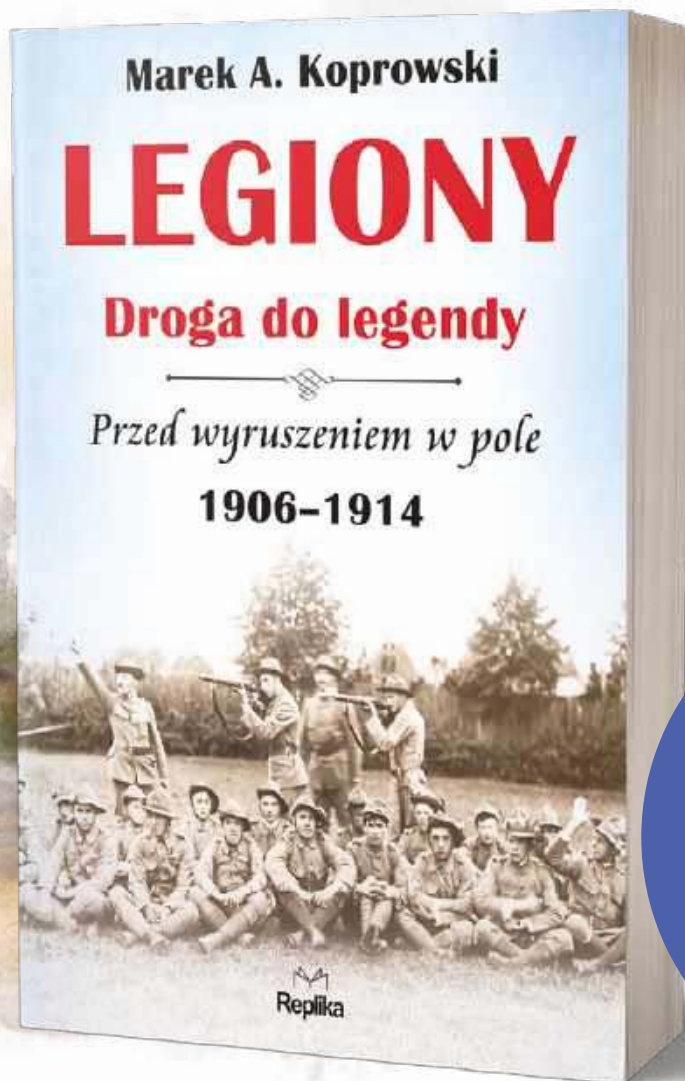
Na drugim brzegu politycznym dwoje dziennikarzy, skądinąd fajnych i z dużym doświadczeniem, co tydzień rozmawia o bieżącej polityce. Wiem, urlop to nie jest dobry czas na politykę, ale paradoksalnie daje dobry dystans, bez którego niekiedy trudno słuchać tych, którzy z obecnie rządzącymi nie sympatyzują.

Agnieszka Burzyńska i Andrzej Stankiewicz – o nich mowa – swój dialog nazywają słuchowiskiem politycznym, tytułując cykl: „Stan po Burzy”. Sprytna to formuła. Łączy isticie pudelkowy styl (Pudelek.pl to taki portal plotkarski) z czymś, co przy życzliwym nastawieniu nazwać można dziennikarstwem śledczym. Dziennikarze chcą być krytyczni i ironiczni zarazem, są chwilami zabawni, chcą pokazać, że walą bez sentymentów i w rządzących, i w opozycję. Tak samo ma obrywać Tusk, jak i Kaczyński...

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**w SIECI
HISTORII**



Książka o wielkich ludziach
i walce, która przyniosła
Polsce niepodległość

50
książek
w prezencie

Książkę „Legiony. Droga do legendy” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **280 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16





JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO2020
#TeamPolska



SPONSORZY I PARTNERZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Sponsor Kolekcji
Olimpijskiej



Główny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik